ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA HISTORIA

NR 03 (218) MARZEC 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

> BOMBOTORPEDY Z GDYNI – KULISY ODNALEZIENIA NIEMIECKIEJ WUNDERWAFFE

> HISTORIA W ZDJĘCIACH ZAKLĘTA

> URAN Z KOWAR NA CELOWNIKU MOCARSTW

WOJENNY SEKRET LUBIĄŻA ROZWIĄZANY

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104 03

9 771505 610056

NOWOŚĆ

white's
· QUALITY SINCE 1950 ·

MXSPORT

Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdych poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena

Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:

MADE IN U. S. A.

Treasure Pro

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.

www.viking.waw.p

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

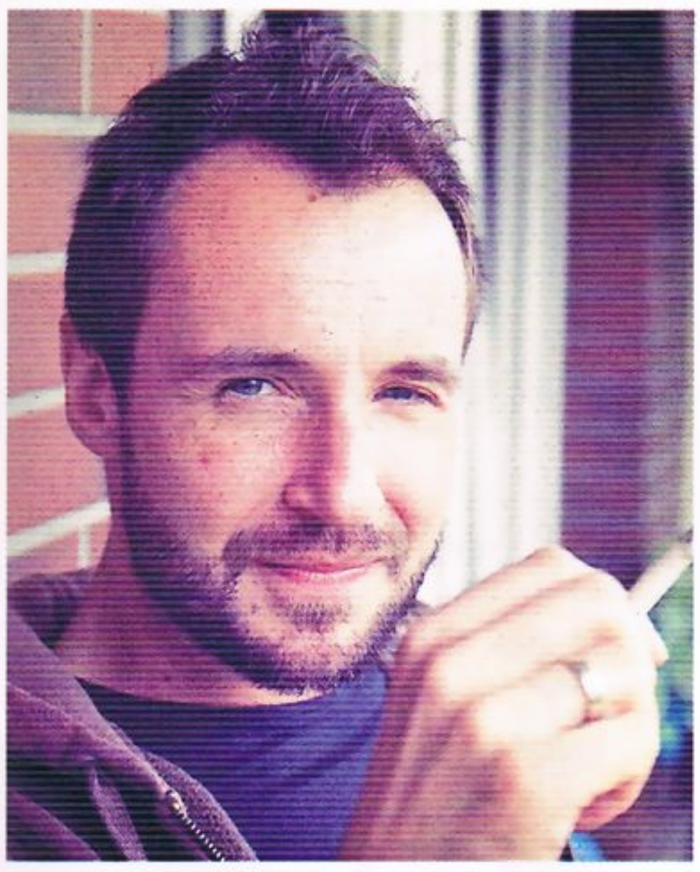

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Zawodowi sportowcy często z pobłażaniem przyglądają się amatorom, choć ci niejednokrotnie dorównują im wynikami. Podobna sytuacja jest i w innych dziedzinach, również nam bliskich. Historycy amatorzy, mimo pewnych ułomności metodologicznych i merytorycznych, są w stanie dochodzić do co najmniej interesujących, a nawet i przełomowych wniosków, fantastycznie uzupełniając prace naukowców. To samo dotyczy archeologii, gdzie nurt pozazawodowy, głównie o charakterze hobbystycznym i pasjonackim, dokonuje niezwykle interesujących odkryć, znacząco wypełniających luki; w obu przypadkach często w obszarach tematycznych znajdujących się na obrzeżach zainteresowań świata nauki. Warto by dostrzec ten pozytywny aspekt poszukiwań i nie ignorować go pod hasłem wyłącznie wypaczeń i patologii, obecnych przecież w każdym środowisku.

Większość naszych artykułów tworzona jest przez osoby, które zajmują się badaniem wszelkich aspektów przeszłości – zarówno w sposób zawodowy jak i amatorski. Wszystkich nas łączy wspólna pasja. Dzięki niej wszyscy wiemy o wiele więcej, a wiedzieć więcej to jak za każdym razem odkrywać skarb. Pojęcie to jest bowiem obecnie niezwykle pojemne, znacznie wykraczające poza utarty w kulturze wizerunek sztab złota i kufra pełnego kosztowności. W ujęciu metaforycznym może oznaczać wszystko co cenne, a bezsprzecznie wiedza jest jednym z najcenniejszych dóbr ludzkości.

W bieżącym wydaniu prezentujemy odkrycia zarówno pozostałości po drugowojennym pojeździe, elementach bombotorpedy – najprawdziwszej niemieckiej Wunderwaffe – czy zapomnianych fortyfikacjach. Autorzy rekonstruują na podstawie źródeł zarówno losy pojedynczych osób, jak i dotąd owianych tajemnicą obiektów. To kwintesencja „Odkrywcy" i wieloletniej tradycji naszego miesięcznika. Życzę przyjemnej lektury.

Okładka: M. Biernacka (fotomontaż dwóch zdjęć: fasady klasztoru Lubiąż i niemieckiego radaru)

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAGUJĄCY:
REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło
KONSULTANCI
Michał Banaś
• Geologia.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

MARZEC 2017

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

3 NIEZNANE OBLICZE ZAMKU GRODNO
ŁUKASZ ORLICKI

4 KÜBELWAGEN Z PLAŻY
PIOTR MASZKOWSKI

6 KLASZTOR W LUBIĄŻU ZDOBYTY. CZĘŚĆ 3
ROMUALD OWCZAREK

14 WUNDERWAFFE Z BABICH DOŁÓW
RADEK BICZAK

18 HISTORIA W ZDJĘCIACH UKRYTA
ADAM KORYTOWSKI

26 TAJEMNICZY SCHRON W PRZEMYŚLU
JACEK DZIK

28 WIELKI UROK POSZUKIWAŃ. WYWIAD Z KATARZYNĄ BAJERLEIN.
GRZEGORZ GÓRA

KULISY HISTORII

32 POLOWANIE NA RUDĘ URANU
LESZEK ADAMCZEWSKI

42 OBOZY „WOYNY" I „CORDA". CZĘŚĆ 4
JANUSZ SKOWROŃSKI

48 OFICEROWIE WRZEŚNIA – CO ZABRALI NA WOJNĘ. CZĘŚĆ 3
JOLANTA ADAMSKA

FORTYFIKACJE

56 SCHRONY ARMAT PPANC. KRIEGSMARINE W TWIERDZY GDYNIA 1944
KAMIL SARAPUK

KOLEKCJONERSTWO

62 NÓŻ BOLO – MODEL 1917
RAFAŁ KUCHARSKI

66 BUTY ZE ZINTEGROWANYMI OPINACZAMI
PIOTR ORMAN

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI MARCA

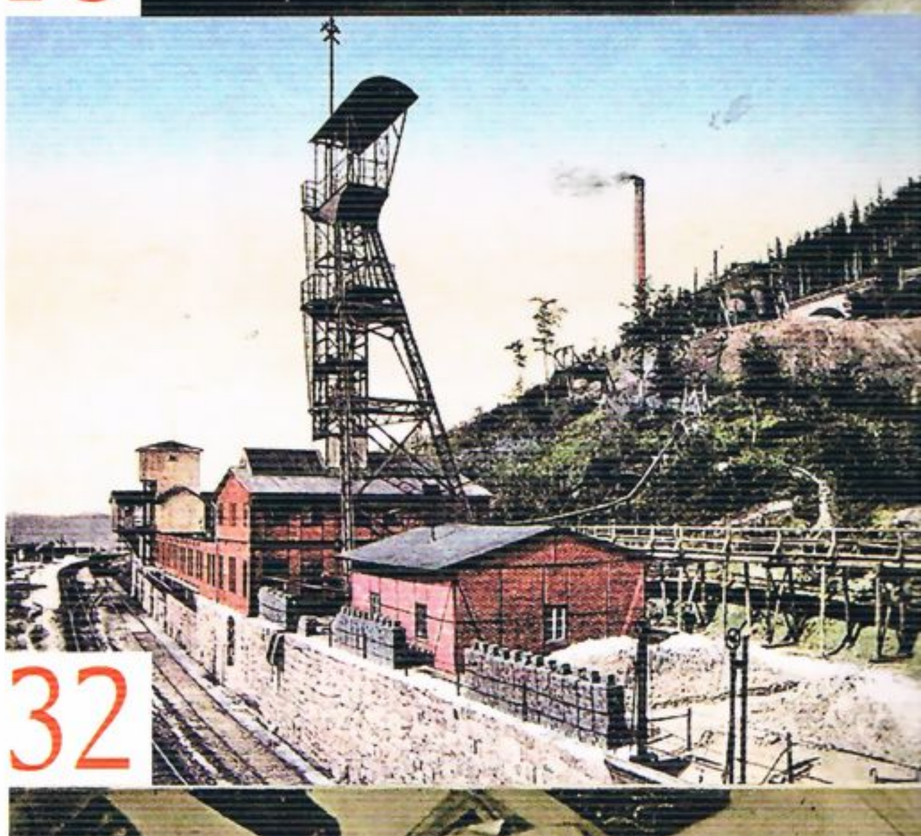

NIEZNANE OBLICZE ZAMKU GRODNO

ŁUKASZ ORLICKI

W niemieckich archiwach znaleziono dokumenty i plany sowiogórskiej warowni.

10 lutego 2016 roku w kaplicy zamkowej otwarta została wystawa prezentująca odnalezione w jednym z niemieckich archiwów fotografie, dokumenty i szkice związane z historią zamku Grodno.

W 2016 roku „Odkrywca" rozpoczął prace badawcze na terenie zamku Grodno. Postanowiliśmy wtedy zmierzyć się z ciekawymi i barwnymi legendami otaczającymi znaną warownię, położoną u podnóża Gór Sowich. W pierwszym etapie przeprowadziliśmy drobiazgowe badania bezinwazyjne, podczas których dzięki pomocy georadaru, wykrywaczy metali i magnetometru udało się nam wytypować kilka interesujących miejsc. W drugim rozpoczęliśmy wykopaliska archeologiczne. Do końca 2016 roku dokładnie przebadaliśmy jeden z punktów – posadzkę piwnicznego pomieszczenia, nazywanego obecnie „salą tortur". Odsłoniliśmy wtedy fragmenty niezidentyfikowanego przedmiotu – prawdopodobnie niewielkiej kasetki, która została ukryta pod posadzką przed 1945 rokiem. Nasze prace będą kontynuowane wiosną 2017 roku, gdy ponownie zmierzymy się z podziemnymi zagadkami Grodna, tym razem ukrytymi pod zamkowym dziedzińcem.

Jednak najciekawsze odkrycia często dokonywane są nie w terenie, we wnętrzu budynków czy w trakcie prac archeologicznych, a między zakurzonymi półkami archiwów i bibliotek. Doskonale znając te realia od wielu miesięcy w cieniu prac badawczych prowadziliśmy również poszukiwania w zasobach archiwalnych.

Jedną z bardziej interesujących instytucji związanych z historią warowni i pałaców, mających długoletnią tradycję, a przy tym mało znaną w Polsce jest „Deutsche Burgenvereinigung". Nazwę te w Polsce przyjęło się tłumaczyć jako Niemieckie Stowarzyszenie Opieki nad Zamkami. Powstało ono w 1899 roku jako „Vereinigung zur Erhaltung deutsche Burgen", czyli Stowarzyszenie na Rzecz Zachowania Niemieckich Zamków. Założył je słynny niemiecki architekt i konserwator zabytków oraz autor wielu publikacji dotyczących architektury rezydencjonalnej – Bodo Ebhardt. Jego działalność na rzecz odbudowy i restauracji zamków na terenie ówczesnych Niemiec, obejmujących m.in. zamek Czocha, Grodziec, Toszek i Bytów, była imponująca. Gdy natknęliśmy się na informacje o funkcjonowaniu Stowarzyszenia, a także o bogatych zbiorach, jakie znajdują się w jego bibliotece i archiwum, nabraliśmy przekonania, że uda się odnaleźć zapomniane dokumenty i materiały dotyczące przedwojennej historii zamku. Dodatkową ciekawostką był fakt, iż Bodo Ebhardt, długoletni prezes Stowarzyszenia, w swojej bogatej karierze zajmował się również odbudową i ratowaniem Zamku Grodno. Dzięki pomocy naszego zaprzyjaźnionego partnera z Niemiec – miesięcznika Relikte Der Geschichte i red. Oktawiana Bartoszewskiego – udało się nam szybko uzyskać wgląd w zbiory Stowarzyszenia przechowywane zamku Philippsburg (Braubach). Okazało się, iż był to strzał w dziesiątkę. W materiałach znalazły się nieznane zdjęcia Zamku Grodno, rzuty architektoniczne określające funkcję poszczególnych budynków i wycinki prasowe pochodzące z przedwojennej niemieckiej prasy. Zawierały one wiele cennych informacji dotyczących historii zamku. Na kartach artykułów można przeczytać m.in. o kłopotach jednego z właścicieli, który miał strzelać „na wiwat" ze zdobycznej francuskiej armaty znajdującej się do dziś na dziedzińcu oraz o losach dzwonu, który został wywieziony z zamku jeszcze w XIX wieku. Przekazane na ręce dyrektora zamku Pawła Brzozowskiego kopie dokumentów i zdjęć zostały umieszczone na specjalnych tablicach w zamkowej kaplicy. Wystawa będzie eksponowana do września 2017 roku. <

TV Wałbrzych o wystawie 1:49 s

m.in. prezentacja eksponatów, wypowiedź odkrywców oraz dyrektora Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu, Pawła Brzozowskiego.

fot. CKiT Walim/ Grzegorz Sanik

TROCHĘ... KÜBELWAGENA Z PLAŻY

PIOTR MASZKOWSKI

W połowie lutego na plaży pomiędzy Pobierowem a Pustkowem odkryto fragment podwozia pojazdu z czasów II wojny światowej.

Odnajdywane podzespoły tego typu zawsze budzą wśród pasjonatów militariów spore emocje. Poszukiwania takich elementów prowadzone są na podstawie przekazów miejscowych świadków, często lakonicznych relacji czy wspomnień uczestników walk sprzed ponad 70 lat. W terenie weryfikuje się je przy wykorzystaniu wykrywaczy metalu bądź innych bardziej zaawansowanych metod bezinwazyjnej penetracji gruntu. Działania te czasami przynoszą efekty w postaci odnajdywanych mniej lub bardziej kompletnych podzespołów, a czasami również całych wraków. Najczęściej jednak o znalezisku decyduje przypadek. Tak było i tym razem.

Gdy na początku lutego jeden z mieszkańców Pobierowa wybrał się na spacer po plaży, zauważył wystające z piasku metalowe części, które wstępnie zidentyfikował jako pozostałości po pojeździe z czasów II wojny światowej. Zaintrygowany znaleziskiem poinformował o nim pracowników Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Dyrektor placówki Aleksander Ostasz niezwłocznie podjął decyzję o przeprowadzeniu oględzin na miejscu. W jej wyniku udało się ustalić, że najprawdopodobniej pod piaskiem znajdują się szczątki niemieckiego samochodu osobowo-terenowego Kübelwagen. Błyskawicznie została zorganizowana próba ich wydobycia, m.in. przy udziale muzealnych specjalistów oraz Urzędu Morskiego w Szczecinie. Po odsłonięciu wierzchniej warstwy piasku i pogłębieniu dołu ukazały się większe fragmenty podwozia – układu kierowniczego, wału napędowego i osi. Niestety, nie zachowały się żadne elementy nadwozia, czy silnika. Pojazd najprawdopodobniej został porzucony w 1945 roku podczas wycofywania się oddziałów niemieckich z tego rejonu. Po zakończeniu wojny jego części zapewne były wykorzystywane przez miejscową ludność, a dzieła zniszczenia dokonało morze.

Po odkopaniu ukazało się podwozie niemieckiego samochodu z czasów II wojny światowej – VW typ 82 Kübelwagen.

Znalezisko trafiło do Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu.

Stan zachowania odzyskanych elementów nie jest najlepszy, całość jest poważnie skorodowana i raczej nie będzie mogła posłużyć do poważniejszej próby rekonstrukcji. Zostaną jednak zapewne poddane wstępnej konserwacji i być może będą w przyszłości wyeksponowane.

VW typ 82 Kübelwagen to lekki pojazd osobowo-terenowy produkowany dla niemieckiej armii w latach 1940-1945. W tym czasie powstało ok. 50 000 sztuk tych charakterystycznych aut, z których niewiele zachowało się do dzisiejszych czasów. Z pewnością zatem przedstawione odkrycie rozbudziło nasze nadzieje, że być może kiedyś, być może gdzieś, uda się odnaleźć bardziej kompletny egzemplarz. Ostatecznie skoro co jakiś czas odkrywane są niemal kompletne wraki czołgów...

fot. Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu

XII KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA

„Z ODKRYWCĄ W NURCIE HISTORII PILICY"

19-21 MAJA 2017 r.

Doroczne spotkania z Czytelnikami podczas majowych Konferencji są dla nas niezwykle ważnym wydarzeniem. Przygotowania idą już od kilku miesięcy pełną parą. Obecnie wraz z współorganizatorem – TRASĄ TURYSTYCZNĄ „BUNKIER W KONEWCE" – domykamy kolejne punkty programu i rozplanowujemy całą logistykę przedsięwzięcia. Jak już informowaliśmy w poprzednim numerze naszą bazą będzie Spała, położona na terenie dawnej Puszczy Pilickiej. Stąd ruszymy na pełną historycznych atrakcji wyprawę, oczywiście tradycyjnie już poprzedzoną serią piątkowych prelekcji, do wygłoszenia których zaprosiliśmy wybitnych znawców bliższej i dalszej przeszłości tutejszych okolic.

Miejsce naszej tegorocznej Konferencji charakteryzuje się niezwykłą i bogatą historią. Podążymy jej intrygującymi śladami, począwszy od średniowiecza, aż po czasy najnowsze. W Spale udamy się tropami rosyjskich carów i prezydentów II RP. Zapoznamy się z drugowojennymi tajemnicami związanymi ze stacjonującym tam wówczas dowództwem wojskowym GG, działalnością polskiego wywiadu i partyzantki. Na trasie naszej wyprawy znajdą się z pewnością schrony kolejowe „Anlage Mitte" w Jeleniu i Konewce oraz pełen unikatowych militariów Skansen Rzeki Pilicy. Odwiedzimy także Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim, Groty Nagórzyckie, ruiny zamku Kazimierza Wielkiego w Inowłodzu, a także wyjątkową bazę lotniczą. Więcej szczegółów dotyczących programu i harmonogramu opublikujemy w kolejnym numerze „Odkrywcy". Wówczas również podamy bliższe informacje na temat systemu rejestracji i zapisów, który uruchomimy już w kwietniu.

UWAGA: KOSZT TEGOROCZNEJ AKREDYTACJI WYNOSI 270,00 ZŁ BRUTTO, W TYM 50,49 ZŁ PODATKU VAT (219,51 ZŁ NETTO) ZA OSOBĘ.
Koszt akredytacji obejmuje: materiały konferencyjne, w tym płytę CD ze specjalną prezentacją, okolicznościowy znaczek, przejazdy autobusami, wejście do wszystkich zwiedzanych obiektów bez dodatkowych opłat, ubezpieczenie NNW na czas trwania konferencji, piątkową kolację oraz sobotni obiad i kolację.
W następnym numerze „Odkrywcy" przekażemy bardziej szczegółowy program oraz informacje związane z akredytacją i zakwaterowaniem.
Zawsze aktualne informacje będą zamieszczane na naszej stronie
www.odkrywca.pl oraz profilu na Facebooku: https://www.facebook.com/Odkrywca

W RAZIE JAKICHKOLWIEK PYTAŃ PISZCIE NA ADRES MAILOWY: KONFERENCJA@ODKRYWCA.PL
DO WASZEJ DYSPOZYCJI SĄ TAKŻE TELEFONY: 71 329 71 71, 71 328 83 71.

Serdecznie zapraszamy stałych Bywalców, którzy doskonale wiedzą, czego można się spodziewać, a także wszystkich tych, którzy jeszcze nie brali udziału w Konferencjach „Odkrywcy". Z naszej strony gwarantujemy pełną satysfakcję wszystkim Uczestnikom.

ODKRYWCA® SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NATURAtour

KLASZTOR W LUBIĄŻU ZDOBYTY! CZĘŚĆ 3

ROMUALD OWCZAREK

fot. Wikipedia, https://creativecommons.org

Wiemy, co się działo w budynku na poszczególnych piętrach w czasie wojny dzięki nowym dokumentom.

Przez ponad 70 lat klasztor w Lubiążu skrywał swoje tajemnice co do roli, jaką odegrał w czasie II wojny światowej, a szczególnie w latach 1943-1945.

Choć wiadomo było już w 1945 r., że klasztor został oddany do dyspozycji firmie Telefunken z Berlina, to nie wiedziano dokładnie, czego dotyczyła działalność powołanej w Lubiążu spółki „Schlesische Werkstätten Dr. Fürstenau & Co G.m.b.H.".

Wciąż pojawiające się hipotezy, mity czy wręcz szukanie na siłę tajnej fabryki podziemnej skutkowało tylko narastaniem aury jeszcze większej zagadki. Ale czas nie stoi w miejscu i kilka miesięcy temu, dzięki życzliwości Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego, dotarłem do niezwykle cennych dokumentów archiwalnych, które pozwalają poznać – piętro po piętrze – zakres prowadzonych prac na terenie klasztoru. Te archiwalne „perełki" prezentowane są publicznie po raz pierwszy.

Sukces naukowców

Po blisko rocznej działalności przeniesionych z Berlina części laboratoriów naukowych do Lubiąża, miało tutaj miejsce szczególne wydarzenie. W dniach 16-17 kwietnia 1944 r. – dla specjalnych gości z Berlina, głównie członków zespołu roboczego Arbeitsgemeinschaft „Rotterdam" (AGR) – odbył się pokaz nowego sprzętu i prezentacja wyników badań naukowych z zakresu techniki radarowej.

Z tej okazji przygotowano specjalne materiały dla gości z Berlina, które miały pomóc w poruszaniu się po tak wielkim obiekcie jak lubiąski klasztor. Dzięki mapkom wiadomo już, jakie i gdzie zlokalizowane były konkretne laboratoria oraz warsztaty na poszczególnych piętrach.

Równie przełomowy jest inny dokument – program pokazów, w którym przedstawiciele firmy Telefunken ujawniają zakres prowadzonych wówczas prac badawczo-rozwojowych.

O dziwo, w kręgu zainteresowania nie znalazł się wtedy już opracowany w całości nowy detektor krzemowy ED 701, o czym szerzej będzie w kolejnym artykule.

Jadą goście

W sobotę, 15 kwietnia 1944 roku, do Lubiąża zaczęli zjeżdżać się przedstawiciele różnych instytucji. Zakwaterowani zostali w bazie „Hedwig"– czyli w pawilonach po dawnym lazarecie. Tutaj też o godz. 21.15 podjęci zostali powitalną kolacją.

Ministerstwo Lotnictwa reprezentowali: oberstabsing. Günther, stabsing. Harmening, dr Stüber, dr Pohlmann, dr Messerschmidt, Hauhenschild, Därr, Schroer.

Przyjechali też: Braun z Flugfunk-Forschungsanstalt w Oberpfaffenhofen (Instytut Rozwoju Urządzeń Lotniczych) oraz Hagenhaus z SSW (prawdopodobnie chodzi o Siemens-Schuckertwerke, które dysponowało znanym laboratorium ds. kabli).

Wśród zaproszonych gości znajdowała się delegacja Dowództwa Marynarki Wojennej w składzie: dr Bertram, dr Becker, Immelen. Problem w tym, że na liście przygotowania posiłków osoby te zostały skreślone, ale nadal pozostały w tzw. harmonogramie zajęć na 16 kwietnia 1944 r. Dowodzi to jednak, że w Lubiążu realizowano programy naukowe dla Kriegsmarine, co zapewne było do tej pory mało znanym faktem historycznym!

Na miejscu w Lubiążu czekali już gospodarze, czyli kadra naukowa Telefunkena, przybyła wcześniej z Berlina (dr Brandt, dr Rothe, dr Kotowski, dr Hagen, Maas, Pederzani, Spiegel, Grimm, Liebau, Feussner – którzy brali udział w comiesięcznych obradach AGR) oraz pracujący na co dzień w „Heinrichu" (dr Rudolf Urtel – zastępca >>>

www.odkrywca.pl

>>> szefa placówki w Lubiążu, dr Fürstenau, dr Kruse, dr Andrieu).

Pokazy, prezentacje

W niedzielę, 16 kwietnia, goście z rana udali się do uroczego zajazdu pod „Czarnym Orłem", gdzie podjęci zostali śniadaniem. O godz. 8.45 przy wejściu do klasztoru powitał gości dr Brandt, po czym dr Fürstenau opowiedział przez 5 minut krótką historię Lubiąża.

Od godz. 9.00 rozpoczęło się ogólne zwiedzanie przez wszystkich, ale tylko tych fragmentów klasztoru i budynków przyklasztornych, w których nie zaplanowano pokazów. Tak więc obejrzano halę montażową, stare i nowe warsztaty oraz biuro projektowe z kreślarzami, które znajdowało się w... Sali Książęcej Pałacu Opata!

Zanim przystąpiono do pokazów, goście z Berlina otrzymali plan rozmieszczenia poszczególnych komórek Telefunkena na terenie Pałacu Opata oraz klasztoru (wnętrze kościoła nie było zajęte przez firmę Telefunken).

To jeden z najciekawszych dokumentów dotyczących wojennych losów klasztoru. I tak na wysokim parterze umieszczono tylko warsztaty, zarówno w Pałacu Opata jak i w klasztorze. Z zachowanych zdjęć wynika, że do tego celu wykorzystano szerokie korytarze. Po wejściu do części klasztornej, po lewej (dziś wyjście dla osób zwiedzających obiekt) znajdował gabinet dr Leo Brandta – szefa całej placówki Telefunkena w Lubiążu. Tuż obok był pokój do przyjmowania gości, tzw. krótkich spotkań. Na samym końcu, na prawo od gabinetu dr Brandta funkcjonowało w klasztornym refektarzu – kasyno.

Na pierwszym piętrze (poza Salą Książęcą) znajdowały się wyłącznie laboratoria badawczo-rozwojowe. Taki sam układ pomieszczeń dla poszczególnych laboratoriów był piętro wyżej.

W pomieszczeniach Pałacu Opata znajdowało się tylko jedno laboratorium. Było to EC Vorentwicklung – które zajmowało się wstępnymi projektami naukowymi, programami dotyczącymi urządzeń dla nowo tworzonych systemów radarowych (szczególnie FuG Berlin).

W samym klasztorze zorganizowano 3 laboratoria:

a) nad gabinetem dr Brandta – laboratorium FM Bodengeräte (urządzenia do radarów naziemnych),

b) w prawym skrzydle klasztoru – laboratorium EB 2 – anteny radarowe,

c) w pozostałej części klasztoru – laboratoria LH – (urządzenia z wykorzystaniem wysokiej częstotliwości).

O godz. 9.45 rozpoczęła się prezentacja oraz pokaz urządzeń dla osób, które podzielono na 3 grupy.

Niestety, nie zachował się program pokazów

PREZENTACJE SPRZĘTU I TECHNIKI LUBIĄŻ 16.04.1944 R.

GRUPA NR 1
OPROWADZA DR HAGEN.
PANOWIE: GROMOLL, GÜNTHNER, DÄRR, DR STÜBER, DR PÖHLMANN, DR MESSERSCHMIDT Z MINISTERSTWA LOTNICTWA ORAZ DR BECKER Z DOWÓDZTWA MARYNARKI WOJ.
9.45 – 12.00
POKAZ: URECHSE, MANNHEIM-WISMAR, WÜRZBACH, KUCKUCK, ANSBACH

GRUPA NR 2
OPROWADZA DR ANDRIEU.
PANOWIE: V. HAUHENSCHILD Z MIN. LOTNICTWA, BRAUN Z FFO (INSTYTUT ROZWOJU URZĄDZEŃ LOTNICZYCH W OBERPFAFFENHOFEN), HAGENHAUS Z SSW (SIEMENS-SCHUCKERTWERKE).
9.45 – 10.30
POKAZ:
PAUKE NACHLAUF
POTEM DOŁĄCZYLI DO GODZ. 12.00 DO GRUPY NR 1

GRUPA NR 3
OPROWADZA DR KRUSE.
PANOWIE: HERMENING, DR BERTRAM, SCHROER Z MIN. LOTNICTWA.
9.45 -12.00
POKAZ: BALDUR
POTEM DOŁĄCZYLI DO GODZ. 12.00 DO GRUPY NR 1

12.00 OBIAD W HEINRICHU NA TERENIE KLASZTORU.
OD 13.00 DALSZA CZĘŚĆ POKAZÓW W NOWOUTWORZONYCH GRUPACH:

GRUPA I
OPROWADZA LIEBAU.
PANOWIE: DR BECKER Z DOWÓDZTWA MARYNARKI WOJENNEJ ORAZ DÄRR, DR STÜBER, DR PÖHLMANN, DR MESSERSCHMIDT Z MINISTERSTWA LOTNICTWA.
13.00 -14.30
POKAZ: EUKLID.

GRUPA II
OPROWADZA DR BRANDT.
PANOWIE: GROMOLL, GÜNTHNER, HAUHENSCHILD Z MIN. LOTNICTWA, BRAUN Z FFO, HAGENHAUS Z SSW I IMMELEN Z DOWÓDZTWA MARYNARKI WOJENNEJ.
13.00 – 14.40
POKAZ Z POKOJU KIEROWNIKA ZAKŁADU: PAUKE NACHLAUF.

GRUPA III
OPROWADZA DR KOTOWSKI.
PANOWIE: DR BERTRAM, HERMENING, SCHROER Z MIN. LOTNICTWA.
13.00 -14.30
POKAZ: NAXOS Q

14.30 PREZENTACJA TECHNICZNA W DZIALE EC
POKAZ: URTEL „PRZECIWDZIAŁANIE ZAKŁÓCENIOM PRACY RADARÓW W RAMACH NP. AKCJI ZRZUCANIA PRZEZ ALIANTÓW FOLII BŁYSZCZĄCEJ – AKCJA: »WINDOW«".

15.30 WYJAZD NA KAWĘ DO RESTAURACJI NA GÓRZE WINNEJ W LUBIĄŻU.
15.40 POCZĘSTUNEK Z KAWĄ
16.30 WYJAZD DO GRETCHEN II
16.40 POKAZ SPRZĘTU RADAROWEGO W GRETCHEN II (GLINIANY) – OPROWADZA: STEIN
PROGRAMY: URECHSE, „MANNHEIM-WISMAR, ANSBACH, KUCKUCK".

18.15 POKAZ SPECJALNY – TYLKO DLA GROMOLLA Z MIN. LOTNICTWA.

18.30 WYJAZD DO HEDWIG
19.00 KOLACJA
20.15 PROGRAM ROZRYWKOWY W HEDWIG.

www.odkrywca.pl

z dnia 17 kwietnia 1944 roku. Szkoda, bo goście zapewne odwiedzili eksperymentalne stanowiska radarowe pod kryptonimem – Gretchen III (w Zagórzycach). Trzeba też poczynić małą uwagę. Pokazy obejmowały stan prac badawczo-rozwojowych według stanu na dzień 15 kwietnia. Sam ośrodek w Lubiążu będzie jeszcze funkcjonował osiem miesięcy – aż do połowy stycznia 1945 roku, co sugeruje, że projektów badawczych było więcej.

Potwierdza to kolejny sensacyjny dokument, który dotyczy zaproszenia na świętowanie jednego z sukcesów, osiągniętych przez pracowników oddziału LE/W Leitung. W czasach obowiązku ochrony tajemnicy służbowej któryś z pracowników kreślarzy sporządził niezwykle interesujący rysunek, obrazujący w przenośni prace oddziału LE/W. Warto się przyjrzeć temu rysunkowi, na którym mocno eksponowana jest wielka maszyneria pod ciekawym kryptonimem „Heinrichs Zauberkiste" – czyli „Czarodziejska skrzynia Lubiąża" (Heinrich).

Najważniejszym jej elementem jest „koło sterowe", którym ustawiano program badawczy.

I tak dowiadujemy się, że „świętowano" sukces związany z programem „Euklid".

Oczywiście nie może nam umknąć lista innych programów badawczych, jak:

a) Rose, Tulpe, Lille (nazwy kwiatów) – nowe urządzenia pomiarowe,

b) Berlin – główny program radarowy,

c) Wismar, Kuckuck, Stute, Löwe, Biene, Pauke, Kogge, Naxos, Hengst.

Efektem pracy starszych wiekiem naukowców oraz czarodziejskiej maszynerii są małe urządzenia, nowe drobne elementy do radarów – przewidziane do dalszych testów na stanowiskach w Gretchen II i III.

Delegacja z Berlina, oprócz prac nad nowym systemem radarowym „Berlin", była szczególnie zainteresowana postępami prac na tzw. „uodpornieniem" będących w powszechnym użyciu radarów „Würzburg" i „Würzburg-Riese" na zakłócenia ich pracy ze strony aliantów. Anglicy szybko rozpoznali długość fali, na jakiej pracują niemieckie radary i bez problemu zaczęli je zakłócać, nawet prostym sposobem, jakim okazał się metalizowany papier. W ramach akcji „Window" (okno) zrzucane były

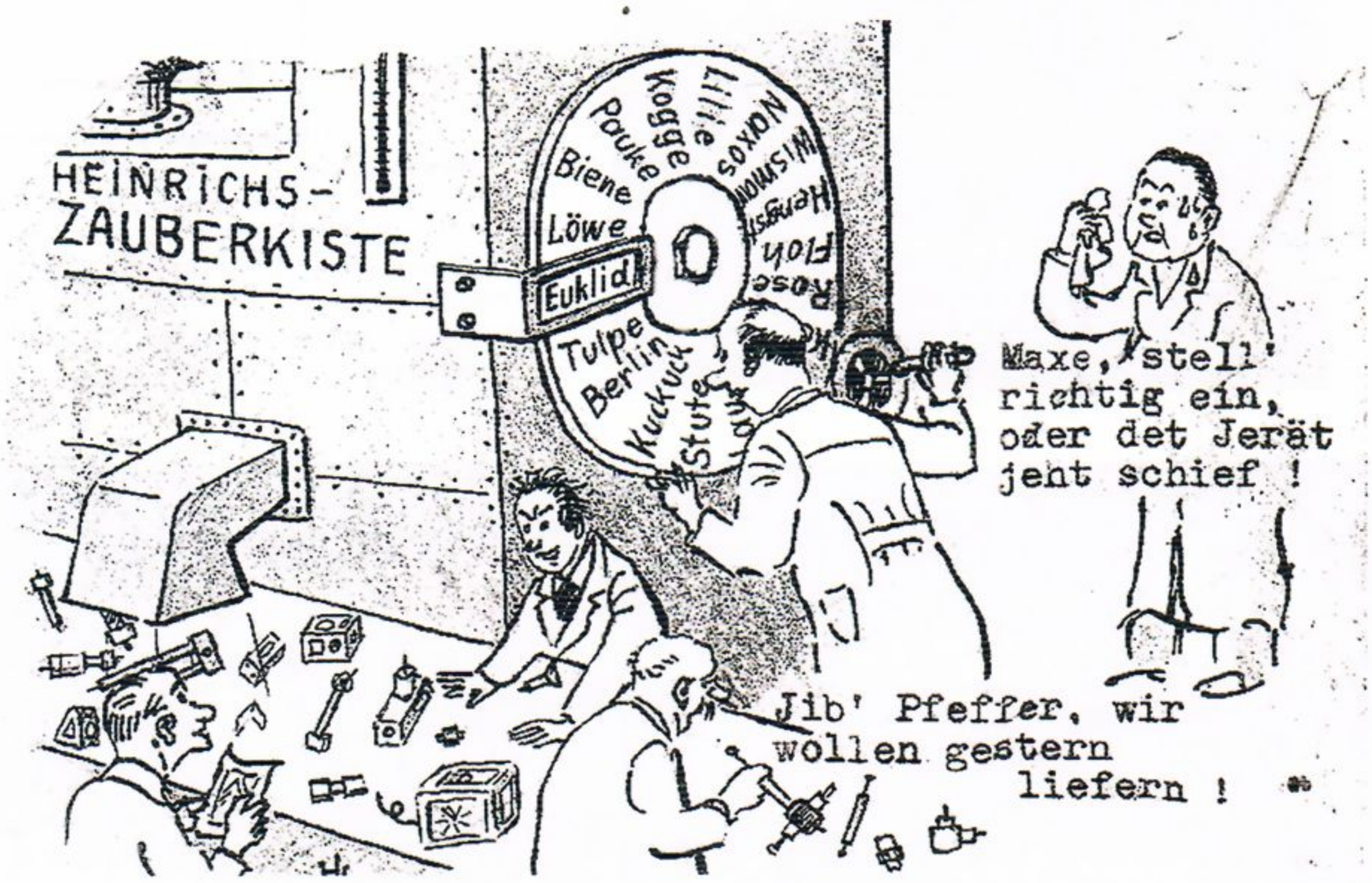

Magiczna „maszyna" naukowców Telefunkena.

przez bombowce brytyjskie duże ilości pasków aluminiowych, pokrytych włóknem szklanym, które tworząc w powietrzu istny festiwal świecących punktów dezorganizowały skuteczną pracę radarów i reflektorów przeciwlotniczych. A przecież stosowane były też urządzenia zakłócające zainstalowane na angielskich samolotach. Niemcy mieli więc duży problem i postanowili szukać pomocy w dodatkowej bardziej zaawansowanej technologii. Dla tego celu w Lubiążu prowadzono prace badawczo-rozwojowe w 3 obszarach:

a) nowy, mocniejszy nadajnik do Würzburga o kryptonimie Urechse, który zastosowany był pod nazwą kodową SÜ 62 d,

b) nowe rodzaje anten dla wąskich wiązek oraz dipoli i kabli,

c) urządzenia typu Wismar.

Innym obszarem zainteresowania berlińskiej delegacji był program wspomagający nawigację lotniczą w rejonie lotnisk – „Baldur" (FuS An 729, FuG 126). Tak naprawdę była to raczej próba skopiowania angielskiego urządzenia GEE. Współpracowało ono z radarem SN2 oraz radiolatarniami przy lotnisku i charakteryzowało się dokładnością do 100 m.

O wiele ciekawszym projektem było urządzenie – „Pauke (A,S)" z serii urządzeń Blindzielgerät FuG 215. Urządzenie to miało wspomagać namierzanie niewidocznych celów w czasie walk lotniczych w nocy. Współpracować miały z radarem pokładowym Lichtenstein. Problemem jednak było bezbłędne rozpoznawanie „swój – obcy samolot".

Samo urządzenie miało pracować wraz z nadajnikiem o mocy 30 kW, z częstotliwością 400-450 MHz. Założono, że zasięg namierzania obcego samolotu miał wynosić do 1500 m, z dokładnością do 5 m.

Z listy programów na czarodziejskiej skrzyni „Heinrich" czy z programu pokazu wynika, że w Lubiążu zajmowano się dużą gamą przeróżnych udoskonaleń urządzeń głównie przeznaczonych dla Luftwaffe i obrony przeciwlotniczej III Rzeszy. Była to bardzo ważna kwestia, jeśli tylko uwzględni się fakt, że samych radarów różnego typu Würzburg wyprodukowano do końca wojny blisko 5500 sztuk. >>>

www.odkrywca.pl

ODKRYCIE: LABORATORIA I WARSZTATY W LUBIĄŻ

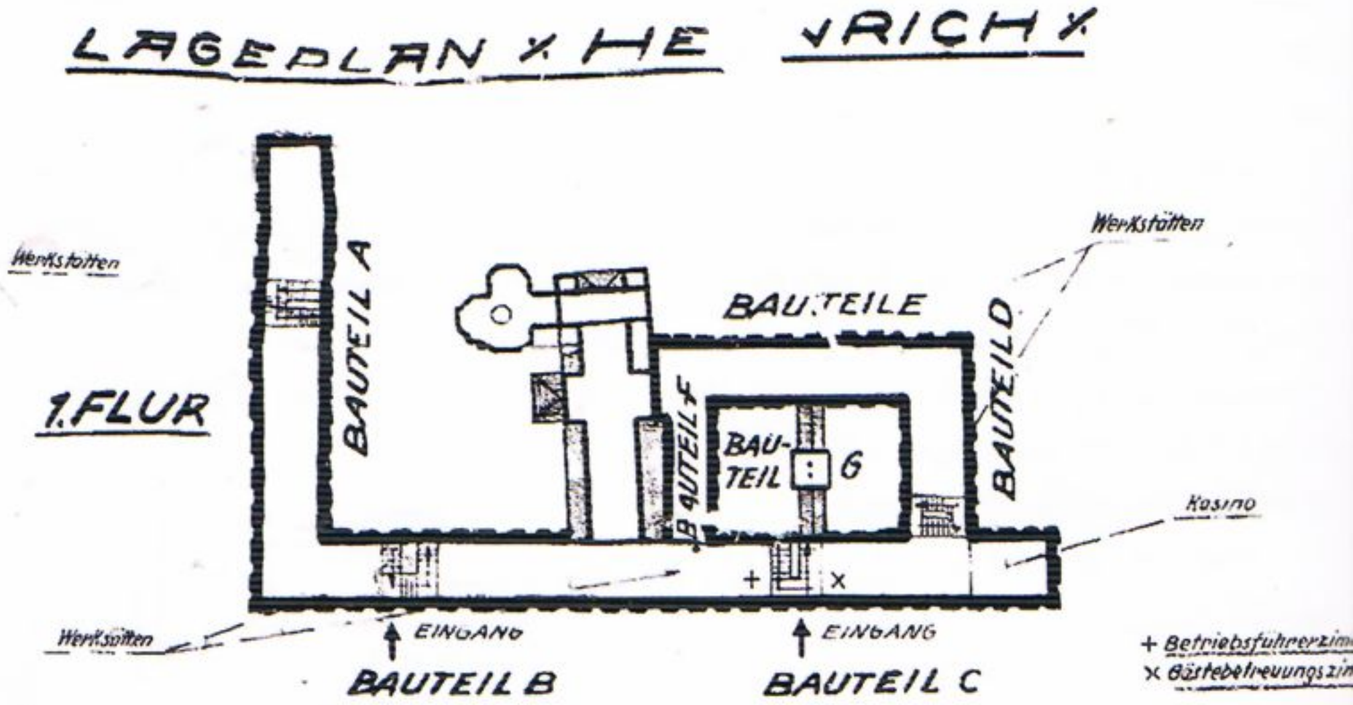

LABORATORIA I INNE POMIESZCZENIA OZNACZONE NA DOKUMENCIE 1.FLUR (PARTER).
NA PONIŻSZEJ WIZUALIZACJI ADNOTACJE Z TEGO SCHEMATU ZOSTAŁY OZNACZONE NUMERAMI 1-5.

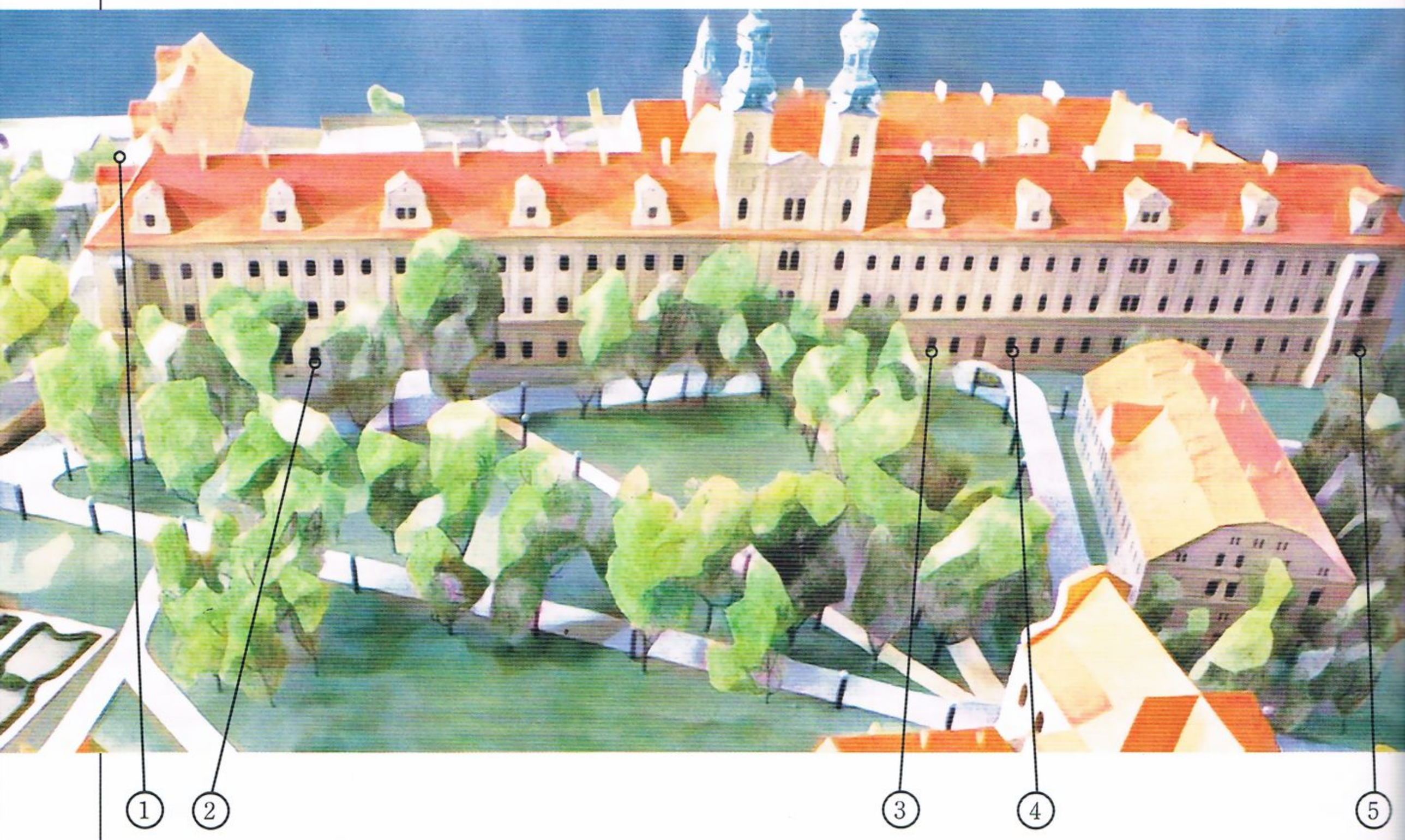

① ② (Werkstätten) warsztaty na wysokim parterze od strony frontowej i w Pałacu Opata; oznaczone na dokumencie 1.Flur.

③ Gabinet na parterze dr Leo Brandta, szefa placówki Telefunkena w Lubiążu, znajdujący się z prawej strony do wejścia do klasztoru (dziś wyjście dla osób zwiedzających obiekt); oznaczony na dokumencie 1.Flur.

④ Pokój na parterze do przyjmowania gości, krótkich spotkań, znajdujący się z lewej strony do wejścia do klasztoru (dziś wyjście dla osób zwiedzających obiekt); oznaczony na dokumencie 1.Flur.

⑤ Kasyno na parterze, znajdowało się na końcu prawego skrzydła (wcześniej był to klasztorny refektarz); oznaczony na dokumencie 1.Flur.

⑥ (EB2 Entwicklung) – Laboratorium anten radarowych. Znajdowało się na pierwszym oraz drugim piętrze, w prawym bocznym skrzydle klasztoru; oznaczone na dokumencie 2.Flur i 3.Flur.

www.odkrywca.pl

NA PODSTAWIE NIEMIECKICH PLANÓW Z 16.04.1944 R.

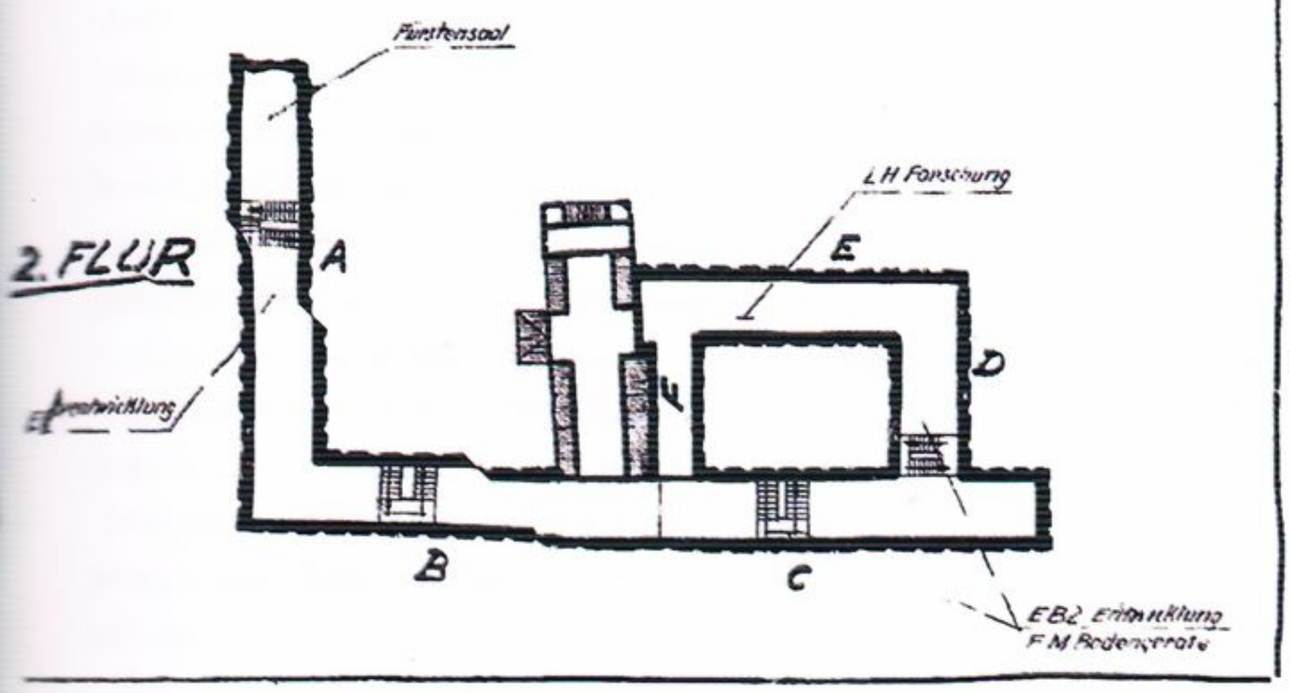

LABORATORIA OZNACZONE NA DOKUMENCIE 2.FLUR (PIERWSZE PIĘTRO). NA PONIŻSZEJ WIZUALIZACJI ADNOTACJE Z TEGO SCHEMATU ZOSTAŁY OZNACZONE NUMERAMI 6,7,8,9,11,12.

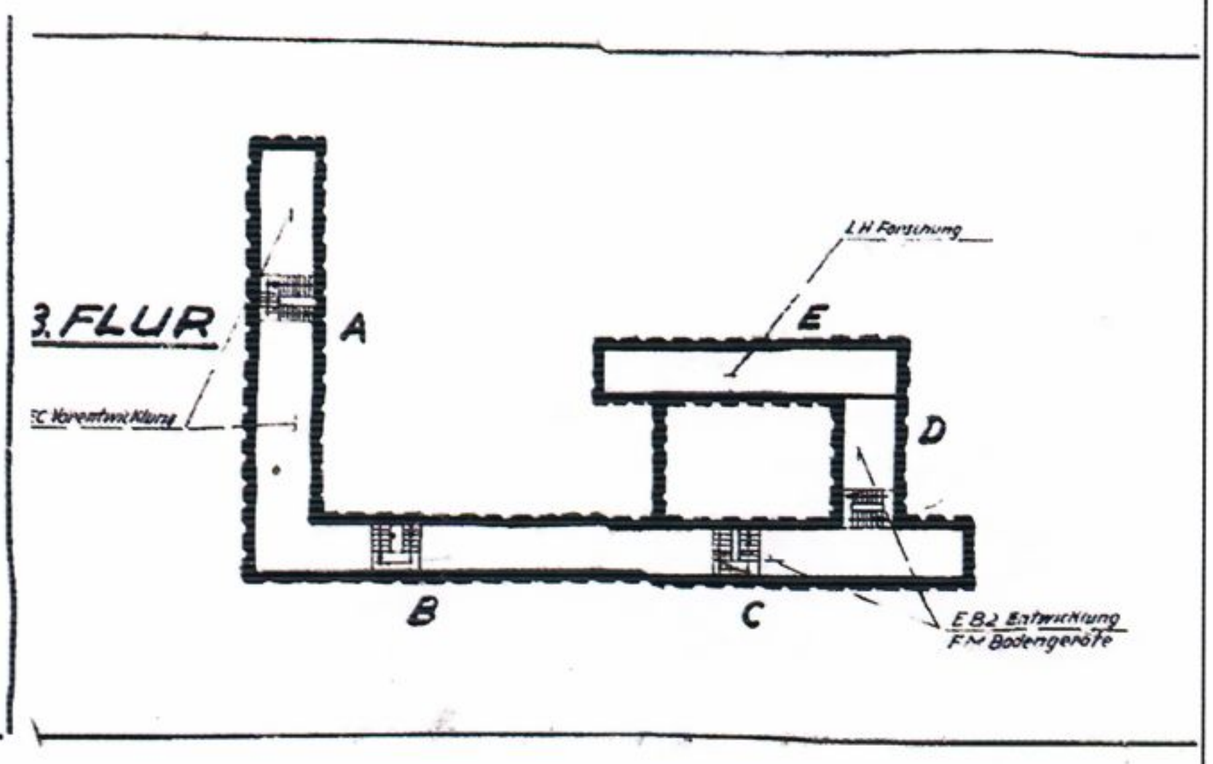

LABORATORIA OZNACZONE NA DOKUMENCIE 3.FLUR (DRUGIE PIĘTRO). NA PONIŻSZEJ WIZUALIZACJI ADNOTACJE Z TEGO SCHEMATU ZOSTAŁY OZNACZONE NUMERAMI 10,13,14.

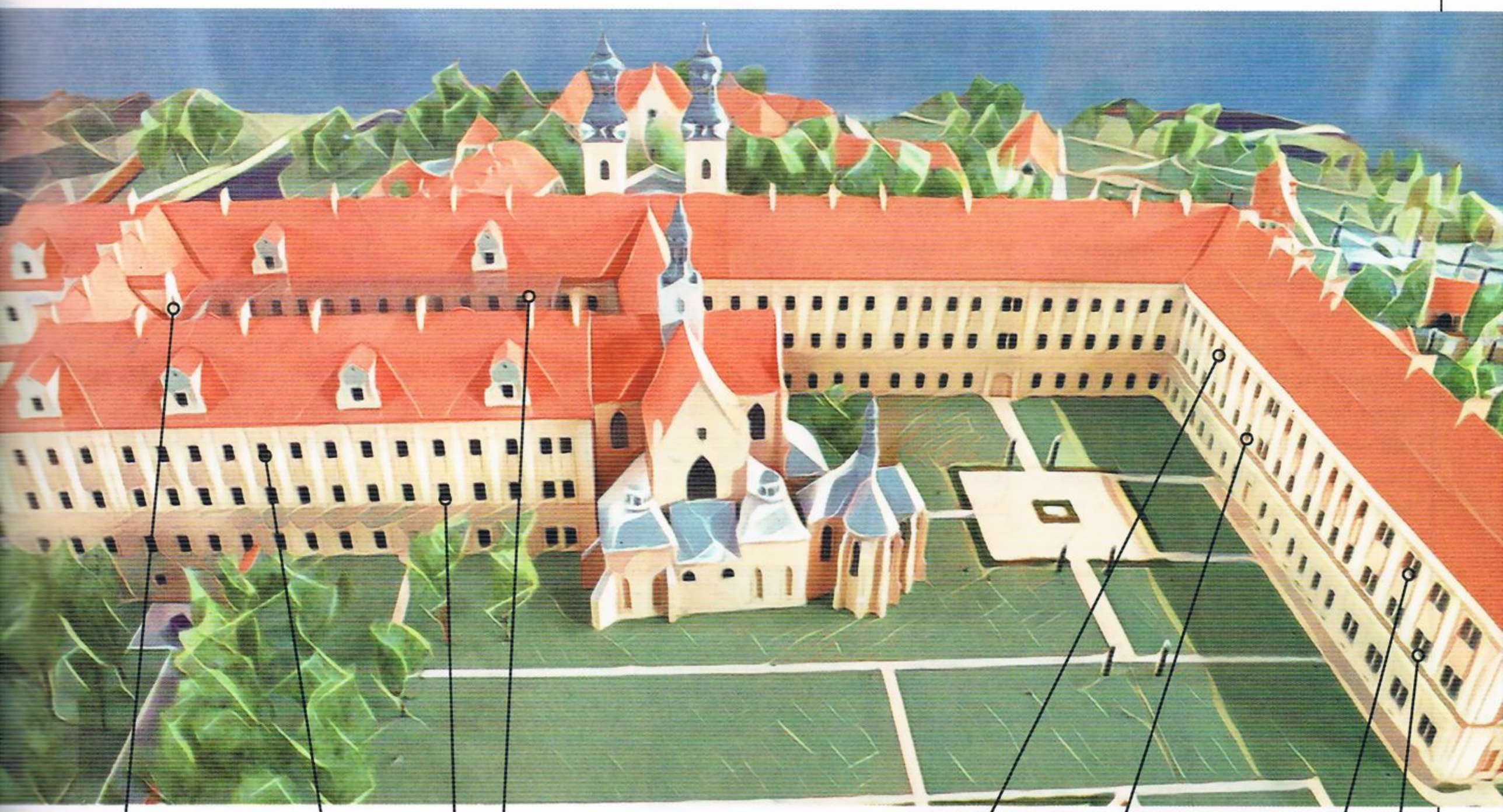

⑦⑧ (LH Forschung) – laboratoria pracujące nad urządzeniami z wykorzystaniem wysokiej częstotliwości. Znajdowały się na drugim piętrze (nr 7) oraz pierwszym piętrze (nr 8) w części klasztornej; oznaczone na dokumencie 2.Flur. oraz 3.Flur.

⑨ (FM Bodengeräte) – laboratorium urządzeń do radarów naziemnych, na pierwszym (tuż nad gabinetem dr Leo Brandta) i drugim piętrze; oznaczone na dokumentach 2.Flur i 3.Flur.

⑩⑪⑫ (EC Vorentwicklung) – laboratorium zajmujące się wstępnymi projektami naukowymi, programami dotyczącymi urządzeń dla nowo tworzonych systemów radarowych (szczególnie FuG Berlin); oznaczony na dokumencie 2.Flur. oraz 3.Flur.

⑬ Sala Książęca w Pałacu Opata – tu znajdowało się biuro projektowe z miejscami pracy dla kreślarzy; oznaczone na dokumencie 2.Flur .

https://creativecommons.org

www.odkrywca.pl

PLACÓWKI I RADARY TELEFUNKENA

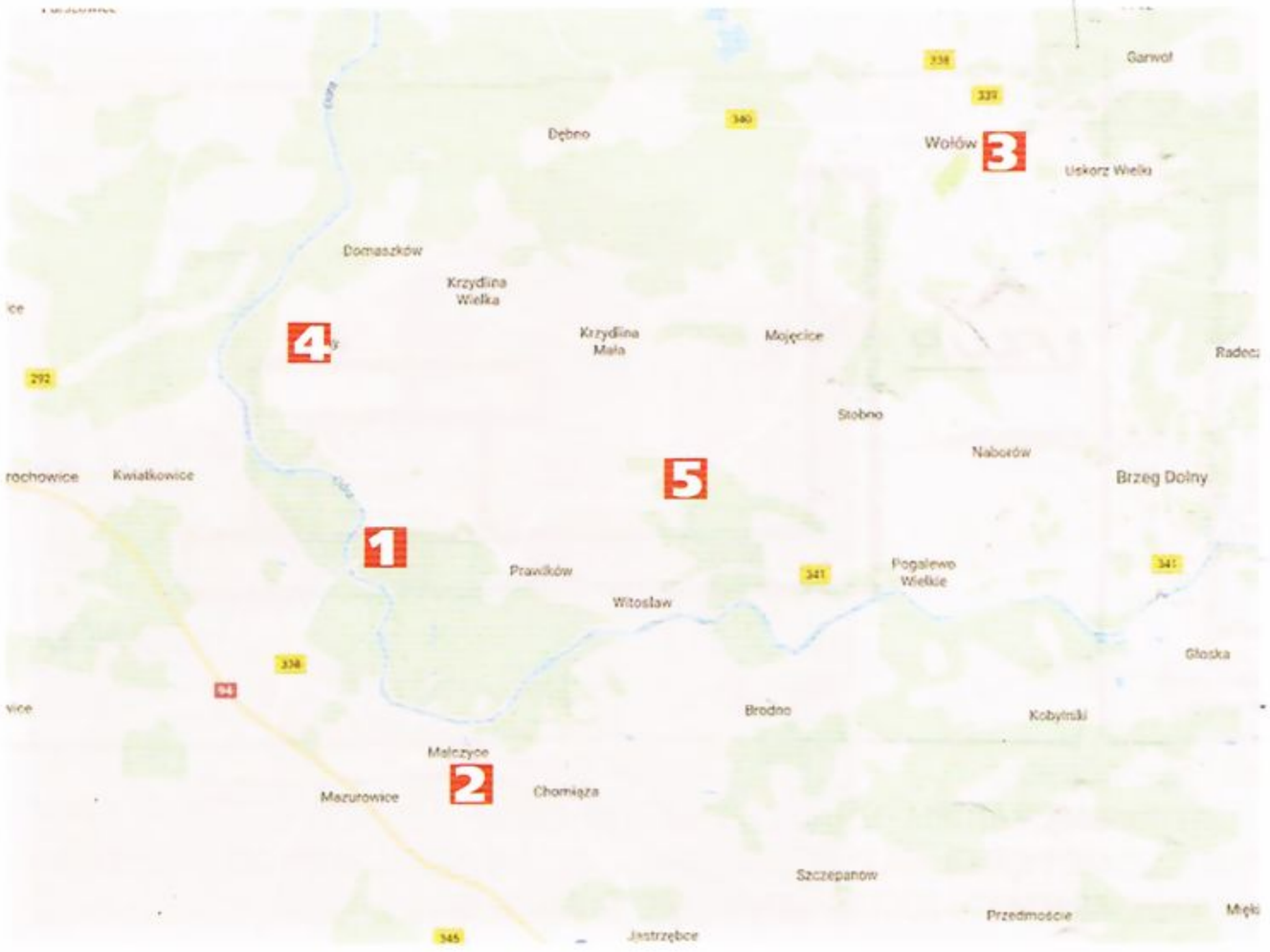

1 OPACTWO CYSTERSÓW z obiektem, w którym usytuowano warsztaty i laboratoria m.in. firmy Telefunken.

2 MALCZYCE – laboratoria i warsztaty, do których dojeżdżali pracownicy z Lubiąża.

3 WOŁÓW – laboratoria i warsztaty, do których dojeżdżali pracownicy z Lubiąża.

4 GLINIANY – Zespół radarowy Gretchen II.

5 ZAGÓRZYCE – zespół radarowy Gretchen III.

>>> Ale Lubiąż kryje jeszcze inną tajemnicę – realizowano tutaj również ciekawe projekty dla… Kriegsmarine, ale o tym trochę więcej w następnym artykule.

Niezależnie od pozyskanej wiedzy co do zakresu prac naukowych, wciąż nurtowała mnie sprawa odnalezienia dokumentu, który rozjaśniłby kwestię mitycznej fabryki zbrojeniowej w Lubiążu. Musiało by to być coś w rodzaju zarządzenia wewnętrznego, które odnosiłoby się do struktur całej placówki w Lubiążu.

A to ci niespodzianka!

Spokojnie wertuję kolejne paczki dokumentów z DTH i nagle mój wzrok przyciąga blady dokument pełen różnych cyfr, podpisany przez dr. Fürstenaua.

Okazuje się, że to kolejna perełka archiwalna – zarządzenie nr 22/44 z dnia 18 lipca 1944 roku w sprawie nowego harmonogramu czasu pracy.

Dr Fürstenau we wstępie wyjaśnia, że zmiany w organizacji czasu pracy wynikają głównie z faktu, że placówka w Lubiążu od 20 lipca 1944 roku przystępuje do realizacji specjalnego programu (Sonderprogramm), w związku z czym część pracowników będzie musiała pracować w wydłużonym czasie. Przy nowych zasadach czasu pracy wprowadzono dodatkowe dwie zasady: w soboty praca będzie trwała tylko do obiadu (ok. 6 godzin), zaś w niedzielę dla wszystkich mężczyzn wprowadzono blisko 10-godzinny czas pracy.

Jedynie kobiety miały wolną niedzielę. Ponadto wyjaśniono, że godziny rozpoczynania pracy dopasowano do rozkładu jazdy pociągów. Zrobiło się trochę tajemniczo, bo o co tu chodzi z tymi pociągami?

Wszystko wyjaśniło się po analizie załącznika do zarządzenia. Nie ukrywam, że byłem kompletnie zaskoczony. Otóż w załączniku wymienia się laboratoria i warsztaty Schlesiche Werkstätten Dr. Fürstenau & Co.… z miastami: Lubiąż, Malczyce i Wołów! Okazuje się, że nie tylko w Lubiążu, ale również w Malczycach i Wołowie Telefunken miał swoje placówki.

Co ciekawe, musiały one istnieć o wiele wcześniej, bo nowy harmonogram czasu pracy obejmuje nie tylko pracowników Sonderprogramm, ale innych pracowników pracujących w normalnym trybie, osoby młodociane i kobiety.

Wskazanie na konieczność dopasowania rozpoczęcia i zakończenia godzin pracy do rozkładu jazdy pociągów, dowodzi, że pracownicy do Wołowa i Malczyc byli dowożeni transportem kolejowym, mieszkając na stałe w bazie „Hedwig". Oczywiście największą tutaj niespodzianką jest, że w przypadku Wołowa i Malczyc pisze się wprost: warsztaty i laboratoria!

Wprowadzono 4 rodzaje czasów pracy:

a) normalny czas pracy dla mężczyzn

– warsztaty w Lubiążu, Wołowie i w Malczycach zaczynały prace o 6.35, kończyły zaś od poniedziałku do piątku – o godz. 17.45, w sobotę o 12.20, zaś w niedzielę – o 16.10,

– laboratorium w Malczycach

www.odkrywca.pl

pracowało od poniedziałku do piątku oraz w niedzielę w tych samych godzinach co tamtejsze warsztaty, zaś w sobotę od godz. 7.25 do 13.10,

– laboratoria w Lubiążu i w Wołowie zaczynały pracę później, bo o godz. 7.25 (poniedziałek-sobota), zaś w niedzielę o godz. 6.35; pracowano od poniedziałku do piątku – do godz. 18.35, w sobotę do – 13.10, zaś w niedzielę do 16.10,

c) czas pracy przy Sonderprogramm:

– pracownicy zatrudnieni we wszystkich laboratoriach i warsztatach pracę zaczynali o godz. 6.35.

kobiety w Lubiążu pracowały w sobotę do godz. 13.10, w pozostałe dni – do godz. 16.40.

Ślad Malczyc pojawił się w moich badaniach o wiele wcześniej. Z archiwum berlińskiego, oprócz dokumentów dotyczących stacji radarowych w Glinianach i Zagórzycach przekazano mi również enigmatyczną umowę na dzierżawę nieruchomości właśnie w Malczycach. Wówczas nie potrafiłem tego skojarzyć z żadnym innym dokumentem. Dziś już wiadomo, że przedmiotowa umowa dotyczyła zapewne filii lubiąskiej placówki.

Z prawej prawdopodobnie dr Fürstenau (zdjęcie odnalezione w Lubiążu).

Różnie było z godzinami kończenia pracy: od poniedziałku do piątku w Lubiążu i Wołowie – o godz. 18.35, zaś w Malczycach – o godz. 17.45. W sobotę we wszystkich filiach pracowano do 13.10, zaś w niedzielę pracowano aż do 17.25.

Ponadto część załogi pracowała w systemie 53-godzinnym. Jedynie kobiety pracowały 6 dni w tygodniu (wolne niedziele), w związku z czym ich czas pracy został skrócony do 48 godzin. Kobiety również rozpoczynały pracę o godz. 6.35, za wyjątkiem laboratoriów w Lubiążu, gdzie pracowały od godz. 7.25. W Malczycach i Wołowie pracę kończyły w sobotę o godz. 12.20, pozostałe dni – godz. 15.50. Natomiast

Umowa – kuriozum

Zachowało się kilka umów dzierżawy zawartych przez dr Fürstenaua (tereny pod budowę radarów stacjonarnych, piekarnia w Lubiążu), ale umowa zawarta z Okręgowym Związkiem Komunalnym w Środzie Śląskiej na dzierżawę 59-arowej działki w Malczycach wciąż mnie intryguje. Zachowała się treść umowy, która obowiązywała od 10 marca 1944 oku. Podpisana została najpierw w lipcu w Malczycach, zaś przez dr Fürstenaua dopiero w listopadzie 1944 roku. Wydzierżawiony został teren, który wówczas nie był w trakcie użytkowania rolniczego. W § 3 umowy dr Fürstenau zastrzegł sobie możliwość budowy niezbędnych obiektów i montażu urządzeń, nieodzownych dla działalności Śląskich Warsztatów i to nawet wtedy, gdyby spowodowało to w okresie późniejszym pogorszenie przydatności gruntów rolnych. Wysokość czynszu dzierżawnego była symboliczna i wynosiła w skali roku – zaledwie 60 marek. W § 5 określone zostały warunki rozwiązania umowy, które są naprawdę zaskakujące:

„wydzierżawiający może wypowiedzieć umowę najwcześniej po upływie 2 lat [! – przyp. autora] od zakończenia wojny, przy zachowaniu 6-miesięcznego okresu wypowiedzenia. Za czas zakończenia wojny uważa się datę ogłoszenia jej końca – podaną przez właściwy organ państwowy. Strona biorąca w dzierżawę teren, może odstąpić od umowy w dowolnym czasie, nawet podczas wojny, o ile będą wymagały tego inne potrzeby wojenne".

Dziwić może zapis, że firma Telefunken jeszcze 2 lata po wojnie zastrzegła sobie możliwość zachowania dzierżawionego terenu. Po co? Ale jeszcze bardziej chyba zaskakuje termin – „zakończenie wojny"! Ba – jakiej? Zwycięskiej – czy przegranej?

Niezależnie od powyższych rozterek nasuwa się również pytanie – po co organizowano jeszcze w Malczycach i w Wołowie filie lubiąskiej placówki? Uważam, że musiano tutaj prowadzić badania, o których mało kto miał pojęcie w głównym ośrodku – w Lubiążu.

Autor składa serdeczne podziękowania członkom Dolnośląskiego Towarzystwa Historycznego za okazaną pomoc oraz możliwość skorzystania z dokumentów archiwalnych i ich prezentacji na łamach „Odkrywcy". <

Romuald Owczarek

www.odkrywca.pl

WUNDERWAFFE Z BABICH DOŁÓW

RADEK BICZAK

Zdarza się tak, że niektóre odkrycia czy znaleziska mają równie ciekawą historię, co samo trafienie. Podobnie było z bombotorpedami znalezionymi w Gdyni.

Zaczęło się banalnie – od spotkania na przysłowiowym piwie. Wracałem z Helu, gdzie bez większych efektów węszyłem za tematem nadającym się do kolejnego odcinka „Poszukiwaczy Historii". W Gdyni miałem przesiadkę – korzystając z okazji, spotkałem się z dawno niewidzianym kumplem, członkiem gdańskiej LATEBRY – Fundacji Na Rzecz Odzyskania Zaginionych Dzieł Sztuki, Remigiuszem Pacerem. Przy okazji towarzyskiej pogaduchy zapytałem, czy może Remik ma jakiś ciekawy trop, któremu warto się przyjrzeć (po głowie chodził mi Napoleon, którym kolega zajmuje się od lat). Wprawdzie z Napoleona nic pewnego nie było, ale na Babich Dołach, w pobliżu lotniska wojskowego, leżało jakieś dziwne ustrojstwo, którym bezskutecznie próbowali zaopiekować się złomiarze. Temat okazał się jednak dla nich dosłownie za ciężki. Przedmiot miał formę stożka, długości ok. 3 m, średnicę szerszej podstawy ok. 50 cm i stalowe ścianki grube na 30 mm. Całość uzupełniał rodzaj szyn – prowadnic zakończonych dziwnym kowadełkiem. Najciekawsze, że nikt nie wiedział, cóż to może być, a ja dołączyłem do szeregu. Jednak biorąc pod uwagę okolicę znaleziska, która również w czasie II wojny światowej miała militarny charakter, temat wydawał się ciekawy na tyle, żeby puścić go w obieg po znajomych z branży.

Korpus prototypowej bombotorpedy BT 1000 RS napędzanej silnikiem rakietowym – mamy go!

Korpus bombotorpedy szczęśliwie zdeponowany w Muzeum Marynarki Wojennej.

Grzegorz Płoński rozpoznaje

Jednym z nich był Wojtek Mąka, który pomagał nam w programach przy identyfikacji szczątków rozbitej rakiety V2 i niemieckiego samolotu. Również nie wiedział cóż to, ale jako specjalista przyczepił się do kowadełka, które jego zdaniem było zawiesiem transportowym Luftwaffe do podczepiania pod skrzydło samolotu. Na pewno stożek był zbyt ciężki na rakietę czy zasobnik. Pytania krążyły dalej, zahaczając nawet o Nowy York, aż trafiły do Grześka Płońskiego, który jest uznawany w Polsce za najlepszego znawcę rakiet. Bingo! Grzesiek nie miał wątpliwości, że mamy do czynienia z korpusem pro-

totypowej bombotorpedy BT 1000 RS – jedynej napędzanej silnikiem rakietowym, która nie wyszła poza fazę testów, i co ważne, żadne muzeum na świecie jej nie ma. Wojtek określił to ładnie: „strzałem w milion dolarów".

Działać należało szybko. Wypadało załatwić zgody na podjęcie korpusu i muzeum tematyczne gotowe przyjąć fragment prototypu. Do głowy przychodziły trzy placówki: Muzeum Lotnictwa w Krakowie, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i Marynarki Wojennej w Gdyni. Na korzyść ostatniego przemawiała bliska lokalizacja oraz znajomość z zastępcą dyrektora Lechem Trawickim, z którym współpracowaliśmy przy jednym z realizowanych odcinków. Lechowi nie trzeba było tłumaczyć, o co chodzi. Podjął błyskawiczną decyzję i obiecał pomóc załatwić zgody. Dodatkowego smaku sprawie dodał Lech, informując, że prawdopodobnie mają silnik od takiej bombotorpedy pozyskany gdzieś na złomie. Z ramienia muzeum został do tematu oddelegowany adiunkt Piotr Czerepak.

Kiedy wyszliśmy na ostatnią prostą, sprawy zaczęły się komplikować. Załatwianie pozwoleń utknęło w muzeum. My zakończyliśmy jesienny sezon: „Poszukiwaczy Historii", a bez decyzji o kolejnym producent nie chciał ryzykować. LATEBRA, która obiecała załatwić sprzęt niezbędny do podjęcia i transportu bombotorped, zaczynała się irytować – gdzieś w cieniu byli złomiarze...

Prace rozpoczęte

W końcu ruszyło. W projekt zaangażował się nawet dyrektor stacji Polsat Play, Radek Sławiński. Producent, Marcin Stelmaszyński, zaczął poganiać muzeum, które załatwiło zgodę od Lasów Państwowych na podjęcie korpusu oraz od wojska na przejazd przez teren lotniska, przez który wiodła jedyna rozsądna droga dla ciężkiego sprzętu. Pozostało ustalić konkretny dzień. LATEBRA miała dostęp do koparki i lawety w sobotę, Piotr Czerepak upierał się na piątku, obiecując załatwienie sprzętu. Stanęło na piątku.

Trzeba przyznać, że złomiarze odwalili za nas kawał roboty – wyciągnęli korpus bombotorpedy z głębokiego jaru w płaską część lasu, gdzie porzucili towar. Pewnie nie dogadali się z wojskiem na użyczenie drogi przejazdowej. Nam pozostało zamontować pasy transportowe i liczyć, że operator koparki da radę. Znał się na rzeczy – wytargał towar na pozbawiony drzew plac. Jednak, żeby było zabawniej, w trakcie działań okazało się, że na dnie jaru jest jeszcze jeden, identyczny korpus, ale przysypany ziemią i gruzem. Wyciąganie drugiego stożka, po stromej skarpie, było dużo bardziej skomplikowane. Istniało ryzyko, że pasy transportowe się zsuną i bombotorpeda spadnie dalej niż leżała wcześniej. Operator ponownie dał radę – mieliśmy obie sztuki na placu, tylko nie mieliśmy transportu – wszak laweta LATEBRY była dostępna dopiero następnego dnia. Czekać nie mogliśmy. Znalezisko musiało wylądować w muzeum i wypadało do niego dopasować silnik, o którym wspominał Lech Trawicki. Po różnych kombinacjach na placu boju pojawił się bus z hydroklapą, auto niekoniecznie przeznaczone do gabarytów tego typu. Operator koparki ponownie wykazał się finezją, ładując żelastwo do środka. Jadąc do muzeum zastana- >>>

„LATEBRA" w akcji – drugi korpus na powierzchni.

>>> wialiśmy się głośno, jakie mogą być nagłówki gazet, jeżeli jedno z mocowań puści i na zakręcie bombotorpeda wypadnie. Wygrał: „Ostatni lot bombotorpedy", ale na szczęście dotarliśmy do celu bez strat. Wjechaliśmy od zaplecza na plac techniczny i po kolejnych przebojach z rozładunkiem korpusy zostały zrzucone w jeden z kątów. Konsternacja. Jak zauważył ktoś z ekipy telewizyjnej zakończenie niczym z „Poszukiwaczy zaginionej arki". Wszyscy się ślinią, że unikat, a tu bach – leży sobie kawałek złomu obok innych. Przekonywać Piotra Czerepaka do lepszego wyeksponowania bombotorpedy ruszył producent razem z reżyserem. Wszyscy byli zmęczeni, głodni i zmarznięci. Jakoś się udało. W dużej mierze ręcznie przetoczyliśmy korpus na otwartą przestrzeń, podłożyliśmy belki i dowieźliśmy ważący około 160 kg silnik. Jeszcze chwila przymierzania i nie ma wątpliwości. Pasuje nie tylko średnica, ale również rozstaw śrub mocujących. Puzzle bombotorpedy typu BT 1000 RS zostały poskładane. Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni ma unikatowy prototyp niemieckiego Wunderwaffe!

Wspominałem kiedyś, że znalezienie fantu może być początkiem ciekawej historii. Podobnie jest w tym przypadku. Kiedy opadł eksploracyjny pył, zaczęły spływać kolejne informacje. Podobno bombotorpedy były trzy. Drugi silnik jest gdzieś na zachodzie. Ktoś ma zdjęcie archiwalne, ktoś wspomnienia pilota. Sytuacja jest rozwojowa. Wprawdzie kolejnego odcinka „Poszukiwaczy Historii" z tego nie będzie, ale jest co tropić.

Wydobycie stożka z jaru.

„Gimnastyka" przy nietypowym załadunku.

Radek Biczak
Prowadzący program telewizyjny „Poszukiwacze Historii".

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

GARRETT METAL DETECTORS

www.garrett.com

NOWOŚĆ

ACE 200i

ACE 300i

ACE 400i

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro 💧

AT Gold 💧🟡

GTI 2500

Sea Hunter Mark II 💧💧💧

ATX 💧

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter 💧💧💧

TM 808

FISHER RESEARCH LABS

Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21 💧💧💧

1280-X Aquanaut 💧💧💧

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030 💧

GPZ 7000 🟡

SDC 2300 🟡

Excalibur II 💧💧💧

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II 💧

Garrett Pro-Pointer AT 💧

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

HISTORIA W ZDJĘCIACH UKRYTA

ADAM KORYTOWSKI

W Jurowie czekano na właściciela depozytu. Lata mijały, a porucznik nie wracał. Z czasem uznano, że zginął na wojnie. Prawda okazała się inna...

Jan Prasoł w mundurze podporucznika, miejsce wykonania zdjęcia nieznane, prawdopodobnie 1935 r.

Niedawno, oglądając u rodziny mojej żony zdjęcia z lat 60. i 70., nagle natknąłem się na zdjęcie maszerującego porucznika w polskim przedwojennym mundurze. Oficerki, rogatywka, charakterystyczny krój munduru nie pozostawiały wątpliwości, że zdjęcie kompletnie nie pasuje do pozostałych. Wyrazista twarz i modny wówczas wąsik szybko zapadły mi w pamięć (fot. 1 i 2).

– A to kto? – pytam.

– A to polski porucznik, stara historia – odpowiedział mi teść.

– No to opowiedz...

1939 r., wieś Jurów

Jan Rozborski prowadził w Jurowie niewielkie gospodarstwo, był tam także sołtysem. W okolicach 20-23 września do drzwi jego domu zapukało 3 nieznajomych. Do izby weszli polscy żołnierze: major z ordynansem i porucznik. Pochodzili

ODKRYTE LOSY JANA PRASOŁA

1 JAWORNIK, 8 LUTEGO 1900 R. – data narodzin Jana Prasoła.

2 ŁAŃCUT – miejsce zamieszkania i uczęszczania do gimnazjum.

3 LWÓW – studia na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, ukończone w 1932 r.

4 POWIAT RÓWNIEŃSKI, DZIATKOWICE – miejsce pracy jako samorządowy lekarz weterynarii.

5 ZAMBRÓW, W LATACH 1929-1935 (?) – szkolenia w Szkole Podchorążych Rezerwy w Zambrowie.

6 STARGARD – 50 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych im. Francesco Nullo, w którym służył Jan Prasoł, w 1939 r. został przerzucony na Pomorze. Czy tam walczył nasz bohater?

7 WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI – czy też jako weterynarz przebywał w Ośrodku Zapasowym 27DP we Włodzimierzu Wołyńskim? (to wersja bardziej prawdopodobna).

z jednej z rozbitych lub zdemobilizowanych polskich jednostek, które w tamtym czasie licznie przechodziły przez okoliczne wsie i miasteczka. Goście, choć nieproszeni i przybywający w tak niespokojnym czasie, zostali przyjęci bardzo przyjaźnie. Po dwu lub trzech dniach żołnierze podjęli decyzję o dalszej ucieczce. Porucznik i ordynans poprosili o cywilną odzież, przebrali się i przygotowali do dalszej wędrówki. Major odmówił porzucenia munduru, podobno mówił: „Choćby jeszcze jeden dzień w polskim mundurze". Wiadomo, że uciekinierzy bardzo bali się Rosjan, padały słowa: „Lepsza niemiecka kula niż ruska niewola".

Zanim przybysze wyruszyli w dalszą drogę, porucznik oddał gospodarzowi drewnianą kasetkę ze swoimi prywatnymi fotografiami. Zapewnił, że jeżeli przeżyje wojnę, po nie wróci, miały dla niego szczególną wartość, zawierały wspomnienia całego dotychczasowego życia.

Nie wiadomo, w którą stronę wyruszyli, zaginęli w mrokach tragicznego września 1939 r. Gospodarze, w strachu przed Niemcami, mundury spalili, a zdjęcia ukryto. Rozpoczęły się trudne czasy okupacji. Strach przed Niemcami z czasem zmienił się w strach przed Ukraińcami, później przewalił się front, nastały czasy władzy robotniczo-chłopskiej, wojna się skończyła. Wieś i gospodarstwo przetrwały, zdjęcia „polskiego oficera" nie trafiły do pieca, choć z pewnością w razie jakiegoś przeszukania byłyby kłopotliwe. Czekano na właściciela. Lata mijały, a porucznik nie wracał po depozyt. Z czasem uznano, że niestety zginął na wojnie.

Po dziesięcioleciach aparaty fotograficzne trafiły pod strzechy i stare fotografie przemieszały się z coraz popularniejszymi najpierw >>>

Jan Prasoł, zdjęcie portretowe wykonane w Równem

8 JURÓW, 20-23 WRZEŚNIA 1939 R. Do gospodarstwa Jana Rozborskiego przychodzi 3 żołnierzy. Porucznik oddał gospodarzowi drewnianą kasetkę ze swoimi prywatnymi fotografiami. Zapewnił, że jeżeli przeżyje wojnę, po nie wróci, miały dla niego szczególną wartość, zawierały wspomnienia całego dotychczasowego życia.

9 MURNAU – nasz bohater dostaje się do niemieckiej niewoli i trafia do oflagu VIIA w Murnau. Przebywa tam 5 lat.

10 BROOKLYN, USA – Jan Prasoł emigruje do Stanów Zjednoczonych, nigdy nie wraca do kraju. Umiera w 1968 r. w wieku 68 lat.

Zdjęcie grupowe uczniów łańcuckiego gimnazjum, Jan Prasoł dolny rząd, pierwszy od lewej.

>>> czarno-białymi, później kolorowymi zdjęciami. Kolekcja, wraz z odchodzącymi z domu dorosłymi dziećmi, rozjeżdżała się po Polsce.. Część zdjęć, razem ze swoimi rodzinnymi pamiątkami, zabrał mój przyszły teść.

77 lat później, Toruń, rok 2016

– Kto to był ten porucznik, jak się nazywał? – pytam.

– Nazywał się Jan Prazo lub Prazoł, był weterynarzem – odpowiada mi teść. – Niestety nic więcej mi nie wiadomo, miałem wtedy zaledwie roczek, wszystko znam z opowieści.

Odwracam małe zdjęcie portretowe Jana, na odwrocie słabo widoczna pieczątka zakładu fotograficznego: „Równe, 3-go Maja ". Zdjęć mam zaledwie 8, na większości jakieś postaci, mało podpisów „Jankowi Stach 1933", budynki, których podobnych jest wiele w niemal każdym polskim mieście. Jedna miejscowość zapisana na odwrocie: Zalesie – szybkie przeszukanie mapy Polski i... 330 wyszukań! Mimo wszystko postanawiam odnaleźć Jana, chcę dowiedzieć się, co stało się z polskim porucznikiem.

Głównym narzędziem moich poszukiwań był internet. Niestety, pierwsze efekty kwerendy są nadzwyczaj skromne. Nazwisko Prazoł jest bardzo rzadkie, po moim poruczniku żadnego śladu. Sprawa jak pięknie się rozpoczęła, tak chyba szybko się skończy. No cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Trzeba szukać pomocy wśród internetowych znajomych, co dwie głowy to nie jedna! Z pomocą przyszedł mi wspaniały znawca historii polskiej weterynarii doktor Włodzimierz Gibasiewicz. W jego książce „Utrwalone skrawki życia" udało się odnaleźć biogram lekarza weterynarii o nazwisku Jan Prasoł. Nie mogło być wątpliwości, to „mój" porucznik, a kluczem okazał się jego zawód – weterynarz. Należało zmienić jedną literę w nazwisku i tajemnica historii się otworzyła.

Kontynuuję poszukiwania innych zdjęć z kolekcji Jana. Od rodziny porozrzucanej po całej Polsce udaje mi się odzyskać rozproszone archiwum. Z ośmiu zdjęć nagle robi się ich ponad pięćdziesiąt. Nowe twarze, miejsca, wreszcie więcej podpisów na odwrotach zdjęć. Dobrze, że Jan miał zwyczaj robić notatki na zdjęciach, bez tego wielu wątków nie udałoby się połączyć. Próbuję fotografie układać chronologicznie, powstaje z tego piękny, ilustrowany rys życia w Galicji i Kresach Wschodnich w początku XX w. i latach międzywojennych.

Początek odtwarzania historii

Jan Prasoł urodził się 8 lutego 1900 roku we wsi Jawornik. Pierwsze zdjęcie, na którym widać go jako nastolatka (fot. 3) wygląda na grupowe zdjęcie szkolne. Szczęście się do mnie uśmiecha, na jednym z for historyczno-genealogicznych udaje się odnaleźć Jana w spisie uczniów gimnazjum w Łańcucie. Na odwrocie szkolnego zdjęcia znajdują się nazwiska wszystkich uczniów. Moje historyczne źródło znakomicie potwierdza internetową listę. Tych samych uczniów idealnie znajduję na spisie (fot. 5). A więc znam już miasto – Łańcut. Kolejnym łańcuckim znaleziskiem jest dom Kazimierza Prasoła – kierownika szkoły powszechnej. Odnajduję go na planie miasta, jako jeden z miejskich zabytków. Szybka weryfikacja na Google Maps nie pozostawia wątpliwości, dwa zdjęcia z kolekcji, datowane na 1933 roku przedstawiają rodzinny dom Jana w Łańcucie (fot. 4, źródło Google Maps, fot. 6 i 7). Dom przetrwał do dziś, niemal

Dom Prasołów, Łańcut – stan dzisiejszy.

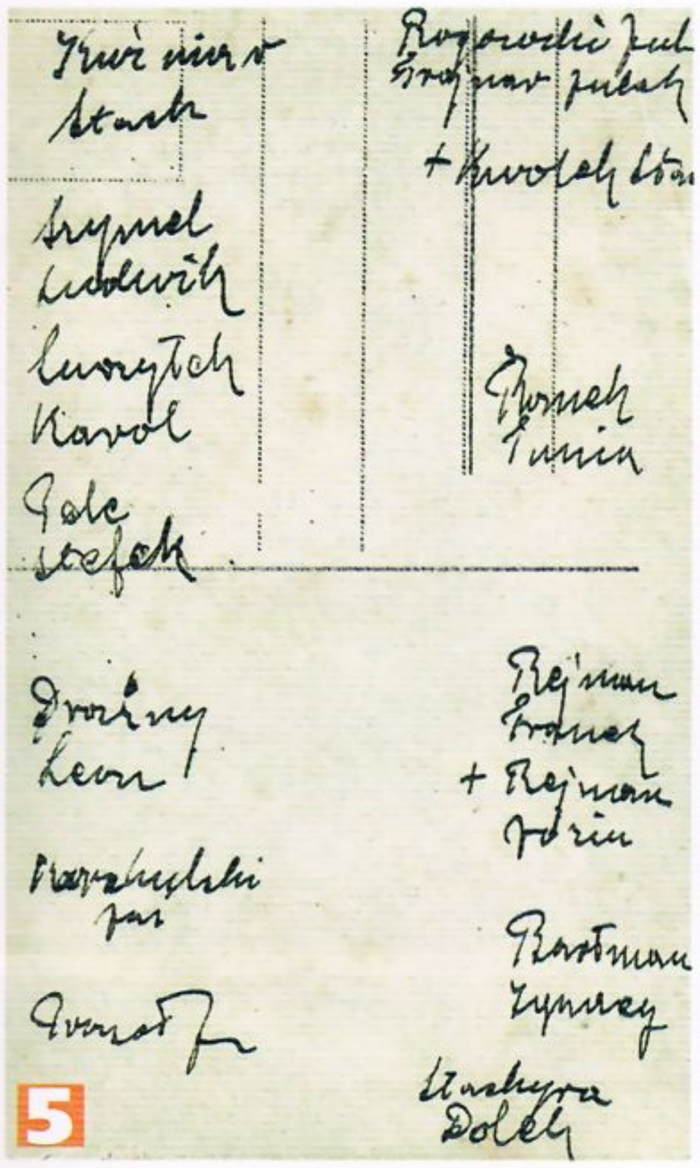
5

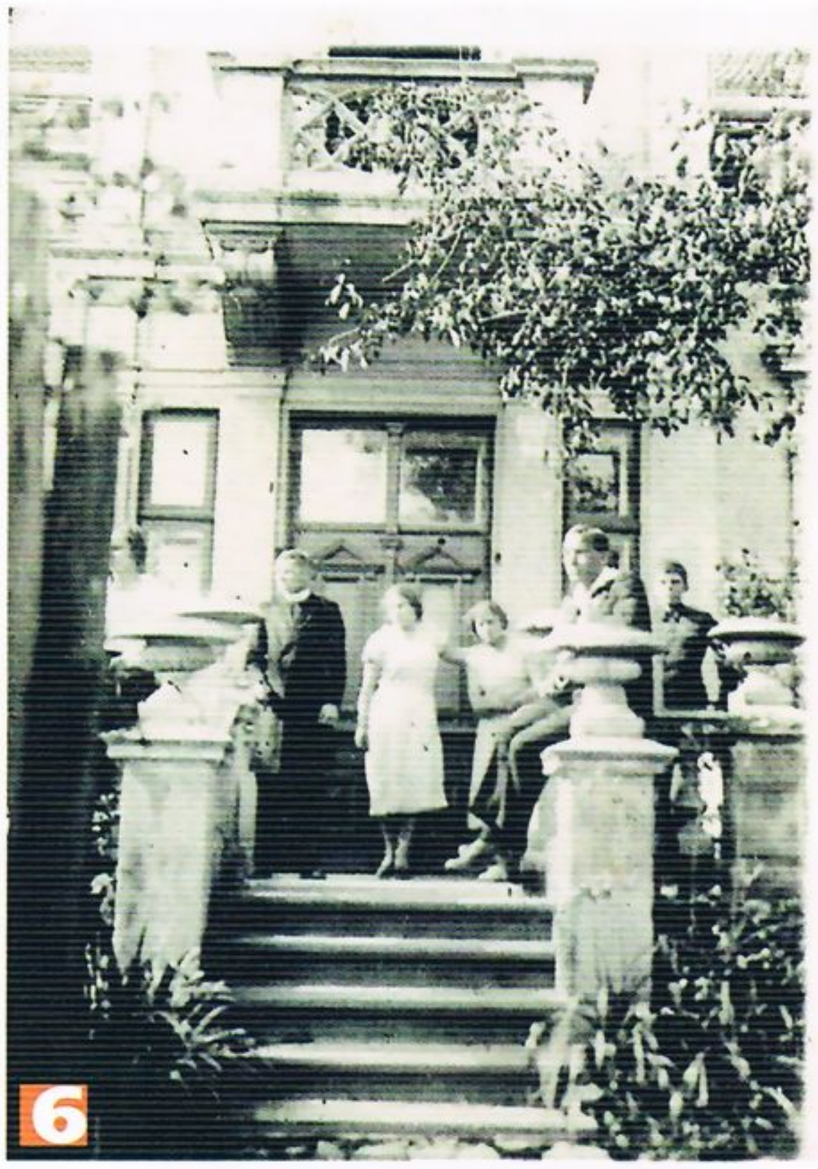
6

7

w niezmienionym kształcie. Fascynujące jest uczucie zobaczenia anonimowego budynku z czarno-białego zdjęcia, nagle w kolorze w dzisiejszych realiach.

Wśród zdjęć z nauki w Łańcucie przewijają się także fotografie kolegów Jana. Szczególną pozycję wydaje się wśród nich zajmować rodzeństwo Rejmann. Franek i Józiu Rejmannowie znajdują się opisani już na szkolnym zdjęciu grupowym. Na innych zdjęciach przewija się Franciszek, ale bardzo przejmujące jest zdjęcie Józefa Rejmanna jako młodego, polskiego żołnierza wojny polsko-ukraińskiej. Na odwrocie Jan napisał: „Rejmann Józef po powrocie z wojny ukraińskiej zmarł na galopujące suchoty w czerwcu w 1920 r." (fot. 8).

Kolejną ciekawostkę dotyczącą rodziny Rejmannów odnajdujemy na zdjęciu trzech braci – od lewej: Franciszka, Bronisława i Aleksandra (fot. 9). Bronisław został w przyszłości sędzią w Rzeszowie i Łańcucie, zaś Aleksander uzyskał tytuł profesora i stał się niezwykle znaną postacią polskiego ogrodnictwa i sadownictwa, autorem wielu naukowych pozycji z tej dziedziny, a także prorektorem SGGW w Warszawie. Zmarł w 2005 r. Udało mi się nawiązać kontakt z Andrzejem Rejmannem, synem Aleksandra, znanym polskim muzykiem i kompozytorem. Zdjęcia z archiwum Jana Prasoła były zupełnie nieznane rodzinie Rejmannów, ich fotokopie wzbogaciły rodzinne archiwa.

Wróćmy do Jana Prasoła, którego życie ilustrują kolejne obrazy. Nasz bohater opuścił Łańcut i rozpoczął studia na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Studia ukończył w 1932 r. Z okresu studiów pozostało kilka zdjęć ukazujących życie studenckie polskiego Lwowa. W niniejszym tekście prezentuję trzy zdjęcia z tego okresu. Fot. 10 przedstawia dużą grupę studentów (lub absolwentów) prawdopodobnie przed lwowskim dworcem głównym. Uwagę zwracają korporacyjne czapki na głowach niektórych studentów. Fot. 11 – zdjęcie wykonane w holu jakiegoś budynku (Akademia Medycyny Weterynaryjnej?), na prawej ścianie szyld „Dyrekcja". Fot. 12 wykonana w Auli Uniwersyteckiej, dawniej sali posiedzeń Sejmu Galicyjskiego. Zdjęcie wykonane prawdopodobnie w czasie jakiejś wycieczki, zwraca uwagę, że większość osób na zdjęciu to kobiety.

W czasie studiów student Jan Prasoł odbył praktyki weterynaryjne. Na zdjęciu nr 13 widnieje gmach ja- >>>

Spis uczniów na odwrocie grupowego zdjęcia. Dom Prasołów, Łańcut 1933 r.

Józef Rejmann po powrocie z wojny polsko-ukraińskiej, 1919 lub 1920 r.

8

fot. arch. autora

www.odkrywca.pl

>>> kiegoś zakładu, prawdopodobnie mięsnego, jednak jego lokalizacja jest dla mnie nieznana. Po ukończeniu studiów Jan pracował jako samorządowy lekarz weterynarii i mieszkał w miejscowości Dziatkowice, powiat równieński. To w Równem zrobił sobie zdjęcie, które było pierwsze, na jakim go zobaczyłem. Jan utrzymywał kontakty ze swoją rodziną. Miał trzech braci i cztery siostry, z rodzeństwa był najstarszy. Kolejny brat – Stanisław urodził się w 1910 r., więc był aż 10 lat młodszy, jednak więź między braćmi musiała być silna. Stanisława Prasoła można rozpoznać na kilku zdjęciach, jest to tym bardziej łatwe, że został on księdzem i koloratka szybko rzuca się w oczy (fot. 14).

Brat księdzem zaginionym

Ksiądz Stanisław Prasoł jest bardzo ciekawą postacią, z pewnością zasługującą na głębsze badania archiwalne. Seminarium duchowne ukończył we Lwowie (fot. 15), został wikariuszem parafii w Lubaczowie. Aktywnie działał w harcerstwie i w pracy z młodzieżą. W latach 1938-41 był wikariuszem parafii Janów Lwowski, później został wikariuszem we Lwowie. Współpracował z konspiracyjną Armią Krajową oraz był członkiem lwowskiej, polskiej organizacji konspiracyjnej „Harcerstwo Polskie". Po wygnaniu Niemców i rozpoczęciu radzieckiej okupacji wyjechał w 1945 r. z częścią parafian do Kłodzka, a potem Wrocławia, gdzie posługiwał wśród polskich uchodźców z ziemi lwowskiej. Miał także współpracować z podziemną, niepodległościową organizacją „Wolność i Niepodległość". W roku 1950 lub 51 zamierzał wyjechać na urlop do Zakopanego. Po opuszczeniu parafii nikt go więcej nie widział. Nie wiadomo nawet, czy dotarł do dworca kolejowego we Wrocławiu. Prawdopodobnie został aresztowany przez zbrodnicze UB i zamordowany, miejsce spoczynku nieznane. Zdjęcia księdza Stanisława wzbogaciły jego biogram w internetowej „Białej Księdze – Martyrolo-

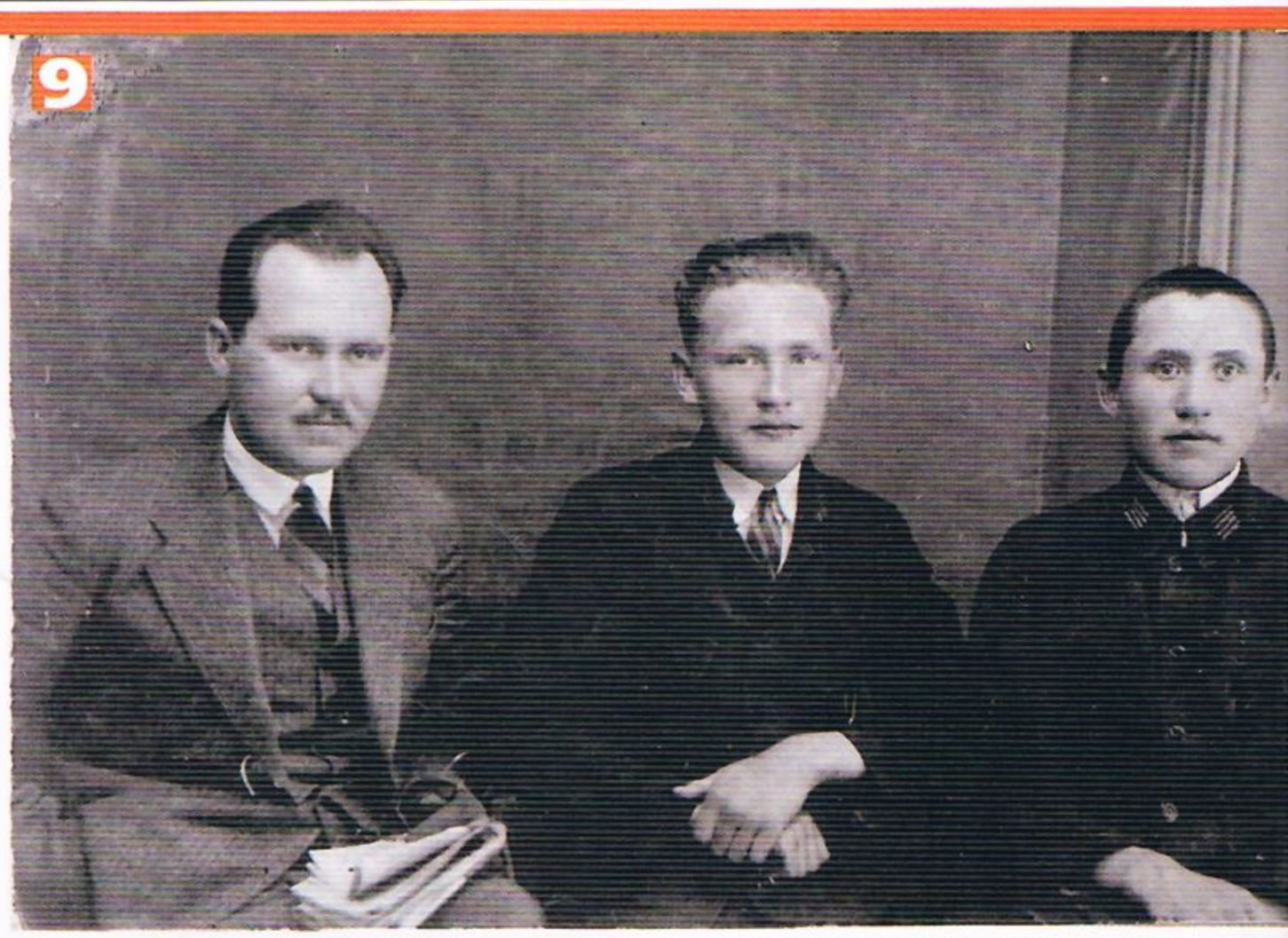

9 Rodzeństwo Rejmannów, od lewej: Franciszek, Bronisław, Aleksander.

10 Zdjęcie grupowe przed lwowskim dworcem, 1932 r.

11 Zdjęcie grupowe w holu uniwersyteckim (?), 1932 r.

Zdjęcie grupowe w Auli Uniwersyteckiej, Jan Prasoł siedzi, pierwszy po prawej, rok nieznany.

gium Duchowieństwa Polskiego", dane życiorysu udało się ustalić we współpracy z tą właśnie stroną.

Jan a wojsko

Powróćmy do Jana. Po ukończeniu studiów rozpoczęły się jego związki z wojskiem. Nie ma na zdjęciach nic, co by wskazywało na udział Jana w wojnie polsko-ukraińskiej lub polsko-bolszewickiej. Są za to zdjęcia dowodzące jego szkolenia w Szkole Podchorążych Rezerwy w Zambrowie. Szkoła została utworzona w roku 1929 i działała do roku 1935. Na zdjęciu nr 16 widzimy grupę podoficerów (Jan z założonymi rękami), niektórzy już wysoko odznaczeni. Na kołnierzykach widoczna charakterystyczna odznaka dla uczniów Szkół Podchorążych Rezerwy. Tę samą odznakę można zauważyć na płaszczach żołnierzy stojących przed szkolnymi koszarami (fot. 17). Po ukończeniu szkolenia i otrzymaniu stopnia podporucznika Jan nosił na mundurze odznakę pamiątkową SPR Piechoty (jej zarys widoczny na fot. 1).

Jan Prasoł z pewnością był człowiekiem z dużym poczuciem patriotyzmu. Na portretowym zdjęciu nr 2 widzimy w klapie marynarki odznakę Związku Oficerów Rezerwy RP. Organizacja bliska obozowi Piłsudczyków zrzeszała i krzewiła wiedzę wojskową wśród oficerów rezerwy i młodzieży. Zdjęcie portretowe było jednym z pierwszych zdjęć, na którym zobaczyłem Jana Prasoła. Jest także jednym z ostatnich, które można dość dokładnie datować – po studiach i po zakończeniu szkolenia wojskowego, zatem gdzieś na rok 1934/35. Do wybuchu wojny pozosta- >>>

Zakład, w którym Jan Prasoł odbywał praktyki, miejsce nieznane.

www.odkrywca.pl

>>> ło niewiele czasu, zaledwie kilka lat. Jan ożenił się, miał także córkę Krystynę. Zapewne pracował jako weterynarz w Dziatkowicach, może były to najszczęśliwsze lata jego życia?

Wojna

Świat się jednak zmieniał i nadchodzące wydarzenia nie ominęły Jana. Przed wybuchem wojny Jan Prasoł został zmobilizowany przez Dowództwo Okręgu Korpusu nr II w Lublinie jako porucznik rezerwy. Można postawić hipotezę do jakiej jednostki trafił, na jednym ze zdjęć widnieje na jego pagonie nr 50. Wskazywałoby to na 50. Pułk Piechoty Strzelców Kresowych im. Francesco Nullo, który w nadchodzącej kampanii został przydzielony do 27 Dywizji Piechoty. Dyslokowana w okresie pokoju na Wołyniu w roku 1939 dywizja została przerzucona na Pomorze, gdzie razem z 13 Dywizją Piechoty stanowić miała Korpus Interwencyjny mający na celu swoich działań Wolne Miasto Gdańsk. Korpus Interwencyjny został jednak rozwiązany, a 27 DP w walkach na Pomorzu została rozbita. 50 Pułk po starciach w rejonie poligonu Grupa już 4 września przestał istnieć jako zwarta jednostka. Większość żołnierzy albo zginęła albo dostała się do niewoli. Nasuwa się pytanie, jak Jan Prasoł znalazł się pod Tomaszowem Lubelskim? Naiwną byłaby wiara, że z rozbitej jednostki udało mu się przebić przez pół Polski, przez tereny opanowane już przez Niemców. Bardziej realne wydaje się przypuszczenie, że jako weterynarz był pozostawiony w Ośrodku Zapasowym 27 DP we Włodzimierzu Wołyńskim. Z wojsk będących w okolicach Włodzimierza zorganizowano Grupę Operacyjną „Włodzimierz Wołyński". Grupa w dniach 14 i 15 września stoczyła udany bój obronny Włodzimierza z 90 Dywizją Lekką. Jednak już 18 września ogłoszono demobilizację i rozpuszczono większość wojska. Myślę, że w tej właśnie grupie znalazł się Jan Prasoł, który postanowił uciekać na zachód przed postępującą Armią Czerwoną. W ten sposób w końcu dotarł do wsi Jurów pod Tomaszowem Lubelskim.

Czy Jan Prasoł zginął i dlatego nie powrócił po swoje fotograficzne archiwum? Udało się ustalić, że nasz bohater dostał się jednak do niemieckiej niewoli. Wraz z setkami polskich oficerów trafił do oflagu VIIA w Murnau. Otrzymał nr jeńca 16748 i tam też, po ponad pięciu latach, doczekał wyzwolenia obozu przez oddziały amerykańskiej 12 Dywizji Pancernej gen. Rodericka Allena.

Dalsze losy Jana są trudne do odtworzenia, wiemy tylko, że początkowo pozostał w Niemczech, później wyemigrował do USA. Do kraju nie powrócił. Jest oczywistym zadanie pytania – dlaczego? Odpowiedzi mogą być różne: trauma po obozie jenieckim i rozluźnienie związków rodzinnych, świadomość utraty przez Polskę kresów. Z pewnością znaczenie miała też nowa władza komunistyczna. Jan należał do inteligencji, miał brata księdza, który współpracował z podziemiem, musiał więc mieć świadomość, że w „nowej Polsce" może być prześladowany. Jego losy w USA nie są mi znane. Pewne jest, że zmarł w 1968 r., prawdopodobnie na Brooklynie, w wieku 68 lat. Jego grób, ze zdjęciem, możemy odnaleźć na polonijnym cmentarzu w Doylestown przy Narodowym Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej. Prosty, wojskowy krzyż, zdjęcie w mundurze podporucznika 50 Pułku Piechoty. Krótka notka: Por. Dr Jan Prasoł 1900 – 1968.

Ten krótki zarys osób i informacji znalezionych na zdjęciach z archiwum Jana Prasoła jest oczywiście niekompletny. Możliwe, że ja-

14

Ks. Stanisław Prasoł, 1935r.

15

Ks. Stanisław Prasoł (dolny rząd, drugi z prawej) w grupie księży lub kleryków, zdjęcie wykonano w 1933 r. prawdopodobnie w budynku seminarium duchownego we Lwowie, pod statuą św. bpa Józefa Bilczewskiego.

fot. arch. autora

www.odkrywca.pl

HISTORIA STANISŁAWA PRASOŁA

1 Prawdopodobnie urodzony w JAWORNIKU.

2 LWÓW – kończy seminarium duchowne.

3 Wikariusz w LUBACZOWIE.

4 JANÓW LWOWSKI, 1938-1941 – wikariusz.

5 LWÓW – wikariusz (ponownie).

6 1945 r. – wyjeżdza do KŁODZKA, potem do WROCŁAWIA.

7 WROCŁAW, 1950 lub 1951 r. Planuje wyjechać do ZAKOPANEGO, wychodzi z parafii, dalsze losy są nieznane.

kieś dane źle zostały przeze mnie ustalone lub zinterpretowane. Wszystkich, którzy mogą wnieść coś nowego do tej historii proszę o kontakt na mój adres mailowy: akorytowski@poczta.onet.pl.

Najbliższą rodzinę Jana odnalazłem w Rzeszowie, mieszka tam jego bratanek. Całość kolekcji zdjęć zostanie przekazana rodzinie.

Podziękowania za pomoc przy ustalaniu wielu faktów chciałbym przekazać Maciejowi Dęboróg – Bylczyńskiemu, dr. Włodzimierzowi Gibasiewiczowi oraz Joannie i Kazimierzowi Prasołom.

Adam Korytowski
Historyk, absolwent Wydziału Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu. Kolekcjoner pamiątek z epoki napoleońskiej oraz starej fotografii. Stały czytelnik miesięcznika „Odkrywca".

Zdjęcie grupowe uczniów Szkoły Podchorążych Rezerwy.

Uczniowie Szkoły Podchorążych Rezerwy w pełnym rynsztunku.

ŹRÓDŁA:

W. GIBASIEWICZ, **Utrwalone skrawki życia**, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2014

Informacje ITS w Bad Arolsen

Biała Księga-Martyrologium Duchowieństwa – Polska, http://www.swzygmunt.knc.pl/index.htm

Spis uczniów łańcuckiego gimnazjum, http://www.stankiewicz.e.pl/forum/

Google Maps i Wikipedia

TAJEMNICZY SCHRON W PRZEMYŚLU

JACEK DZIK

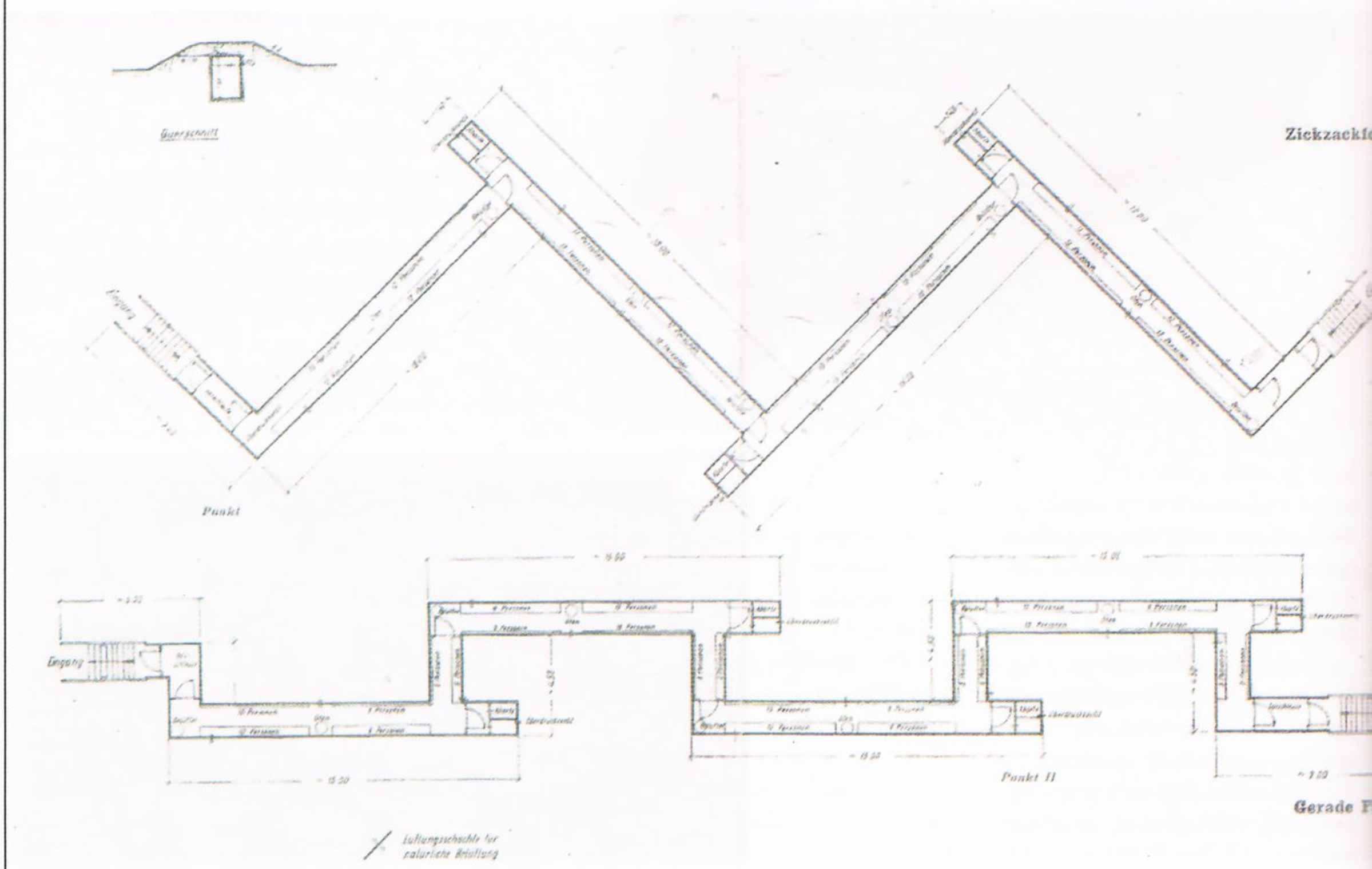

Obiekt czeka na udostępnienie od 2011 r.

Do jego środka weszli tylko eksploratorzy.

Schemat typowych schronów szczelinowych budowanych przez Niemców podczas II wojny światowej.

Znajduje się przy ul. Jagiellońskiej w Przemyślu, nie ma w żaden sposób udokumentowanego pochodzenia. Plotki na temat jego twórców i daty budowy były różne. Twierdzono, że schron został wybudowany w latach międzywojennych i miał być przeznaczony dla pracowników ówczesnego sądu grodzkiego znajdującego się w pobliżu. Mówiono też, że powstał po wojnie, a więc już w okresie Polski Ludowej. Niespodziewanie okazało się, że żadna z tych tez nie była prawdziwa.

Prace przy odsłanianiu schronu

30 listopada 2011 roku, z inicjatywy Urzędu Miasta Przemyśl, przy współpracy Wiesława Sokolika, zlecono naszemu stowarzyszeniu Kaponiera odsłonięcie wejścia oraz inwentaryzację zagadkowego obiektu. Jego lokalizacja nie była żadną tajemnicą – betonowo-ceglane „kominy" wentylacji wskazywały ją dokładnie. Z relacji starszych mieszkańców Przemyśla wiedzieliśmy, że były do niego na pewno dwa wejścia – jedno w okolicy ulicy Wodnej, a drugie przy głównej ulicy Jagiellońskiej, zaraz za ciągiem przystanków autobusowych.

Schron został zasypany w latach 80. Do tego czasu na pewno służył jako magazyn medykamentów, masek przeciwgazowych i pakietów do obrony cywilnej; w latach 50. istniał obowiązek zapewnienia schronienia do ludności cywilnej na wypadek działań zbrojnych czy

www.odkrywca.pl

też innych zdarzeń z nią związanych. W tamtym okresie nie było niczym dziwnym, że do tego celu wykorzystywano wszelkie obiekty militarne z czasów I i II wojnie światowej.

Eksploracja i budowa schronu

Na podstawie archiwalnych zdjęć, na których widać było wejście do schronu, wytypowaliśmy miejsce wykopu. Już po kilkunastu minutach pracy koparki udało się odkopać pozostałości ceglanych schodów oraz obrys wejścia do obiektu. Po chwili widniała przed nami czeluść do obiektu, drzwi niestety brakowało. We wnętrzu, oprócz starych metalowych śmietników ulicznych, nie było nic interesującego. Po odkopaniu widoczne były liczne uszkodzenia wykończenia ceglastych murków oporowych nad wejściem do schronu. Podłoga była całkowicie zasypana odpadkami, gnijącymi deskami i rozbitym szkłem. Na całej powierzchni podłogi zalegało od 5-10 cm ziemi. W pomieszczeniach toalet składowano zardzewiałe śmietniki. Pod każdym z szybów wentylacyjnych nagromadzona została duża ilość odpadków wrzuconych z góry przez ludzi.

Budowla to obiekt o regularnym kształcie, wykonany zasadniczo jako konstrukcja żelbetowa, o grubości ścian i stropów wahającej się w przedziale od 15 do 40 cm i długości całkowitej wynoszącej w przybliżeniu 90 metrów. Obiekt składa się z odcinków korytarzy łamanych pod kątem prostym, rozdzielonych niegdyś śluzami, w których przejścia wykonano jako ceglane. Przejścia pomiędzy poszczególnymi częściami obiektu były zamykane drewnianymi drzwiami, po których zachowały się jedynie ślady mocowań ościeży. W zakończeniu korytarzy można wyodrębnić cztery małe izby o wymiarach około 1,4 x 2,10 m, w których znajdowały się podwójne ustępy w drewnianych kabinach. Do budowli prowadzą dwa wejścia, z jednobiegowymi schodami, osłonięte niegdyś przeciwodłamkowymi murami oporowymi, oba wykonane jako ceglane. Jedno z wejść pozostaje całkowicie niedrożne.

Obiekt posiadał wentylację grawitacyjną – wyloty przewodów wentylacyjnych umieszczone zostały w stropie korytarzy, a od zewnątrz zostały obudowane w formie wystających ponad poziom terenu kominków. Na podstawie cech charakterystycznych konstrukcji z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdziłem, że odkryty i odkopany przez nas obiekt jest konstrukcją niemiecką, pochodzącą z czasów ostatniej wojny. Nie odbiega on zasadniczo od wytycznych do budowy szczelin przeciwlotniczych zawartych w instrukcji „Bestimmungen fur den Bau von LS-Deckungsgraben", wydanej w Berlinie w marcu 1943 roku. Do dzisiaj niestety nie udało nam się ustalić dokładnej daty budowy. Natomiast wnioskując po zachowanych zdjęciach archiwalnych, można datować powstanie obiektu na lata 1943-44 – wtedy już rozebrana była synagoga Tempel (uszkodzona i wypalona podczas Operacji Barbarossa w 1941 roku), na miejscu której oraz częściowo na miejscu przylegających do niej ogrodów powstał interesujący nas schron.

W 2011 roku Urząd Miasta miał w planie zagospodarowanie obiektu dla czasowych wystaw militarnych lub oddanie go jednemu ze stowarzyszeń historycznych we władanie – celem stworzenia kolejnej ekspozycji. Pomimo świetnej lokalizacji, planów połączenia drugiego wejścia schronu z istniejącą podziemną trasą turystyczną, niestety do dzisiaj schron jest nadal zamknięty. W odległości kilku metrów od zasypanego drugiego wyjścia biegnie odcinek kanału. To tzw. kolektor (2,5 metra wysokości i szerokości) i prowadzi aż do Sanu.

W tej chwili obiekt czeka na swojego nowego właściciela. Mam nadzieję, że niedługo dostanie nową szansę, stając się kolejną atrakcją turystyczną podziemnego miasta Twierdzy Przemyśl. Wiele obiektów w tym mieście wciąż czeka, aż zostaną odkryte na nowo i udostępnione turystom. <

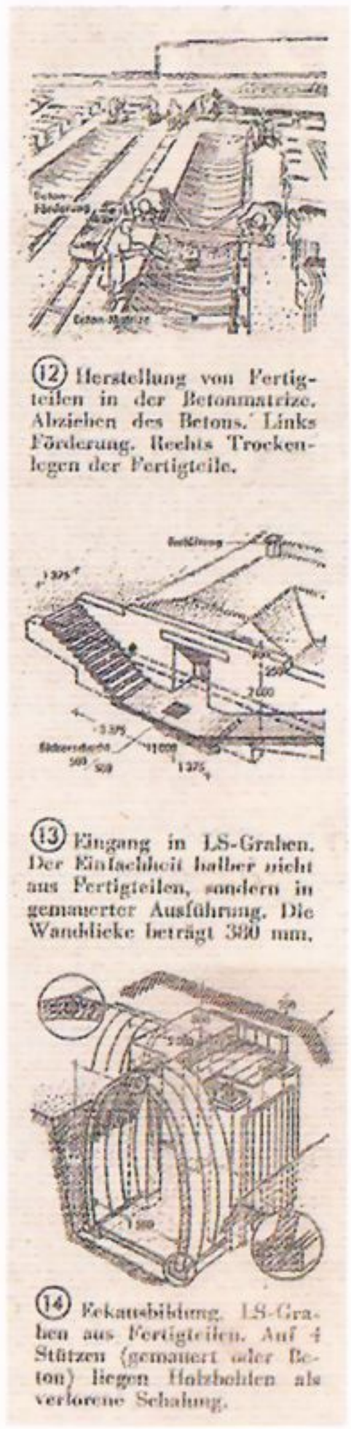

(12) Herstellung von Fertigteilen in der Betonmatrize. Abziehen des Betons. Links Förderung. Rechts Trockenlegen der Fertigteile.

(13) Eingang in LS-Graben. Der Einfachheit halber nicht aus Fertigteilen, sondern in gemauerter Ausführung. Die Wandblecke beträgt 380 mm.

(14) Fekausbildung. LS-Graben aus Fertigteilen. Auf 4 Stützen (gemauert oder Beton) liegen Halbbohlen als verlorene Schalung.

Instrukcja budowy – przekrój przez schron przeciwlotniczy.

Widok od strony obecnego parkingu, lata 80.

Jacek Dzik

Prezes Stowarzyszenia Grupa Badawcza KAPONIERA – Eksploracja, Pasja i Historia, autor publikacji o tematyce eksploracyjnej, poszukiwacz z 28-letnim doświadczeniem, pierwszy wykrywacz kupił w 1989 roku, specjalizuje się w eksploracji pierwszowojennych pól bitewnych Karpat Ukraińskich oraz archeologii pola bitwy Twierdzy Przemyśl. Członek wielu ekspedycji badawczo-eksploracyjnych na terenie Polski i Ukrainy. Dyrektor prywatnego Muzeum Archeologii Pól Bitewnych Twierdzy Przemyśl (w organizacji).

BIBLIOGRAFIA:

Bestimmungen fur den Bau von LS--Deckungsgraben", wydanej w Berlinie w marcu 1943 roku

Inwentaryzacja obiektu PLOT zlokalizowanego w Przemyślu ul. Jagiellońska, ul. Wodna – JACEK DZIK 5.12.2011 r.

WIELKI UROK POSZU

Z Katarzyną Bajerlein, członkiem stowarzyszenia „Enigma" i „Riese", rozmawia Grzegorz Góra

Jak rozpoczęła się Twoja przygoda z eksploracją?

Odkąd pamiętam, lubiłam wchodzić w zakamarki strychów i piwnic. Po przeczytaniu książki pani Joanny Lamparskiej „Tajemnice, zamki, podziemia" odkryłam, że wokół Karpacza, do którego często jeździłam, jest mnóstwo pałaców, ruin, wież i innych miejsc z ciekawą przeszłością.

Zaczęłam je wszystkie zwiedzać. Później sama szukałam mało znanych miejsc na mapach, w muzeach, w książkach. Są bardzo urokliwe, gdyż często znajdują się na uboczu i są trudno dostępne. Czytałam miesięcznik „Odkrywca", w którym znajdowałam również tematy na następne wycieczki.

Po związaniu się z Maciejem, moim obecnym partnerem, którego udało mi się zarazić tą pasją, założyliśmy historyczne stowarzyszenie „Enigma". Później wstąpiliśmy również do grupy poszukiwawczej „Riese".

Co najbardziej zaskoczyło Cię w tym środowisku?

To, że kiedy z zupełnie sobie obcymi ludźmi, mieszkającymi setki kilometrów od siebie, zaczynamy rozmawiać, nagle okazuje się, że oglądamy te same programy historyczne, czytamy te same czasopisma o eksploracji, znamy te same miejsca. Bardzo chętnie dzielimy się informacjami o miejscach wartych odwiedzenia czy spenetrowania, poradami np. na temat sprzętu, jego ustawień. W swoich szeregach mamy saperów, grotołazów, płetwonurków. Kiedy organizujemy akcje, każdy stara się jak może, żeby przyjechać. Trzeba poprosić o wolne w pracy, ułożyć sobie sprawy rodzinne i liczyć się z kosztami dojazdu i często noclegu. To niesamowite, że pasja tak zbliża ludzi.

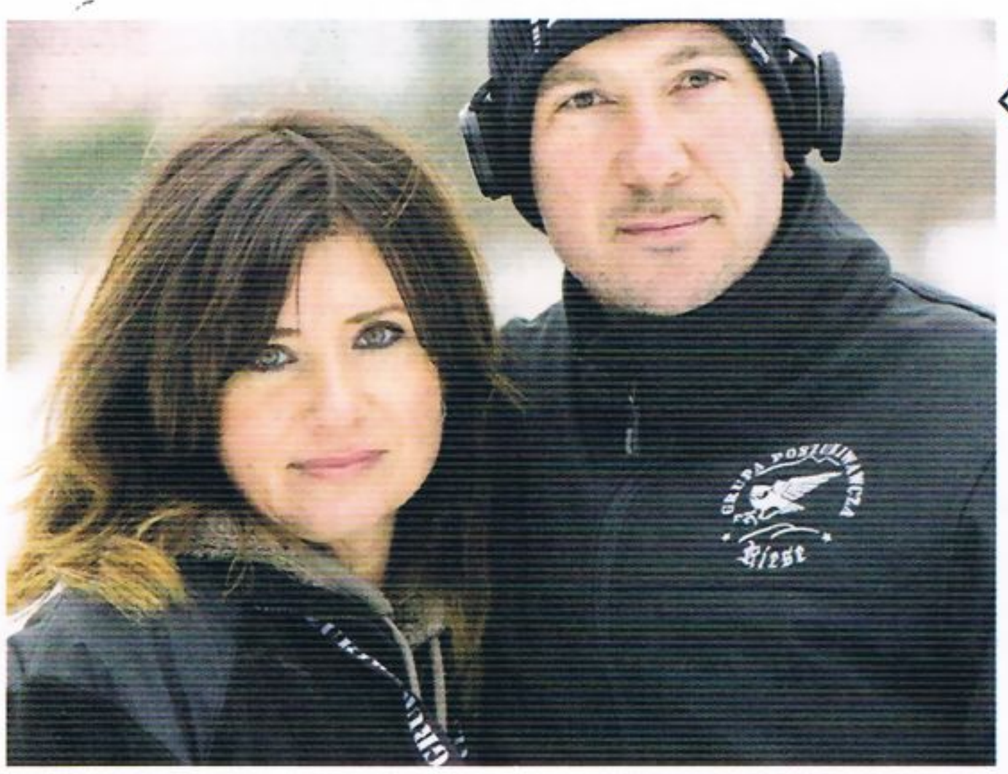

Kasia z Maćkiem w Mieroszowie.

Jest konkretna epoka, bądź miejsce, które działają na Ciebie szczególnie?

Uwielbiam średniowiecze. Podziwiam pomysłowość ówczesnych ludzi w radzeniu sobie na co dzień. Nie są to wieki ciemne, wtedy rozwijała się wiedza o budownictwie, medycynie, chemii, matematyce itp. Średniowiecze to też czarownice, templariusze, czyli zakazana wiedza i tajemnice.

To również plagi i zarazy. Wspaniale te realia opisuje Ken Follett w książkach „Filary ziemi" czy „Świat bez końca". Robi na mnie wrażenie architektura romańska czy gotycka, przypory w kościołach, ukryte przejścia, a najbardziej symbolika. Zawsze mam dreszcze, kiedy jestem w ruinach zamku w Lipie, zamku Bolczów, bądź kiedy w zamku Czocha otwiera się szafa, a za nią jest ukryty tunel. Szczególnym miejscem jest też dla mnie Miedzianka. Historia miasta, które zniknęło. Zawsze gdy stoję tam przy ruinach kamienic, jestem zdumiona, jak szybko po budynkach pozostają tylko resztki fundamentów i gdzieniegdzie piwnic. I jeszcze jest jedno, ale nie ostatnie miejsce do którego lubię wracać. To wieża książęca w Siedlęcinie. Samo wejście do wieży jest jak wchodzenie w inny wymiar. Nierówne masywne schodki, w które wrasta stare drzewo, kamienny portal.

Zachwycam się również secesją, tą specyficzną linią i motywami roślinnymi. Mogłabym mieszkać w secesyjnej willi i posiadać meble z tej epoki. Nie pogardziłabym paroma sukniami i biżuterią, oczywiście.

Oczywiście... Jaki rodzaj prac lubisz najbardziej, w czym czujesz się najlepiej?

Lubię każdy rodzaj prac, przy których mogę mieć styczność z niedostępnym przez długie lata obiektem, czy przedmiotami znajdującymi się pod ziemią lub w różnych innych zakamarkach.

Razem z Maćkiem bierzemy udział w różnych akcjach. Często polegają one na tym, że sprawdzamy teren, chodząc z wykrywaczem metali. To wspaniałe uczucie wyciągać z ziemi przedmioty, które przeleżały tam dziesiątki czy setki lat. Zastanawiam się wtedy, >>>

fot. G. Góra

KIWAŃ

>>> kto miał np. tę monetę ostatni raz w ręce, dlaczego ją zgubił i gdzie jest teraz pochowany. Do dzisiaj wspominam akcję „Sztolnia Australijczyka", opisaną w kwietniowym (2016 r.) wydaniu „Odkrywcy", kiedy to po paru kopnięciach koparką ukazało nam się wejście do sztolni, a w niej pokryte błotem przeróżne buteleczki szklane i ceramiczne, fiolki, puszeczki, części lamp naftowych, ceramiczne kapsle z nazwą producenta. To była taka kapsuła czasu.

To raczej męskie środowisko, jak się w nim czujesz?

To fakt, otaczają mnie głównie panowie podczas eksploracji. Jednak zawsze miałam naturę łobuziary, przeskakiwałam przez płoty, z bandą przyjaciół z podstawówki budowaliśmy bazy w parku w krzakach, rozbijałam sobie kolana, piratując na rowerze, więc czuję się w tym środowisku bardzo dobrze. Koledzy są bardzo pomocni i troskliwi. Każdy z nich ma sporą wiedzę, jakieś zdolności, można się od nich sporo nauczyć. Nasz Saper zawsze po akcji przygotowuje dla nas wspaniałe jedzenie w kuchni polowej [redakcja czasopisma „Odkrywca" potwierdza! – przyp. red]. W stowarzyszeniu „Enigma" mam od niedawna pierwszą koleżankę, natomiast w grupie „Riese" są już trzy kobietki.

Które akcje określiłabyś jako wyjątkowe, co było Twoim największym odkryciem?

Mieliśmy przyjemność jako „Enigma" brać udział wraz z naszym archeologiem w badaniu obwodnicy Ostrowa, gdzie znaleźliśmy części ceramiki sprzed paru tysięcy lat. Zorganizowaliśmy spotkanie z paroma żołnierzami z Navy Seals. Dwukrotnie organizowaliśmy akcję wydobywania szczątków samolotu, latającej fortecy B-17, kiedy to mieliśmy przyjemność gościć ekipę programu „Było, nie minęło...". Współpracujemy też z organizacją Pomost. Niedawno prowadziliśmy wspólną akcję wydobycia szczątków 21 członków Hitlerjugend. Po ludziach pozostały już tylko brunatne kości, natomiast w zbiorowej mogile wspaniale zachowały się bibułki do papierosów z czytelnymi napisami, szczoteczki do zębów, grzebienie, guziki, sztuczna szczęka, obrączka z wygrawerowanym imieniem, a nawet szklane oko.

Eksploracja studzienki na górze Sobiesz.

Jako stowarzyszenie „Riese" pojechaliśmy na zlot do Anglii, którego współorganizatorem było stowarzyszenie „Thesaurus" zrzeszające polskich detektorystów mieszkających w Anglii. Miejscem zlotu były pola w miejscowości Campton.

Niecodziennym przeżyciem dla nas było chodzenie z wykrywaczem po polach, gdzie niegdyś stały rzymskie wille, a w pobliżu przebiegały szlaki handlowe. Udało nam się znaleźć ładną rzymską monetę.

Mieliśmy też zaszczyt razem z Maćkiem brać udział w poszukiwaniach na polach Grunwaldu. To niezwykła przyjemność badać teren bitwy, o której uczono nas od wczesnych lat szkolnych. Są obecnie teorie, że bitwa rozciągała się na znacznie większym terenie. Znaleziska, bądź ich brak, pomagają to ustalić. Mimo upału i spieczonej, wyschniętej ziemi, byliśmy w stanie wykopać parę grotów i bełtów.

Grot od kuszy znaleziony na polach Grunwaldu.

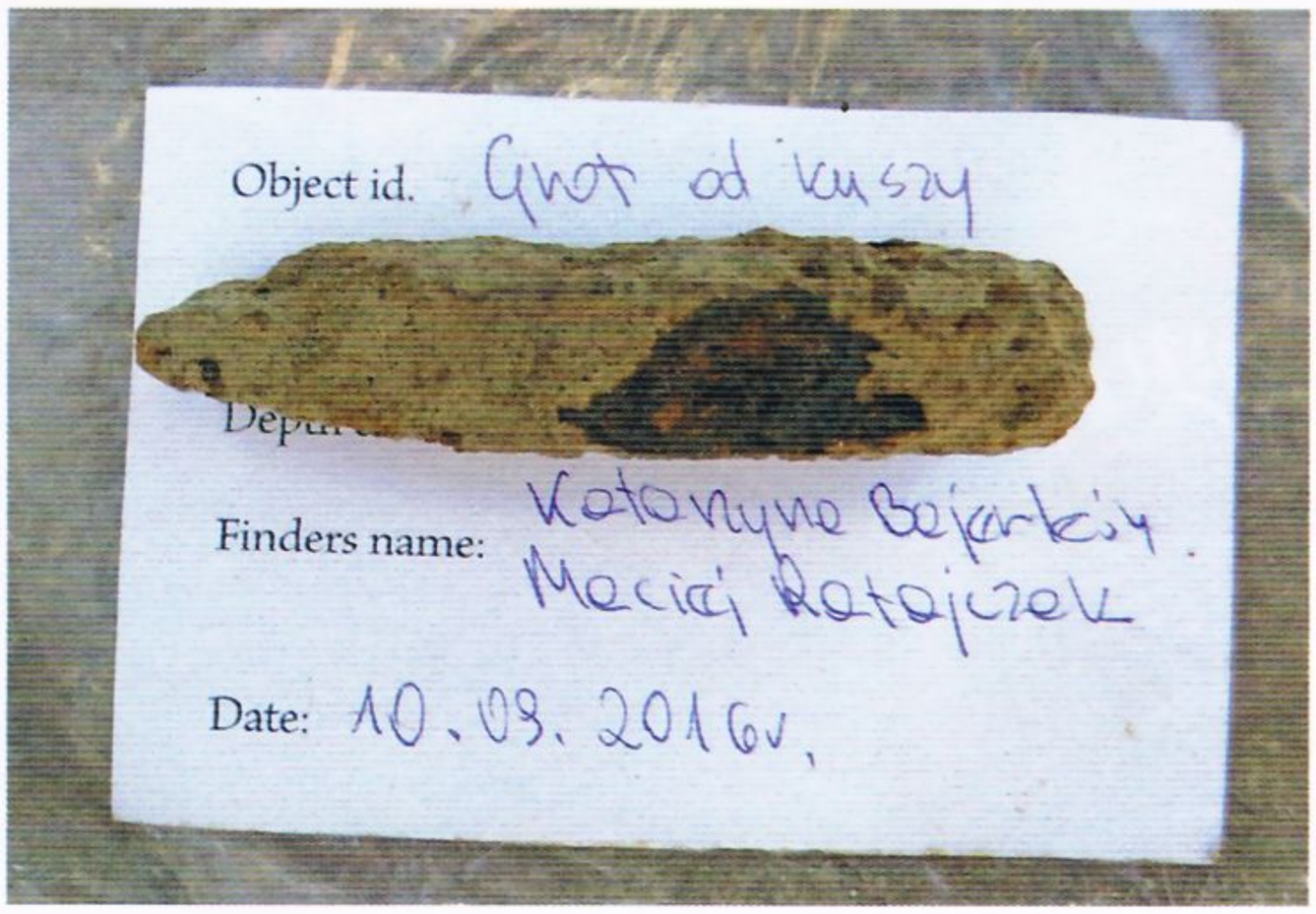

Osobliwą akcją dla nas było porządkowanie starego ewangelickiego cmentarza w Unisławiu Śląskim. Wycinaliśmy gałęzie, krzaki i odsłanialiśmy stare, piękne nagrobki bądź metalowe kute krzyże. Bezcenny był dla nas kontakt z mieszkańcami, którzy wspominali jeszcze inne zrujnowane obiekty jak browar czy sala balowa.

Do tej pory jedną z najciekawszych akcji było odgruzowywanie baszty lodowej w Książu. Przez cały czas mieliśmy nadzieję, że odsłoni nam się jakieś wejście. Po usunięciu ton gruzu na głębokości ok. 10 m ukazał nam się tunel, prowadzący w kierunku zbocza skarpy. Największym zaskoczeniem był jednak otwór w posadzce. Okazało się, że stoimy na metrowym czopie, a pod nami

www.odkrywca.pl

jest 40-metrowa studnia, której dno jest najniższym znanym punktem na zamku. Mamy nadzieję że uda się nam tam dotrzeć i odnaleźć jakieś boczne tunele.

Razem z Maciejem można was spotkać na zlotach i konferencjach, interesujecie się tym jak wygląda i dokąd zmierza środowisko eksploratorów. Jak uważasz, jakie rozwiązania byłyby właściwe dla poszukiwaczy?

Ponieważ jesteśmy członkami stowarzyszeń, bierzemy udział w akcjach, które poprzedzone są miesiącami przygotowań. Składają się na nie zgody konserwatora zabytków, właścicieli terenu oraz zorganizowanie odpowiedniego sprzętu. Osobom niezrzeszonym trudniej jest zorganizować legalne poszukiwania. Dlatego może dobrym rozwiązaniem byłoby uzyskiwanie licencji przez poszukiwacza czy detektorystę, dzięki której do eksploracji byłaby potrzebna już tylko zgoda właściciela terenu.

Wspominałaś o pewnym pomyśle, założysz prywatne muzeum?

Byliśmy niedawno na konferencji w Zielonej Górze. Bardzo ciekawy wykład na temat możliwości otwarcia prywatnego muzeum miał Robert Wyrostkiewicz. Dowiedzieliśmy się, że procedury nie są takie straszne, a muzeum można założyć nawet w bloku.
Przymierzamy się do realizacji tego pomysłu. Będzie to sposób na pozyskiwanie przedmiotów związanych z naszym miejscem zamieszkania. Może uda się ocalić artefakty, które z czasem zostałyby wyrzucone albo uległyby zniszczeniu.

Co radziłabyś dziewczynom, które chcą rozpocząć swoją poszukiwawczą przygodę?

Jeżeli ktoś jest choć trochę zainteresowany historią, ma w sobie tę ciekawość, by wejść w niedostępne miejsca, poznać ich przeszłość, to nie ma na co czekać. Dobrze jest na początku wziąć udział w jakimś zlocie i tam nawiązać kontakty. Dzięki pasji mamy zawsze pomysł jak spędzić wolny czas, odwiedziliśmy sporo pięknych zakątków, poznaliśmy cudownych ludzi.
Jeżeli druga połowa podziela zainteresowania to już pełnia szczęścia.

Dziękuje za rozmowę, do zobaczenia na kolejnej akcji!

Również dziękuję za rozmowę. To dla mnie przyjemność móc wypowiedzieć się w czasopiśmie, które czytuje od lat. <

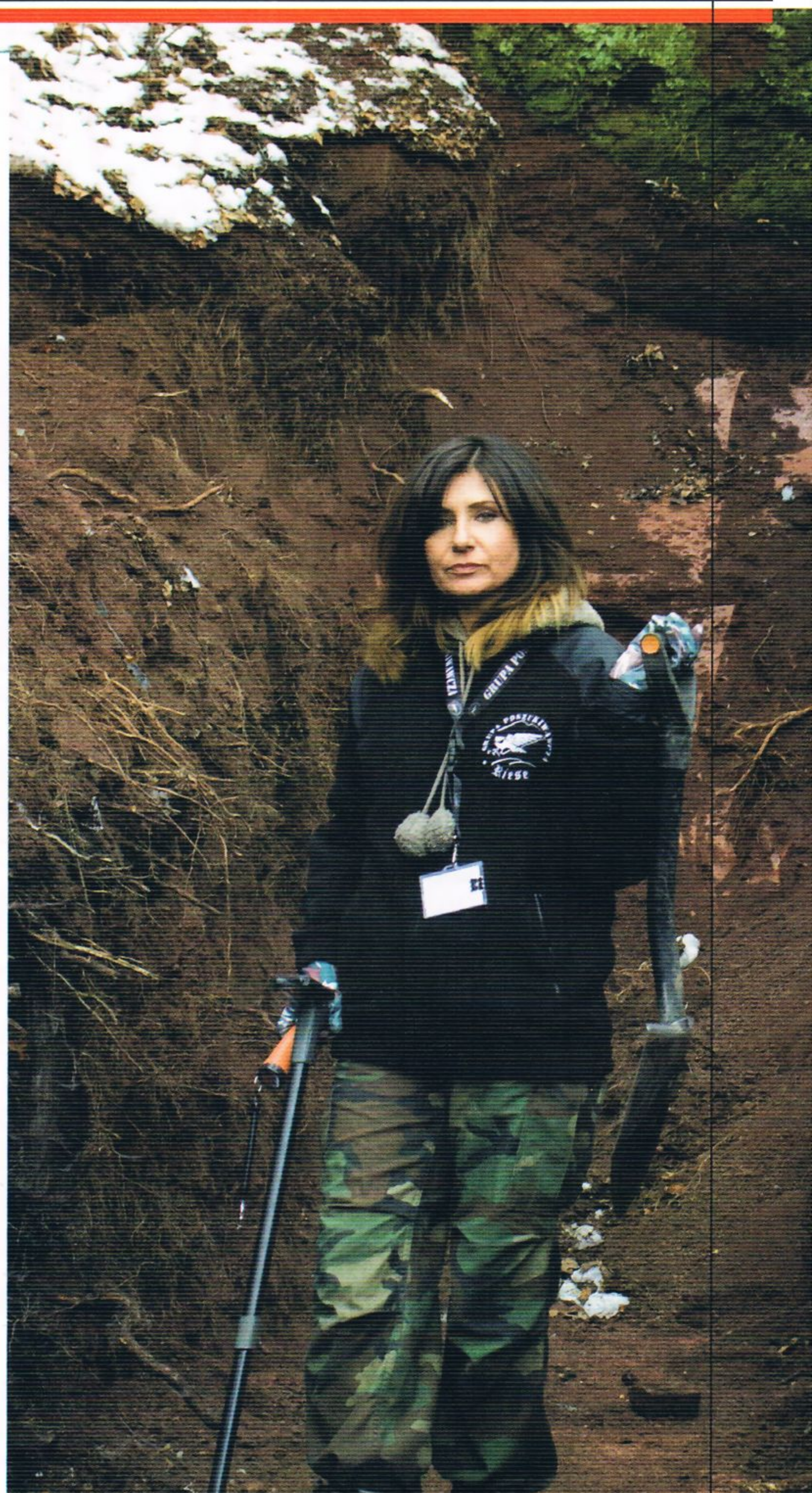

Podczas poszukiwań niemieckiego kompleksu w górze Jatki w Mieroszowie.

POLOWANIE NA RUDĘ

Zajmując Rzeszę, sprzymierzeni polowali na skarby kultury, na zbrodniarzy hitlerowskich, na kobiety, ale najcenniejszym łupem dla wszystkich była ruda uranu.

LESZEK ADAMCZEWSKI

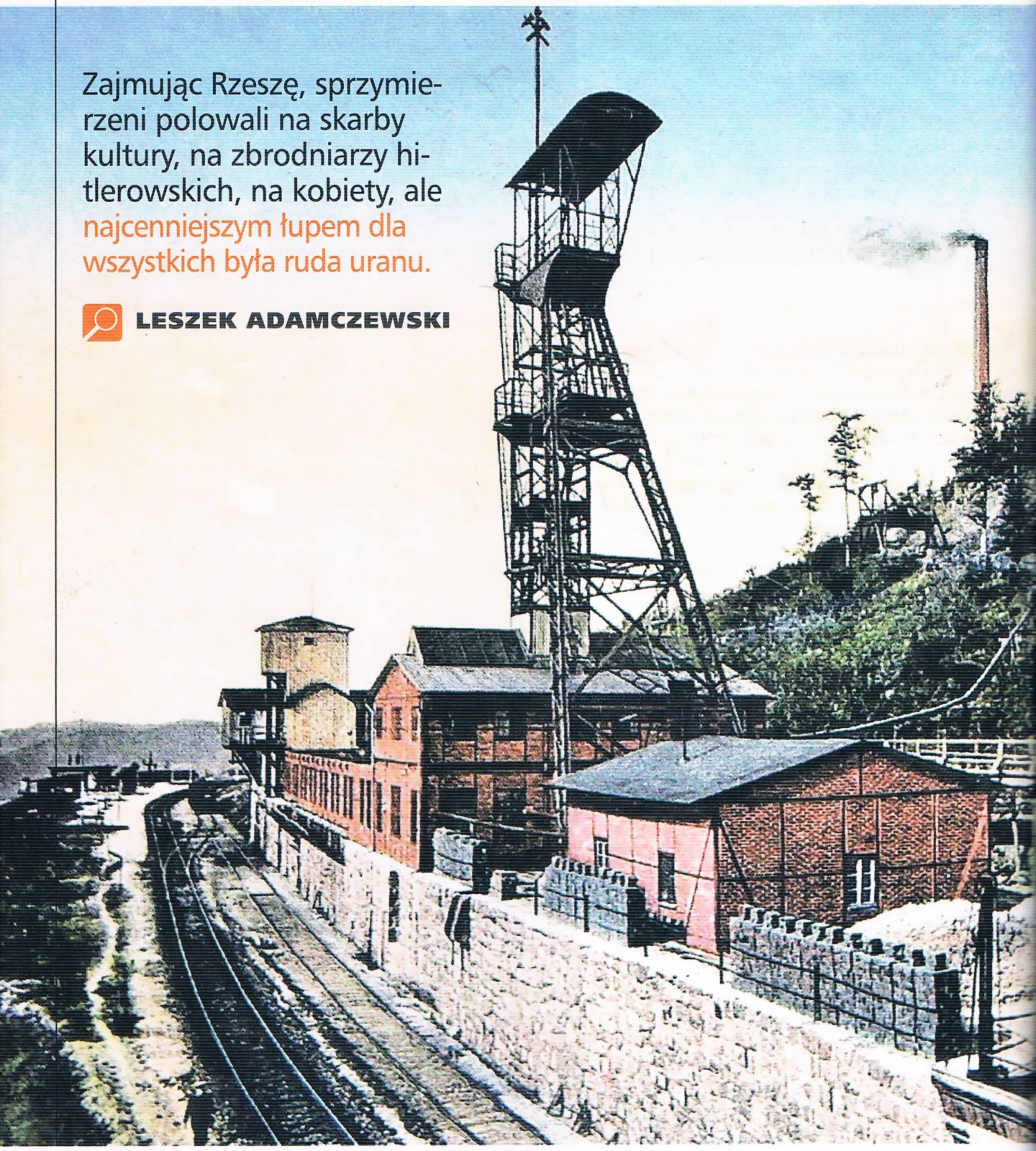

URANU

Niemiecka Bergfreiheitgrube (na pokolorowanej widokówce), a od 1945 roku polska kopalnia Wolność, gdzie wydobywano najpierw rudę magnetytu, a później rudę uranu na potrzeby ZSRR.

Dwunasty dzień lipca w 1958 roku przypadł w sobotę. Był to wtedy normalny, chociaż krótszy o dwie godziny dzień pracy. Właśnie w tamtą sobotę na biurka sekretarzy redakcji gazet koncernu Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa" dotarł 161. numer biuletynu prasowego Agencji Robotniczej. Zamieszczono w nim, przeznaczony do publikacji w prasie lokalnej, dwuodcinkowy artykuł Bronisława Trońskiego z cyklu „Polski uran". Pierwszy odcinek zatytułowano „Kopalnia najpotężniejszej energii", drugi – „W służbie życia".

W tamtych czasach publikacje zamieszczone w biuletynie Agencji Robotniczej były już zatwierdzone do druku przez warszawską centralę cenzury. Jednak w przypadku artykułu „Polski uran" podpis cenzora był tylko formalnością, ponieważ na tę publikację zgodził się Komitet Centralny PZPR, a osobiście najprawdopodobniej jego sekretarz odpowiedzialny za propagandę. Wszak po raz pierwszy polska opinia publiczna miała się oficjalnie dowiedzieć o dotychczas najbardziej tajnym z tajnych zakładów ukrytych pod neutralną nazwą Zakładów Przemysłowych R-1. Oficjalnie, ponieważ świat od dawna wiedział, że w leżącym u stóp najwyższego szczytu Sudetów miasteczku Kowary, czyli w dawnym niemieckim Schmiedebergu, wydobywa się rudę uranu na potrzeby przemysłu zbrojeniowego Związku Radzieckiego.

Chociaż działalność zakładów R-1 i ich poprzednika, przedsiębiorstwa państwowego „Kowarskie Kopalnie", objęta była całkowitym zakazem publikacji w prasie oraz wymieniania w radiu i kronice filmowej, to jednak w latach 1945-1946 do wiadomości publicznej przedostały się nieliczne informacje o kowarskim uranie. Wymieniano go choćby wśród bogactw naturalnych Polski ze wskazaniem ich zalegania lub w kontekście historycznym, gdy pisano o przedwojennych dziejach kopalni Wolność w Krzyżatce, jak zaraz po wojnie nazywały się Kowary. Wszystko zmieniło się w 1947 roku, gdy podpisano polsko-radziecką umowę w sprawie eksploatacji kowarskich złóż uranu i ich dostaw do ZSRR. Wprawdzie była to najbardziej korzystna dla Polski umowa ze wszystkich zawartych ze Związkiem Radzieckim, ale jednocześnie umowa ściśle tajna.

Tajemnicze zakłady w Hechingen

Niemal do ostatnich dni drugiej wojny światowej w Europie alianci zachodni, głównie Amerykanie, obawiali się, że hitlerowskie Niemcy w działaniach bojowych użyją broni atomowej. Stąd też już pod koniec 1943 roku na wyzwolone tereny wysłano misję ALSOS z zadaniem tropienia i dokumentowania wszelkich śladów pozostawionych przez niemieckich atomistów i przemysł pracujący na ich rzecz.

Jeśli dzisiaj czyta się wspomnienia i relacje ludzi z ALSOS, można odnieść jedno wrażenie. Oni (częściej Amerykanie niż Brytyjczycy) naprawdę wierzyli, że Niemcy w każdej chwili mogą zrzucić bombę atomową na przykład na Londyn. Tymczasem prace aliantów w ramach projektu „Manhattan" nie zostały jeszcze zakończone. I tak na przykład w lutym 1945 roku, gdy zapadały interesujące nas decyzje, uczonym z Los Alamos do finału brakowało jeszcze co najmniej kilku miesięcy. Co najmniej, bo nikt nie był jeszcze pewien, czy w ogóle w dającym się przewidzieć czasie prace te zakończą się sukcesem.

Od jakiegoś czasu na światłoczułych kliszach kamer fotograficznych, w które wyposażone były amerykańskie i brytyjskie samoloty zwiadowcze, w bezpośrednim sąsiedz- >>>

www.odkrywca.pl

>>> twie leżącego na południe od Stuttgartu miasta Hechingen pojawiały się powstające obiekty fabryczne jakichś tajemniczych zakładów. Na zdjęciach zobaczono też ułożone niedawno tory kolejowe i linie wysokiego napięcia. Wstrzymywano się jednak ze zbombardowaniem tych obiektów, ponieważ obawiano się, że Niemcy przed ukończeniem budowy przeniosą je w inne miejsce i... szukaj wiatru w polu. Amerykanie byli przekonani, że w Hechingen naziści budują zakłady produkcyjne broni atomowej, coś na kształt Oak Ridge. W tym przekonaniu umocnił ich meldunek amerykańskiego agenta ze Szwajcarii, że na początku 1945 roku w tej okolicy wielokrotnie był widziany profesor Werner Heisenberg. Ten laureat Nagrody Nobla z 1932 roku uchodził za głównego twórcę powstającej bomby Hitlera i porównywano go do Roberta Oppenheimera (szef amerykańskiego programu atomowego).

Wkrótce Amerykanie dowiedzieli się, że w leżącym niedaleko Hechingen miasteczku Haigerloch Heisenberg i inni czołowi atomiści niemieccy prowadzą doświadczenia reaktorowe. Na złość aliantom, prace te ukryli w podziemnej grocie, co od razu wykluczyło zbombardowanie tego stanowiska.

Jeśli Niemcy intensywnie pracują nad bombą atomową, a wynikało to z wielu meldunków wywiadowczych, które od jesieni 1944 roku trafiały na biurko generała Leslie Grovesa, to w zniszczonej Rzeszy gdzieś muszą przechowywać i przerabiać rudę uranu na metaliczny uran. Gdzie? – zastanawiał się szef projektu „Manhattan". Po nocnym

Komputerowa symulacja alianckich bombardowań z lat 1939-1945 na mapie Europy.

nalocie bombowców Królewskich Sił Powietrznych na zakłady Degussa we Frankfurcie nad Menem, miejsc takich nie było wiele. Po weryfikacji ostała się tylko jedna miejscowość – 26-tysięczny Oranienburg, leżący na północ od Berlina.

Groves, spoglądając na mapę, brzydko zaklął pod nosem. To miasto nie tylko znajdzie się w radzieckiej strefie okupacyjnej, ale leżało ono tak daleko od wykreślonych przez polityków granicy stref, że nie da się przeprowadzić jakiegoś błyskawicznego rajdu oddziału komandosów. Wszak tuż obok leżał naszpikowany wojskiem Berlin i sami Niemcy zdławią każdą próbę dotarcia do miasta, koło którego zbudowano duży obóz koncentracyjny, a w samym Oranienburgu fabrykę samolotów Heinkla i dużą kole-

TRAFIONY NAD ORANIENBURGIEM

Ich siedemnasta misja – bombardowanie Oranienburga – okazała się pechowa. Zbliżając się do celu, musieli lecieć prosto jak po sznurku, co ułatwiało zadanie niemieckiej artylerii przeciwlotniczej, która w tym czasie wstrzeliwała się w amerykańskie bombowce. Los B-17 G „High Tailed Lady" (co można przetłumaczyć jako „umykająca dama") był już przesądzony przed trafieniem licznymi odłamkami eksplodującego w bezpośrednim sąsiedztwie pocisku.

Dowódca maszyny i jednocześnie jej pilot William C. Sylvernal wspominał później, że tuż po zrzuceniu bomb samolot został trafiony. On sam na chwilę stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, B-17 był poważnie uszkodzony, ale utrzymywał się w powietrzu. Drugi pilot Jim L. Peachey był ciężko ranny, drobne obrażenia odnieśli też inni członkowie załogi.

Silvernal zdecydował, że uszkodzonym bombowcem spróbują dolecieć za Odrę, a więc na tereny zajęte już przez Armię Czerwoną. „Uznałem – wspominał – że nie uda się wyciągnąć drugiego pilota z siedzenia i zrzucić go ze spadochronem. Podjąłem ostateczna decyzję – spróbuję posadzić maszynę awaryjnie. Byliśmy w tamtej chwili na wysokości 60 metrów i sądziliśmy, że jesteśmy na ziemi zajętej przez Rosjan. Bez jakichkolwiek zasobów mocy, by ewentualnie ponowić próbę awaryjnego lądowania, wybrałem zaorane pole jako miejsce naszego lądowania". Dopiero za kilka dni Silvernal i jego podwładni dowiedzą się, że znajdowali się wówczas tuż po zachodniej stronie przedwojennej granicy polsko-niemieckiej niedaleko miasteczka Bomst (Babimost).

„Od początku – wspominał dalej dowódca B-17 – zdecydowałem o lądowaniu na brzuchu. Bez sprawnego prędkościomierza był to lot na wyczucie. W momencie, w którym zobaczyłem krawędź pola, poprosiłem o wypuszczenie klap. Miało to spowolnić nasz samolot. Klapy jednak zawiodły i nie wysunęły się. Postanowiłem wyhamować przez uderzenie dolną wieżyczką we wzniesienie. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Uderzenie spowodowało pęknięcie kadłuba zaraz za przedziałem radiowym. Wdzierająca się do środka ziemia skutecznie nas spowolniła. W końcu zatrzymaliśmy się na rzędzie drzewek, które znajdowały się na końcu pola" (tłumaczenie Robert Woziński).

Aż wprost trudno uwierzyć, ale nikt z dziewięcioosobowej załogi podczas lądowania na brzuchu nie odniósł dodatkowych obrażeń. Lotnicy amerykańscy noc z 15 na 16 marca 1945 roku spędzili koło wraku i rano udali się do pobliskiej miejscowości, gdzie wkrótce zostali zatrzymani przez Rosjan.

Wrak amerykańskiego bombowca na polu niedaleko Babimostu.

Dowodzony przez Williama C. Sylvernala bombowiec B-17 G „High Tailed Lady" nad Oranienburgiem.

Gdy sprawa się wyjaśniła, kim są i co tu robią, czerwonoarmiści przyjęli sojuszników wyjątkowo gościnnie. Przez kilka dni alkohol lał się strumieniami, wzniesiono setki toastów za Stalina i Roosevelta, a tymczasem w szpitalu wojskowym lekarze radzieccy, specjalizujący się głównie w amputacjach kończyn, podjęli udaną próbę uratowania nogi drugiemu pilotowi.

Z lotu bojowego nad Oranienburg załoga B-17 G „High Tailed Lady" wróciła do kolegów w Londynie przez ukraińską Połtawę, skąd czekała ich kilkudniowa podróż do stolicy Wielkiej Brytanii.

www.odkrywca.pl

jową stację rozrządową oraz to, co Grovesa interesowało najbardziej. W mieście znajdowały się bowiem zakłady chemiczne znanej już oficerom z misji ALSOS spółki Auer. Jej francuska filia zagarnęła cały zapas toru, w 1944 roku wywożąc go do Rzeszy, co odkrył i w swych wspomnieniach opisał kierownik naukowy ALSOS, holenderski fizyk profesor Samuel Goudsmit.

Nalot na Oranienburg

Amerykanie mieli pecha. Znane ludziom z ALSOS ośrodki badań niemieckich atomistów lub składy rud uranu znajdowały się poza strefami okupacyjnymi przyznanymi Amerykanom i Brytyjczykom. Ośrodek badawczy w Haigerloch i pobliskie miasto Hechingen miały znaleźć się w strefie francuskiej, a składy rudy uranu w przyszłej strefie radzieckiej. Chodziło tu o kopalnię soli koło Stassfurtu i zakłady Auer w Oranienburgu. Nakazem chwili było zatem przechytrzenie Rosjan i wywiezienie na tereny kontrolowane przez wojska amerykańskie zapasów rudy uranu ze Stassfurtu, bo Oranienburg z przedstawionych tu już względów nie wchodził w rachubę. Należało więc zrobić wszystko, by uran z tego podberlińskiego miasta nie wpadł w ręce Sowietów.

Generał Groves zwrócił się do przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów, generała George'a Marshalla, by bombowce 8. Armii Lotniczej USA starły zakłady Auer z powierzchni ziemi. Sprawa była jednak bardzo delikatna ze względu na sojuszników radzieckich, których wojska dotarły już do Odry, a więc zaledwie 70-80 kilometrów od Oranienburga. Zgodę na ten tak ważny nalot wyraził sztab operacyjny zachodnich aliantów, polecając by – nie licząc się z ofiarami wśród ludności cywilnej – dla zakamuflowania głównego celu zniszczyć cały Oranienburg, w tym fabrykę samolotów, a także pobliskie koszary SS, gdzie mieszkała załoga obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Jednocześnie, w ramach tego samego nalotu, część maszyn miała polecieć na południe od Berlina i zbombardować znajdującą się w rejonie Zossen-Wünsdorf kwaterę Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych.

Na porannych odprawach przed lotem 15 marca 1945 roku oficerowie 8. Armii Lotniczej ani słowem nie zdradzili głównego celu bombardowania. Nikt z obecnych nań pilotów nie skojarzył też faktu, że wyjątkowo dużo maszyn otrzymało za zadanie bojowe zrzucenie bomb na jakieś zakłady chemiczne. A potem było to, co zawsze podczas wielkich nalotów amerykańskich. Start z kilkunastu lotnisk liczącej ponad 600 latających fortec B-17 powietrznej armady, która skierowała się na Berlin. W stolicy Wielkoniemieckiej Rzeszy zawyły syreny przeciwlotnicze, berlińczycy zbiegli do piwnic i schronów, ale nalotu nie było. Przed tą wielką aglomeracją samoloty się bowiem rozdzieliły. Część poleciała w kierunku Zossen, a zdecydowana większość na Oranienburg.

Nalot na miasto trwał 45 minut: od 14:51 do 15:36. Bombowce B-17 nadlatywały na Oranienburg falami, swój śmiercionośny ładunek, w sumie 5690 bomb o łącznej wadze prawie 1700 ton, zrzucając na dworzec kolejowy i stację rozrządową, fabrykę samolotów i zakłady Auer. Przede wszystkim na nie. Na ziemi rozpętało się piekło. W gruzy waliły się zabudowania fabryczne i domy mieszkalne. 325 z nich zostało całkowi- >>>

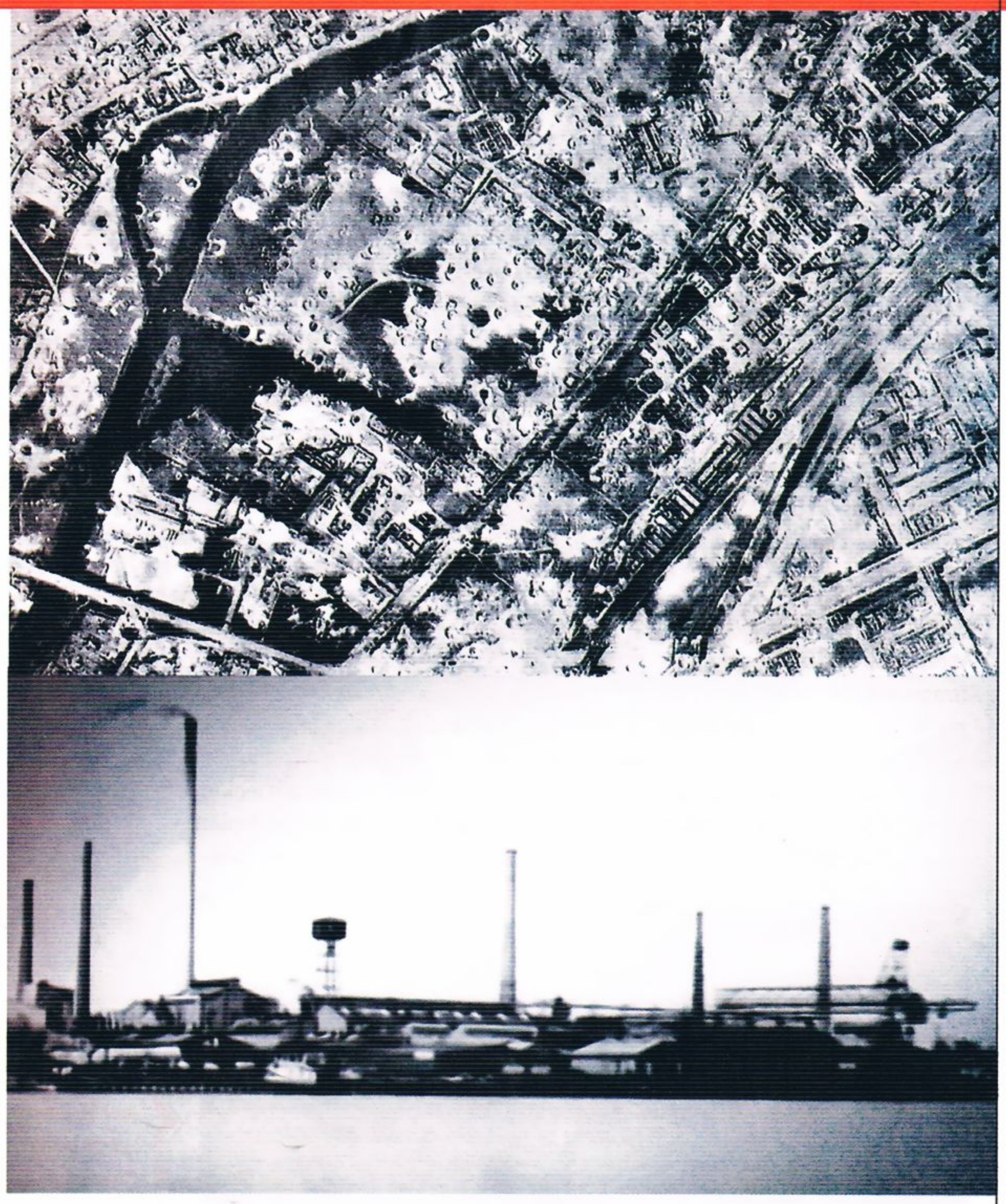

Zakłady chemiczne firmy Auer w Oranienburgu na kadrze z filmu dokumentalnego „Geheimsache Nazi-Uran. Atomjagd in Brandenburg".

Centrum Oranienburga po amerykańskim nalocie z 15 marca 1945 roku na zdjęciu z lotu ptaka.

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

www.odkrywca.pl

>>> cie zniszczonych, a 292 poważnie uszkodzono. Zginęły 352 osoby.

Ten tragiczny epizod z dziejów Oranienburga przypomnieli Thomas Claus i Maren Schibilsky, którzy dla sieci RBB (Rundfunk Berlin-Brandenburg) zrealizowali w 2013 roku film dokumentalny „Geheimsache Nazi-Uran. Atomjagd in Brandenburg". Na publicznej projekcji, zorganizowanej w jednym z odbudowanych budynków, starsi ludzie płakali...

Wypad do Stassfurtu

Analizując wykonane nazajutrz po nalocie zdjęcia lotnicze Oranienburga, generał Groves założył, że amerykańskie bomby zniszczyły nie tylko instalacje do wytopu metalicznego uranu, ale również zapasy rudy uranu. W tej ostatniej sprawie się mylił. No i pozostała jeszcze sprawa składowania skonfiskowanych w Belgii zapasów pochodzącej z Konga rudy uranu. Niemcy około 1100 ton tej rudy trzymali w kopalni koło Stassfurtu, miejscowości leżącej mniej więcej w połowie drogi między Magdeburgiem a Halle. Tu nalot nic nie pomoże – stwierdził wojskowy szef projektu „Manhattan" – ale ze względu na obecność w tym rejonie Rzeszy wojsk amerykańskich da się przeprowadzić wypad oddziału specjalnego.

Alianci czekali zatem na odpowiedni moment, który nadszedł w połowie kwietnia 1945 roku. Pod eskortą amerykańskich żołnierzy grupa komandosów z misji ALSOS przeprowadziła wypad do Stassfurtu. W zabudowaniach kopalni soli znaleziono ogromne zapasy rudy uranu. Ponad tysiąc ton nie da się przewieźć kilkoma ciężarówkami – rozumował dowódca grupy wypadowej – a dłuższy pobyt na ziemi, którą mają zająć Rosjanie, nie wchodzi w grę. Wprawdzie w tamtych dniach armie radzieckie i dwie armie Wojska Polskiego dopiero co sforsowały Odrę i Nissę (później nazwaną Nysą Łużycką) i ruszyły na zachód, to jednak ludzie z ALSOS musieli się spieszyć. Pobliska fabryka beczek została zmuszona do całodobowej pracy, aby wyprodukować 20 000 dużych pojemników, do których przez kilka dni ładowano rudę i przewożono na pobliską stację kolejową. Specjalny pociąg towarowy, eskortowany przez żołnierzy US-Army, wyjechał w kierunku pozycji amerykańskich...

„Zdobycie tych materiałów, głównej części dostępnych w Europie zapasów uranu, wyklucza ostatecznie wszelką możliwość użycia przez Niemców bomby atomowej" – napisał generał Groves w meldunku wysłanym do Waszyngtonu. A więc dopiero na przełomie kwietnia i maja 1945 roku Amerykanie zyskali pewność, że hitlerowskie Niemcy nie posiadają tego rodzaju broni masowej zagłady. Pewność tę wzmacniał wypad podobnej grupy ALSOS do Hechingen

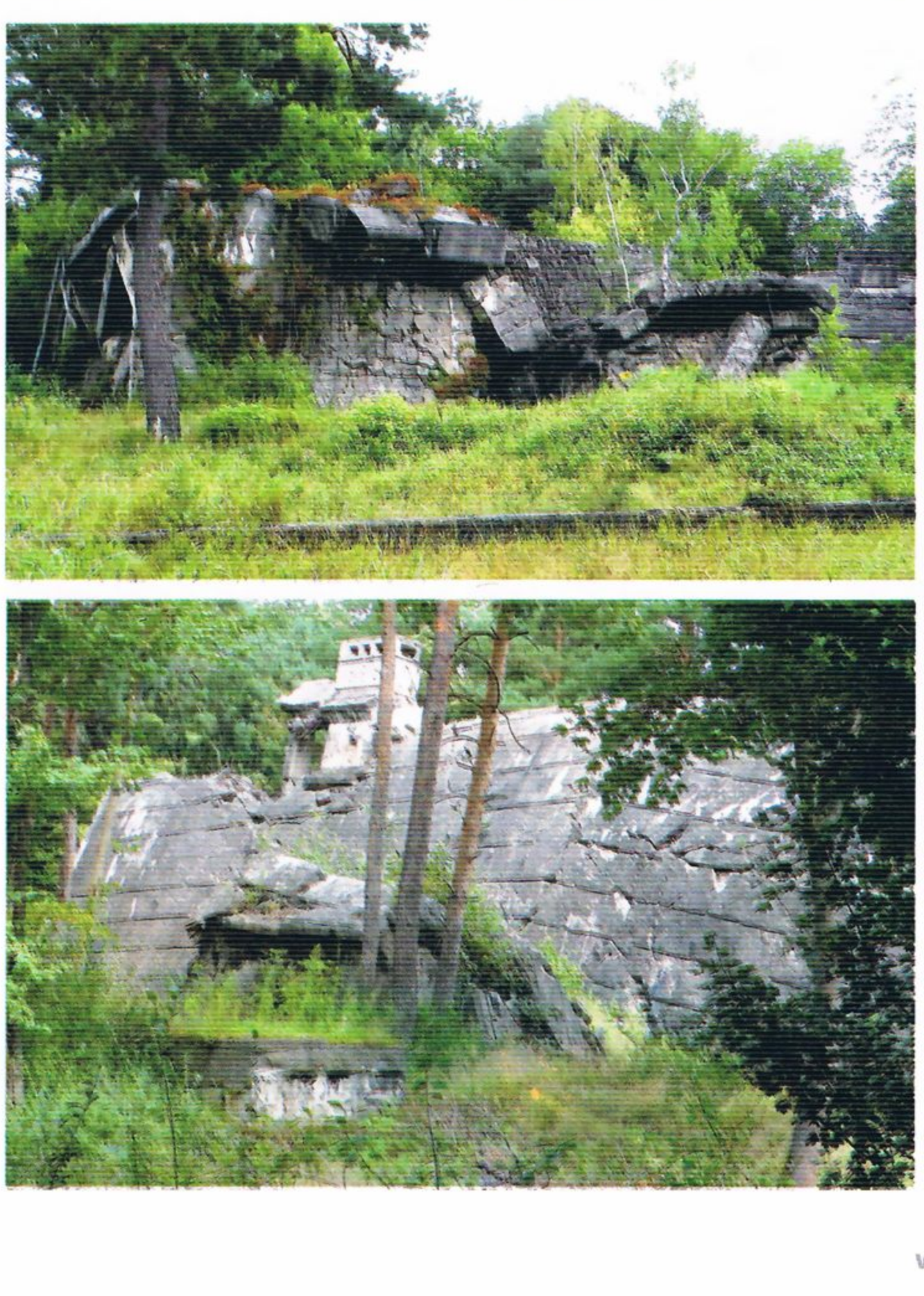

Ruiny polowej kwatery Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Wehrmachtu w rejonie Zossen-Wünsdorf, która została zbombardowana 15 marca 1945 roku w ramach tego samego, co Oranienburg, nalotu.

KOPALNIA KOWARY
(PRZED 1945 SCHMIEDEBERG)

do 1929 roku
KOPALNIA BERGFREIHEITGRUBE, GŁĘBINOWE WYDOBYCIE RUD ŻELAZA, UBOCZNY PRODUKT – RUDA URANU (TAK JAK W KONGU).

1936
PONOWNE OTWARCIE, URAN WYKORZYSTYWANY DO POZYSKIWANIA RADU W CELACH LECZNICZYCH, PODCZAS WOJNY WYKORZYSTYWANY PRZY PRODUKCJI POCISKÓW PPANC.

24 kwietnia 1942 roku
ZE WZGLĘDU NA WZROST ZAPOTRZEBOWANIA URANU OTWORZONO NIECZYNNY SZYB VULKAN II.

1943–1944
W KOPALNI BERGFREIHEITGRUBE POZYSKANO 72 TONY RUDY URANOWEJ.

wiosna 1945
ZATOPIENIE KOPALNI PRZEZ NIEMCÓW POPRZEZ ODŁĄCZENIE POMP.

lipiec 1945
PRZEKAZANIE KOPALNI POLAKOM, PONOWNE WYDOBYCIE ZŁÓŻ MAGNETYTU PO CZĘŚCIOWYM ODWODNIENIU WYROBISK.

1958
KONIEC EKSPLOATACJI ZŁÓŻ.

www.odkrywca.pl

NAZISTOWSKI URAN: KOPALNIE I ZAKŁADY

1 KOWARY (SCHMIEDEBERG) – kopalnia uranu.

2 HECHINGEN – niemieckie zakłady mające produkować broń atomową.

3 HEIGERLOCH – miejsce testów reaktorowych.

4 FRANKFURT NAD MENEM, zakłady Degussa – przetwarzano tam rudę uranu.

5 ORANIENBURG – zakłady chemiczne spółki Auer.

6 STASSFURT – kopalnia soli, skład rudy uranu.

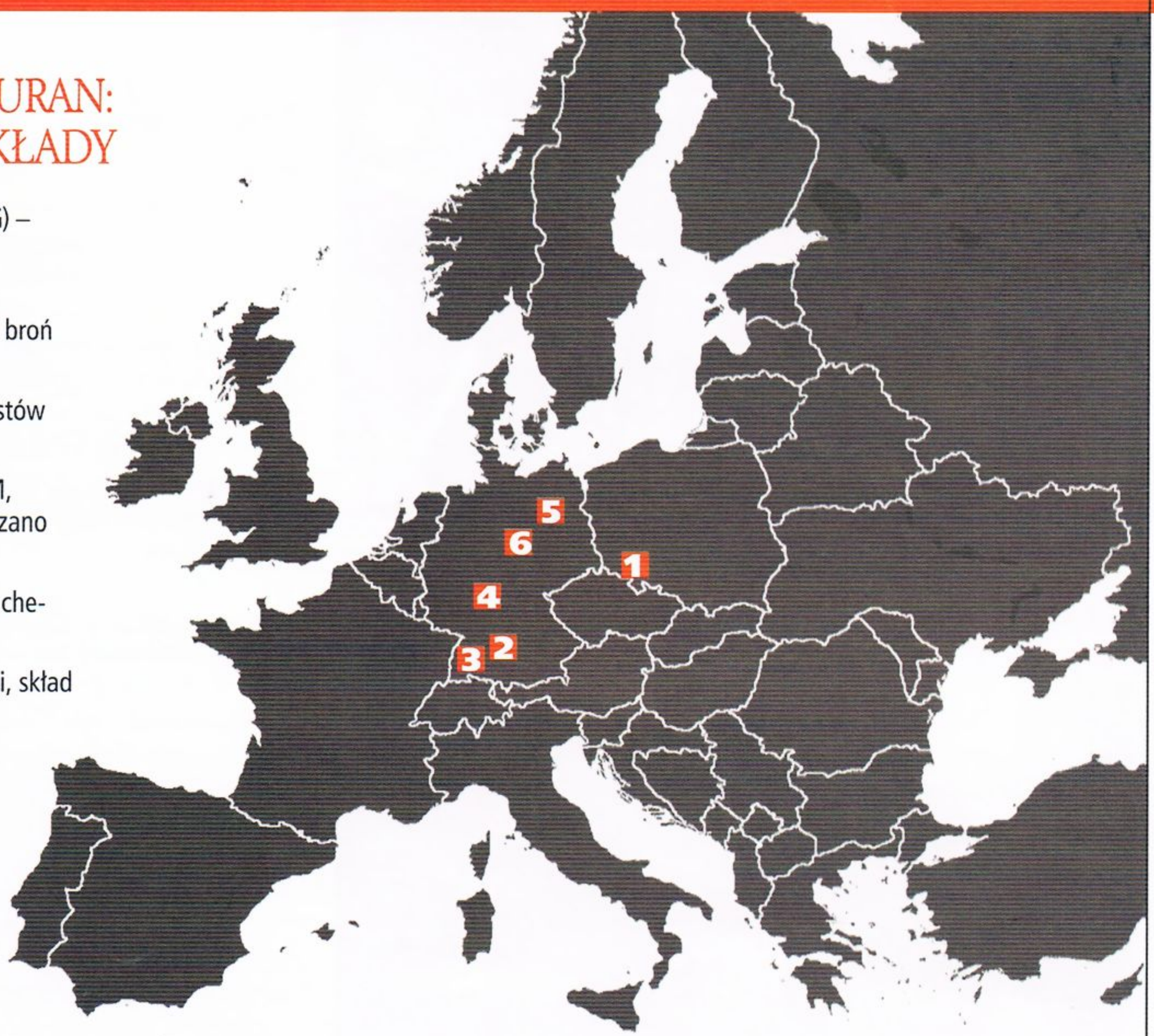

i Haigerloch, gdzie nie tylko zbadano ostatni reaktor Heisenberga, ale także ze zdziwieniem skonstatowano, że budowane w Hechingen zakłady nie miały nic wspólnego z przemysłem atomowym Rzeszy. Przemysłem, którego państwo Hitlera się nie dorobiło.

Ruda uranu z Bergfreiheitgrube

Dzisiejsze Kowary do 1945 roku nazywały się Schmiedeberg i były jedną z kilku znanych w Niemczech karkonoskich miejscowości turystyczno-wypoczynkowych. Działały tu także zakłady przemysłu głównie włókienniczego, zaś górnicy fedrowali w głębinowej kopalni rud żelaza. Nosiła ona nazwę Bergfreiheitgrube i ubocznym jej produktem była ruda uranu, która towarzyszyła rudom arsenu i żelaza. W latach 20. XX wieku uran nie posiadał jednak żadnej wartości i wraz z kamieniem był zrzucany na hałdy. W 1929 roku, a więc w czasach wielkiego kryzysu gospodarczego, kopalnię zamkniętego. Otwarto ją ponownie w 1936 roku i właśnie wówczas znaleziono odbiorców na rudę uranu, z której pozyskiwano rad potrzebny w lecznictwie. Rudę tę sprzedawano zakładom farmaceutycznym we Freiburgu, Hamburgu i Berlinie, a podczas wojny wykorzystywano ją też do produkcji pocisków przeciwpancernych, które wyposażano w uranowe rdzenie. Jak zatem widać, uran był potrzebny nie tylko niemieckich atomistom.

Wojenne zapotrzebowanie na uran sprawiło, że kierownictwo Bergfreiheitgrube w Schmiedebergu zwróciło się do urzędu nadzorującego wydobywanie rud żelaza w Gleiwitz (Gliwicach) o wydanie zezwolenia na uruchomienie nieczynnego szybu Vulkan II i pismem z 24 kwietnia 1942 roku informowało, że przez dyplomowanego rzeczoznawcę, inżyniera Bodego, został przepro- >>>

POLSKI URAN (KOPALNIE)

1 KOWARY

2 RADONIÓW W GÓRACH IZERSKICH

3 PODGÓRZE W KARKONOSZACH

4 KOPALNIA STASZIC W RUDKACH KOŁO KIELC

www.odkrywca.pl

Ta kopalniana sztolnia pamięta czasy, gdy wybierano tu rudę uranu. Zdjęcie z połowy lat 90., a więc jeszcze przed urządzeniem tu trasy turystycznej.

Podgórze w Kowarach na początku XXI wieku. Wśród zielonego stoku stoją nieczynne od lat zabudowania byłych Zakładów Przemysłowych R-1.

Ślady dawnego Schmiedebergu w Kowarach na zdjęciu z 1995 roku. Oto chylący się ku ruinie zabytkowy budynek jednego z kowarskich dworców kolejowych i maszty zerwanej przez Rosjan w 1945 roku kolejowej trakcji elektrycznej.

>>> wadzony pozytywny odbiór techniczny wspomnianego szybu. W marcu roku następnego wystąpiono o kolejną zgodę na użytkowanie szybu Vulkan II.

Miejscowi historycy i regionaliści z Kowar twierdzą, że w latach 1943-1944 w kopalni Bergfreiheitgrube pozyskano 72 tony rudy uranowej. Starano się, by partie urobku zawierające blendę smolistą, czyli rudę bogatą w uran, były wywożone na powierzchnię oddzielnie. Wprawdzie kowarska kopalnia nie zajmowała się przeróbką tej rudy, ale na powierzchni poddawano ją wstępnemu oczyszczaniu z domieszek magnetytu i skały płonnej. Rudę kruszono i przemywano wodą na tak zwanych stołach przetrząsalnych. Jej okruchy – jako cięższe – łatwo było więc oddzielić od domieszek. W ten sposób uzyskiwano słaby koncentrat, który wysyłano do zakładów chemicznych Auer-Werke w podberlińskim Oranienburgu. Resztki wspomnianych stołów, które po wojnie znaleziono w kowarskiej kopalni, potwierdzają fakt wstępnego wzbogacania rudy uranu.

Wiosną 1945 roku Niemcy – wyłączając prąd zasilający pompy odwadniające podziemne wyrobiska – zatopili Bergfreiheitgrube. Ponoć przygotowywano się też do wysadzenia w powietrze obiektów naziemnych kopalni, ale Niemcom mieli w tym przeszkodzić polscy robotnicy przymusowi. Mieli, ponieważ nie ma na to twardego dowodu.

Pierwsze patrole radzieckie dotarły do Schmiedebergu 9 lub 10 maja 1945 roku i wkrótce jedna z operujących w tych okolicach przemysłowych brygad trofiejnych dotarła do kopalni rudy żelaza. Zastano tam zdewastowany zakład wydobywczy z zatopionymi wyrobiskami podziemnymi. Zadowolono się zatem rabunkiem sprawnych maszyn górniczych oraz przesłuchano znajdujących się jeszcze na miejscu jeńców wojennych i robotników przymusowych, którzy pracowali w kopalni. W efekcie już w lipcu przekazano ją Polakom. Ci zaś, po częściowym odwodnieniu wyrobisk podziemnych kopalni, którą nazwano Wolność, rozpoczęli z pomocą polsko-niemieckiej załogi eksploatację złoża magnetytu bogatego w rudę żelaza. W sierpniu wydobyto tu pierwszych 200 ton rudy, a na stal czekała gospodarka zniszczonego kraju. O uranie nikt z polskiej załogi nie wiedział nic aż do czasu, kiedy zainteresowali się nim Rosjanie.

Beria wskazuje na Krzyżatkę

Gdy pod koniec kwietnia 1945 roku czerwonoarmiści zdobyli zniszczone przez amerykańskie bomby podberlińskie miasto Oranienburg, specjalne ekipy radzieckie przetrząsnęły rumowisko pozostałe po zakładach chemicznych spółki Auer w poszukiwaniu rudy uranu. Wśród zwalonych ścian i metalowych szkieletów hal fabrycznych, przeciskając się przez poskręcane w żarze instalacje produkcyjne dotarto do piwnic. I tam Rosjanie natrafili na spore zapasy rudy uranu. Musiało jednak minąć trochę czasu zanim zorientowali się, że część tych zapasów pochodzi z górskiej miejscowości leżącej niedaleko Hirschberga (Jeleniej Góry) u podnóża najwyższej góry

www.odkrywca.pl

Fisher Labs

ODKRYJ HISTORIĘ UKRYTĄ PRZEZ LATA

Szukaj w dobrych sklepach outdoorowych lub sprawdź teraz na kolba.pl

kolba

PPHU KOLBA Łukasz Matuszczak
ul. Limanowskiego 65; 42-506 Będzin; e-mail: p.rak@kolba.pl
tel: +48 32 265 22 00 wew. 24; kom: +48 515 269 062

kolekcja ODKRYWCY

MASKA PRZECIWGAZOWA „SŁOŃ"
Model MUA używany w latach 70./80. XX wieku. Maski pochodzą z demobilu i nie mają atestu. Zestaw kompletny razem z oryginalną torbą. Dostępne w rozmiarach od 0 do 4.

15,-

Niezwykle elegancki PENDRIVE USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

36,-

Oryginalna SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

6,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Poradnik bogato ilustrowany podpowiada wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych starych i zniszczonych wyrobów metalowych, w tym do tych wydobytych z ziemi.

35,50

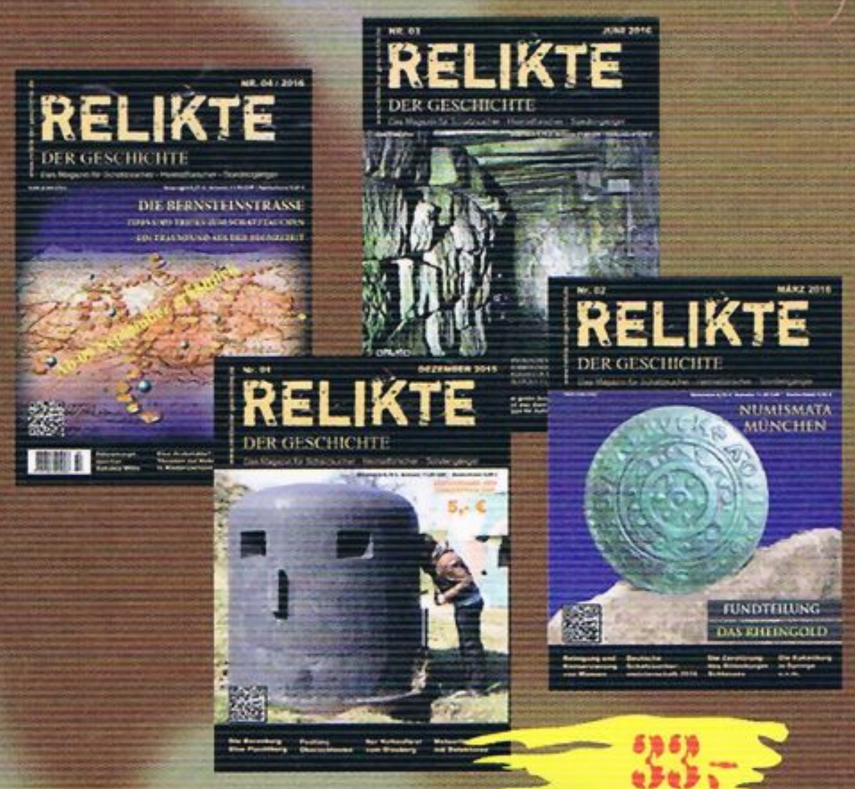

„RELIKTE DER GESCHICHTE" - niemieckojęzyczny magazyn poświęcony eksploracji i archeologii amatorskiej przeznaczony dla wszystkich miłośników tajemnic i poszukiwań skarbów. Prezentowane artykuły dotyczą krajów europejskich a szczególnie Niemiec, Szwajcarii i Austrii. W każdym numerze również tematy z Polski.
Cena egzemplarza – 33,00 zł plus koszty wysyłki. Przy zamówieniu kompletu 4 numerów rabat w wysokości 12 zł.

33,-

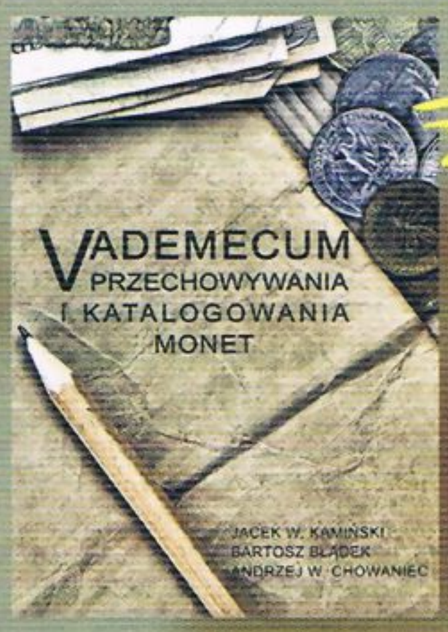

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET"
Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

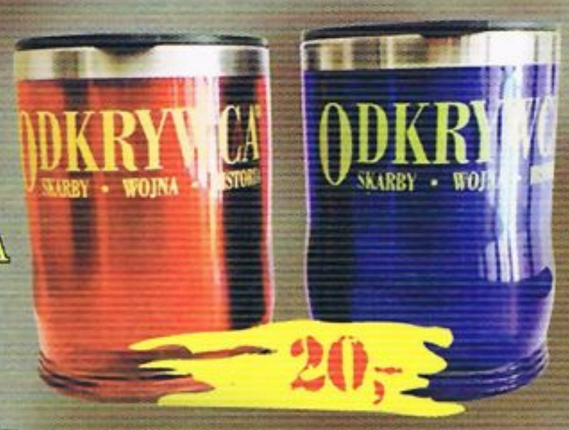

20,-

Metalowy KUBEK TERMICZNY z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

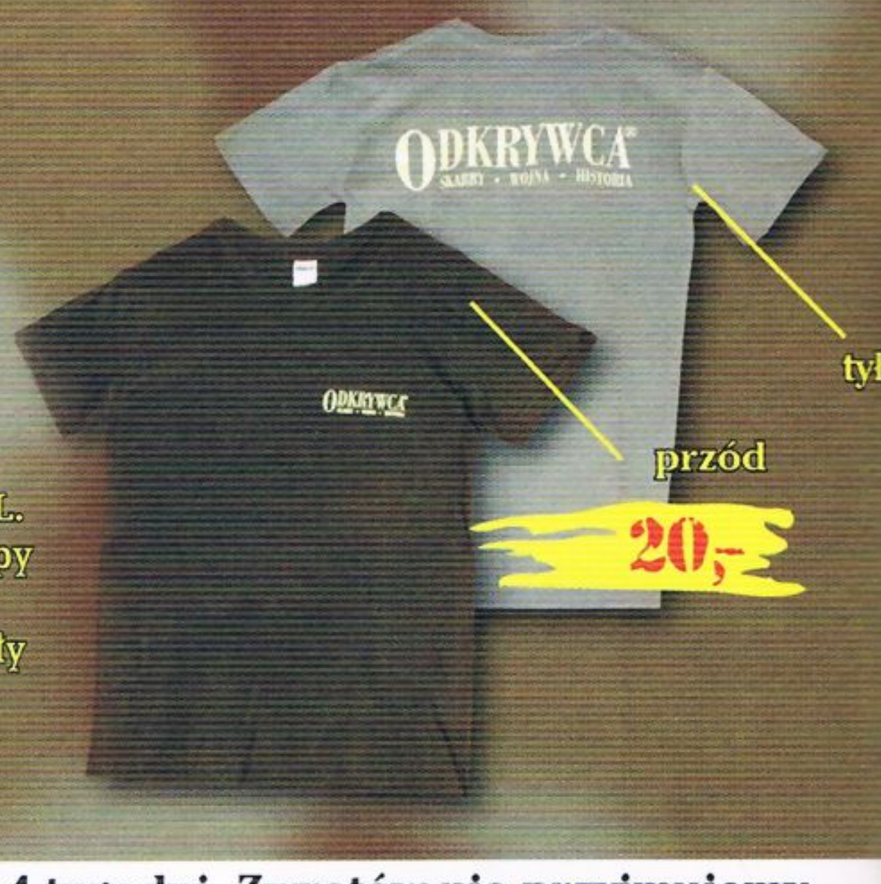

20,-

KOSZULKI „ODKRYWCY" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy. Dostępne rozmiary: S, M, L. XL, XXL. Logotypy „Odkrywcy" – duży z tyłu i mały z przodu.

Oferta dostępna aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 3/218

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Sudetów. Geolodzy radzieccy przybyli w te okolice na polecenie wicepremiera ZSRR i szefa NKWD Ławrientija Berii. W sierpniu 1945 roku otrzymał on pismo od jednego z wysokich urzędników Pierwszego Zarządu Głównego, który był organem wykonawczym zajmującego się budową radzieckiej bomby atomowej Komitetu Specjalnego przy Głównym Komitecie Obrony ZSRR. Tenże urzędnik informował Berię, że w miejscowości Schmiedeberg, 45 kilometrów od miasta Liegnitz (Legnicy), znajduje się złoże rudy uranu, które dostarczało gospodarce niemieckiej znaczne ilości uranu. Prawdopodobnie w Oranienburgu natrafiono na beczki z koncentratem tejże rudy i ustalono – być może na podstawie jakiś załączonych kartek lub napisów na beczkach – że uran pochodzi ze Schmiedebergu.

Pod Śnieżką wkrótce zaroiło się od wojskowych i cywilnych specjalistów radzieckich. Spokojna miejscowość wypoczynkowa niemal z dnia na dzień stała się miasteczkiem frontowym. Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego oraz żołnierze KBW i WOP zaczęli kontrolować wszystko i wszystkich. Z dawnego Bergieviers Waldenburg-Nord (Rewiru Górniczego Wałbrzych-Północ) Rosjanie ściągnęli plany wyrobisk górniczych Bergfreiheitgrube. Po wszechstronnych badaniach geolodzy radzieccy odkryli w Krzyżatce rudę uranu o szczególnie dobrych właściwościach. Z dnia na dzień uran stał się słowem zakazanym.

Po podpisaniu wspomnianej umowy polsko-radzieckiej Kowary stały się centrum polskiego górnictwa i przerobu rudy uranu. Bazę techniczno-magazynową zakładów R-1 urządzono nieco na uboczu – w pohitlerowskich zakładach zbrojeniowych Wilhelm Schmiedding w pobliskiej Krzaczynie, którą w 1959 roku włączono do Kowar. Ale to już inna historia.

W każdym razie, gdy w połowie 1958 roku do rąk setek tysięcy czytelników trafiły gazety z artykułem Bronisława Trońskiego „Polski uran", wydobywano go już tylko w dwóch kopalniach sudeckich: Radoniów w Górach Izerskich i Podgórze w Karkonoszach oraz w kopalni Staszic w Rudkach koło Kielc. Troński „bohaterem" swego artykułu uczynił kopalnię Podgórze w Kowarach, co jest o tyle znamienne, że już wtedy znajdowała się ona w stanie likwidacji. Wkrótce górnictwo kowarskie przeszło do historii, chociaż jeszcze przez następne lata zakłady R-1 w Kowarach prowadziły opłacalną produkcję kruszywa z hałd pokopalnianych Podgórza, a pod koniec lat 60. zajmowały się w dawnej kopalni Wolność produkcją koncentratu uranowego. <

Kopalnie uranu korzystały z bazy techniczno-magazynowej urządzonej w poniemieckich zakładach zbrojeniowych Wilhelm Schmiedding (na zdjęciu z 1995 roku), które w 1943 roku powstały w Buschvorwerku (od 1945 roku w Krzaczynie).

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W czerwcu ubiegłego roku ukazała się „Klęska gauleitera. Sensacje z Kraju Warty". Wkrótce ukaże się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

Historia bomby atomowej: Stany Zjednoczone, Rzesza Niemiecka, Związek Radziecki. Jerzy Kubowski.

Książka należy do literatury faktu. Fragmenty specjalistyczne i dokumentalne przeplatają się w niej z biograficznymi wstawkami i relacjami sensacyjnymi. Opowiada o wydarzeniach i dramatycznych latach budowy pierwszych bomb atomowych, o najwybitniejszych osobistościach nauki z okresu ich konstruowania.

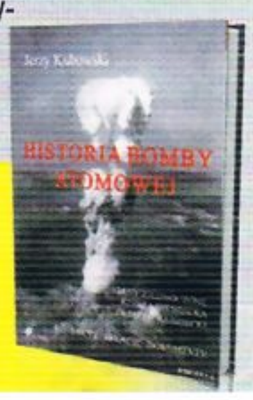

Zamów na www.odk.pl tel. 42 631 10 97 42 630 71 41 Księgarnia Odkrywcy

PARTYZANCKIE OBIEKTY PUSZCZY SOLSKIEJ CZ. 4

OBOZY „WOYNY" I „CORDA"

JANUSZ SKOWROŃSKI
WSPÓŁPRACA: DOMINIK RÓG

Zapomniani ludzie, miejsce i wydarzenia lasów biłgorajskich w czasie drugiej wojny światowej.

Obóz „Woyny"

Na północny-zachód od szpitala leśnego „665", nad potokiem Studczek, prawym dopływie Czarnej Łady, znajdował się obóz partyzancki Adama Haniewicza ps.„Woyna". Pochodzący z podwarszawskiego Świdra porucznik Haniewicz (rocznik 1912) pojawił się na Zamojszczyźnie w maju 1943 roku, oddelegowany z Warszawy przez Zarząd Główny AK. Wraz z nim przybyła ze stolicy 30-osobowa grupa młodych żołnierzy i podchorążych, zwana „Kompanią Warszawską". Dowodził nią kapitan Tadeusz Sztumberk-Rychter ps. „Żegota". Jego zastępcą został por. Haniewicz. Partyzanci „Żegoty" wsławili się na Zamojszczyźnie wieloma akcjami dywersyjnymi, w tym spektakularnym rozbiciem więzienia w Biłgoraju i uwolnieniem 72 członków ruchu oporu.

„Poznałem dziś por. „Woynę", popularnie zwanego »małym Adasiem«. Przyjechał do nas wraz z innymi gośćmi (wyłącznie z partyzantki). Zrobił bardzo dobre wrażenie" – zanotował 31 grudnia 1943 roku w swoim »Dzienniku« doktor Zygmunt Klukowski ze Szczebrzeszyna, lekarz i pamiętnikarz. Dużym „Adamem" był sam komendant obwodu zamojskiego AK – mjr Stanisław Prus. Do spotkania z „Woyną" doszło już po odejściu „Żegoty" z częścią oddziału na Wołyń. Dowodzenie oddziałem przejął „Woyna", który wkrótce został oddelegowany pod komendę majora „Kaliny" (Edwarda Markiewicza, szefa Inspektoratu Zamojskiego AK), a sama „Kompania Warszawska" pozostająca na Zamojszczyźnie weszła w skład I Kompanii Sztabowej Inspektoratu Zamojskiego AK, stacjonującej od początku 1944 roku w Lipinach nad Studczkiem, niedale-

mapa: .Wydawnictwo Turystyczne Paweł Wład

www.odkrywca.pl

ko dwugajówki „Za Oknem" [gajówka zamieszkała przez dwóch gajowych (z rodzinami), z których każdy obsługiwał swój obszar leśny – przyp. autora]. Bywało, że partyzanci znajdowali w niej schronienie podczas mroźnej i deszczowej aury, dostawali pożywienie oraz otrzymywali wieści o ruchach wojsk nieprzyjaciela i wydarzeniach w okolicy. Za pomoc partyzantom gajowych czekała sroga kara. W czerwcu 1944 roku gajówka została zbombardowana przez artylerię niemiecką, a jej mieszkańcy przenieśli się do obozu „Woyny".

Oddział „Woyny" przyjął nazwę I Kompanii Sztabowej Inspektoratu Zamojskiego AK. W obozie nad Studczkiem przebywał inspektorat zamojski na czele z majorem „Kaliną" oraz samodzielna komórka BIP (Biura Informacji i Propagandy). „Pamiętam, że jak pierwszy raz w Lipinach byliśmy, ale jeszcze za »Żegoty« w 1943 roku to lało i lało. Mieliśmy porobione szałasy z gałęzi, ale przeciekało. Jak kapało w jedno ucho, wtedy wykręcałem się na drugą stronę. W Lipinach, jak się organizowaliśmy, to dopiero była moc komarów. Próchno podpalałem, był dymek, to komary trochę odganiał" – wspominał partyzant Bronisław Barczyński „Karaś", który służył pod rozkazami najpierw „Żegoty", a później „Woyny".

W skład I Kompanii Sztabowej wchodziły trzy plutony: 1S – specjalny (szturmowy), złożony przez wyszkolonych żołnierzy, doskonale uzbrojonych, w tym w broń zrzutową, 2Ł – łączności oraz 3R – radiotelegraficzny. I Kompania Sztabowa była jednolicie umundurowana, czym wyróżniała się pośród >>>

Partyzancka mapa Puszczy Solskiej (fragment) z zaznaczonymi partyzanckimi obiektami i miejscami potyczek.

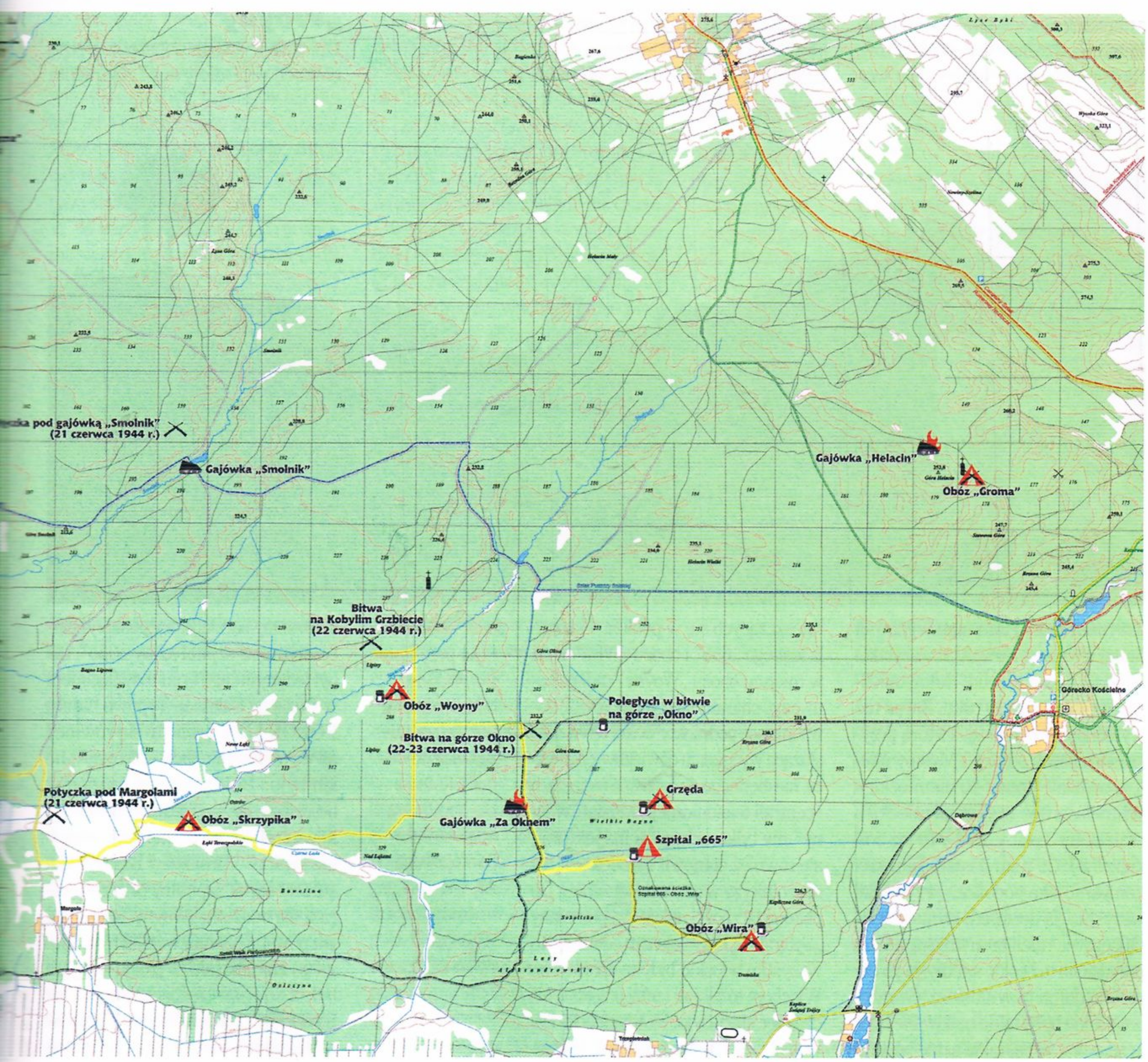

www.odkrywca.pl

>>> innych oddziałów operujących w Puszczy Solskiej. „Umundurowanie mieliśmy angielskie, zrzutowe, jedynie czapki polówki uszyte zostały przez miejscowych krawców" – wspominał po latach kapral podchorąży Mieczysław Klimowicz ps. „Krzysztof", późniejszy profesor filologii polskiej i rektor Uniwersytetu Wrocławskiego. Kompania por. Haniewicza liczyła 102 żołnierzy umundurowanych w angielskie mundury zrzutowe, uszyte w obozie polskie czapki polowe, hełmy, dobrze uzbrojonych. Ciekawie przydział umundurowania zapamiętał inny z partyzantów, Józef Kukułowicz ps. „Sybirak": „Zaraz po śniadaniu zbiórka i przydział sortów. Tam był jeden taki barak duży z magazynem broni i tam nam wydawali mundury i buty. Nowiutkie wszystko, chlebaki nawet i szelki. Hełmy mieliśmy polskie z 1939 roku. Zaraz też wydali nam broń, a tę, z którą przyszliśmy, kazali odłożyć. Myśmy mieli w oddziale ponad 40 niemieckich schmeisserów, 16 lkm niemieckich i mieliśmy 3 piat-y. Piat-y to już żołnierze z 1939 roku dostali. Tam szef kompanii, jako podoficer, przydzielał wszystko. Ja dostałem schmeissera. Oficerowie mieli broń krótką, a nam przydzielili też colty, smithy. Ja go nawet do domu przyniosłem. Granaty angielskie były, takie malowane białą i czerwoną farbą, takie same jak granaty polskie. Później nam nawet opatrunki wydali. Trzymaliśmy je w takich kieszonkach spodni z boku, a na kolanie też była kieszeń".

Łączność telefoniczna u „Woyny"

Pod obóz nad Studczkiem dochodziła sporej wielkości łąka, na której odbywały się apele, zbiórki i ćwiczenia I Kompanii Sztabowej. Na łące wypasano konie, które przeganiano pod drzewa w razie dostrzeżenia nieprzyjacielskiego samolotu. Obóz otoczony był wartowniami, do których doprowadzono łączność telefoniczną – na północy na Kobylim Grzbiecie, na południu – w lesie Lipiny. Kablowa łączność telefoniczna docierała także do placówek mieszczących się w pobliżu – szpitala leśnego „665" i obozu „Wira". Dziś w miejscu obozu „Woyny" można zauważyć charakterystyczne rowki, odwadniające podmokły wokół teren oraz służące wyciszeniu dźwięków z agregatu, niezbędnego do zasilania radiostacji i centrali telefonicznej. Oddział „Woyny" nie tylko ochraniał inspektorat, ale również stanowił ośrodek szkolenia żołnierzy w zakresie łączności. Do plutonu łączności należał wspomniany „Sybirak": „Przysłali nam centralę. To wszystko włoskie były te aparaty, bo Włochom to zabrali i tutaj przesłali. Na dziesięć stacji było. Plutonem »R« dowodził Czesław Suchożebrski »Omega«, który przyprowadził ze sobą pięciu chłopaków z Bondyrza. Oni byli w obozie już przed nami. Zanim tu przyszli, to dłuższy czas mieli kursy aż gdzieś pod Radecznicą. Żeby być radiowcem, to alfabet Morse'a trzeba było znać. Oni siedzieli już tam po całych dniach. A ten »Omega« to on po całych nocach prawie siedział, bo w nocy nadawali. Mieli takie urządzenie do wytwarzania prądu. Wykopali rów, wpuścili je i jak ten motor chodził, to daleko się nie rozchodziło. »Omega« zawsze całą noc nadawał do Anglii".

Baraki i namioty „Woyny"

Opisany w dwóch poprzednich odcinkach w „Odkrywcy" niemiecki drewniany barak, który posłużył partyzantom za szpital leśny „665", nie był jedynym tego typu rozwiązaniem w Puszczy Solskiej. Typowe baraki FOKORAD-u znalazły się również na wyposażeniu obozu „Woyny". Ile ich było? Dokładnie nie wiadomo, bo relacje bezpośrednich uczestników tamtych wydarzeń są rozbieżne. „Karaś" (Bronisław Barczyński) stawiał barak szpitalny oraz dwa baraki dla oddziału „Woyny": „W maju jak powstał szpital, woziliśmy z Długiego Kątu baraki. Z pięciu nas tam było z kbk-ami i rozbieraliśmy barak na stacji w Długim Kącie. Chłopów z Majdanu Nepryskiego i ze Stare-

Łąka przy obozie „Woyny", widok obecny. Por. Adam Haniewicz dowodził I Kompanią Sztabową Inspektoratu Zamojskiego AK.

www.odkrywca.pl

go Górecka ściągaliśmy, ładowaliśmy na furmanki i jechali w te bagna. Dwa baraki postawiliśmy. Jeden był »S«, a drugi łączności. Postawiliśmy je nad Studczkiem, na zachód od »Okna«. Tam gdzie »Okno« było, na tereszpolskiej drodze postawiliśmy pół baraku, a drugie pół dla łącznościowców. Nie wiem, czy on był zamieszkany czy nie. Był tam jeszcze namiot »Woyny«".

Inny z partyzantów „Sybirak" (Józef Kukułowicz) wyliczał, że baraków w obozie „Woyny" były aż cztery: „Na Długim Kącie robili dla Niemców na baraki takie gotowe elementy tylko do składania. Wzięli fury i pojechali na ten tartak, nabrali tych elementów gotowych i składali w lesie. Oficerowie w baraku byli, myśmy w baraku byli, no i pluton osłony też w baraku. Pluton »R« to był w namiocie. »Kalina« miał osobny barak. Była zrobiona nawet altanka dla oficerów".

W partyzanckich relacjach przewijają się często dwa osobliwe „dary" dla inspektora zamojskiego AK – majora „Kaliny": niewielki barak mieszkalny w obozie „Woyny" oraz… bryczka konna, zdobyta na biłgorajskim zastępcy szefa gestapo Colbie i podarowana przez innego z dowódców – „Corda". Potwierdzenie zdobytych na Niemcach baraków znajdujemy także we wspomnieniach „Krzysztofa" (Mieczysława Klimowicza): „Pierwszym samodzielnym zadaniem, jakie otrzymałem w trakcie formowania się kompanii sztabowej, było zdobycie dla niej odpowiednich pomieszczeń. Z grupą dobrze uzbrojonych żołnierzy oraz furmankami z pobliskiego Aleksandrowa podjechaliśmy w nocy do stacji kolejowej w Krasnobrodzie [Nieścisłość, prawdopodobnie chodziło o Józefów i leżącą tuż przy nim stację kolejową Długi Kąt z pobliskim tartakiem. Ze względów logistycznych z Aleksandrowa jest tu znacznie bliżej (niż do Krasnobrodu). Potwierdzają to także inne relacje – przyp. autora] i rozebraliśmy kilka (może cztery?) świeżo tam postawionych baraków. Stacji tej strzegł oddział niemieckich wojsk posiłkowych złożonych z obywateli Azerbejdżanu, dyżurujących w dobrze umocnionych bunkrach, ale choć byliśmy przygotowani na zablokowanie ich w czasie rozbiórki i noc była jasna, nie odważyli się oddać do nas ani jednego strzału. Dostarczyliśmy więc baraki do obozu, gdzie je postawiono i tak znakomicie zamaskowano pod drzewami, że podczas czerwcowych nalotów na punkty zgrupowań partyzanckich, m.in. na pobliską gajówkę Okno, piloci niemieccy latający bardzo nisko nie potrafili nas wykryć".

Koniec obozu „Woyny"

Obóz porucznika „Woyny" nad Studczkiem istniał do 22 czerwca 1944 r. Zaciskająca się pętla niemieckiego okrążenia w operacji „Sturmwind II" zmusiła partyzantów do opuszczenia miejsca stacjonowania. Zabrano centralę i aparaty telefoniczne, na zwinięcie kabli nie było już czasu. I Kompania Sztabowa stoczyła jeszcze potyczkę na Kobylim Grzbiecie (22.06.) a następnie przemieściła się na południowy wschód, gdzie przy obozie „Wira" (Konrada Bartoszewskiego) wyznaczono miejsce koncentracji oddziałów partyzanckich AK. Sam „Woyna" poległ 25.06. w bitwie pod Osuchami, bohatersko broniąc się, osaczony w okrążeniu. Po bitwie, na podstawie zachowanych śladów, odtworzono przebieg jego ostatniej walki. Pośrodku niewielkiego kawałka pola obsianego żytem, ustawicznie zmieniając miejsce, ostrzeliwał się z pistoletu maszynowego. Świadczyła o tym znaleziona tu duża ilość łusek. Gdy zabrakło mu amunicji, bronił się skutecznie pistoletem i granatami. Wokół pola, na którym był osaczony, znaleziono po bitwie znaczną ilość łusek od pistoletów maszynowych i erkaemów, ślady opatrunków, krwi i części garderoby rannych Niemców. W końcu Niemcy, nie mogąc dać rady „Woynie", rzucili kilkadziesiąt granatów ze wszystkich stron pola. Granaty te wybuchały w różnej odległości od walczącego, tak że całe pole było nimi dosłownie zryte. Porucznik „Woyna" zginął od granatów, zaś leje po wybuchach okalały kilkoma pierścieniami jego zwłoki.

Uczestnicy rajdu partyzanckiego przy obozie „Woyny". GRH „Wir" zamierza oczyścić kamień i umieścić na nim pamiątkową tablicę.

Niemcy, po wycofaniu się partyzantów, zniszczyli zabudowania obozowe i przejęli część ukrytego sprzętu. Aniela Terlecka, krawcowa w oddziale „Woyny", widziała po bitwie splądrowany przez Niemców obóz: „Następnego dnia poszłyśmy z koleżanką na miejsce naszego obozu. Jak się okazało, z trzech schronów, o których my będąc w oddziale nie wiedziałyśmy, dwa z bardziej cennymi rzeczami jak broń, nasze maszyny do szycia i inne bardziej wartościowe przedmioty, zostały odkryte i oczywiście obrabowane przez Niemców. Obóz nasz, który jeszcze przed kilkoma dniami tętnił życiem jak pracująca pełną parą maszyna, zionął pustką. Jakaś upiorna cisza wiała z niego (…). Nie da się opisać tego uczucia, jakie się wtedy przeżywało, smutek i przygnębienie ogarnęło nas. Lecz ja nie chciałam dać za wygraną, uparcie dalej szukałam i wreszcie znalazłam centralny punkt naszego obozu. Były to cztery brzozy rosnące w symetrycznym czworoboku. Za czasów kiedy tu stacjonował nasz oddział brzozy te, wtedy brzózki, tworzyły główną konstrukcję altany. Na odpowiedniej wysokości zrobiony był daszek, ściany z dołu były wyplecione wikliną, po dwóch bokach były ławki, a na środku, na całej długości, był stół, który służył mi za krojownię".

Miejscowy leśniczy z Tereszpola-Kukiełek Tadeusz Startek posadowił w miejscu obozu „Woyny" pamiątkowy kamień, dotychczas nie podpisany. GRH „Wir" planuje jego >>>

fot. D. Róg, GRH „Wir"

www.odkrywca.pl

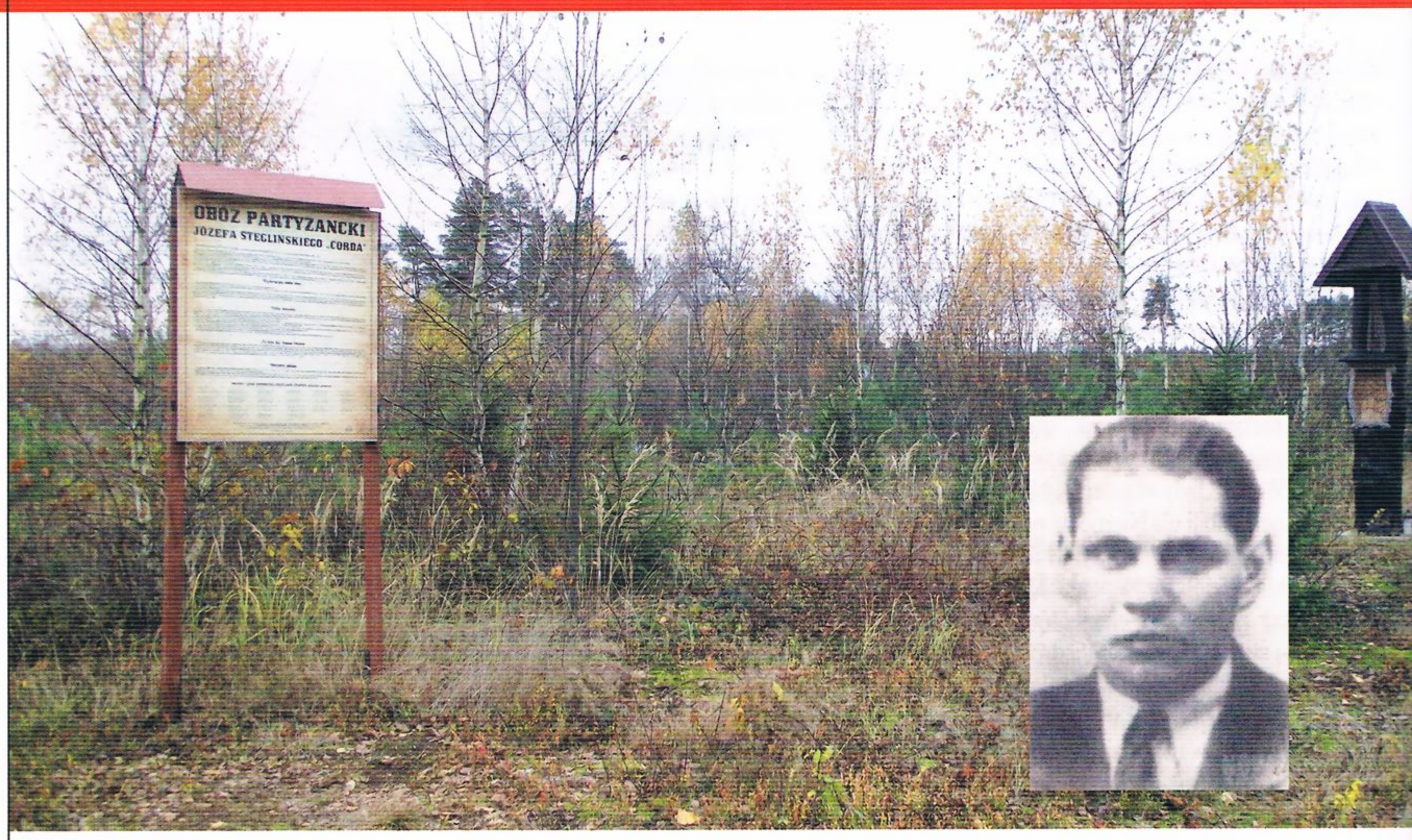

Tu był obóz por. Józefa Stegliń-skiego „Corda", widok obecny. W 2014 roku ustawiono tablicę informacyjną i leśną kapliczkę.

>>> oczyszczenie i umieszczenie na nim tablicy pamiątkowej.

Obóz „Corda"

Józef Stegliński (rocznik 1907) ps. „Cord" pochodził z Łodzi. Przed wojną przeniósł się do Głowna. Podczas wojny służył w eskadrze zapasowej bazy nr 4 należącej do Armii „Kraków". Po kampanii wrześniowej i powrocie do Głowna działał w SZP i ZWZ-AK. Aresztowany przez gestapo w 1940 roku zbiegł z więzienia i ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem Zygfryd Koman. Dzięki AK został przerzucony do Biłgoraja, gdzie zalegalizował się, prowadząc zakład wulkanizacyjny… pod bokiem miejscowego gestapo. Jednocześnie został komendantem Szarych Szeregów („Czarny Żbik"), a w lipcu 1943 roku, jako komendant rejonu Biłgoraj, porucznik „Cord" stworzył duży oddział partyzancki Armii Krajowej. Od lutego 1944 roku oddział ten stacjonował w lesie niedaleko wsi Brodziaki, ok. 4 km na wschód od Biłgoraja. Obóz pod Brodziakami był schronieniem dla Kursu Młodszych Dowódców Piechoty oraz partyzantów z okolicznych miejscowości. Był nazywany przez miejscowych „Placówką". Tak zapamiętał obóz „Corda" jeden z jego partyzantów „Orkan" (Roman Kiciński): „Umiejscowienie obozu zostało starannie wybrane, teren gęsto porośnięty lasem sosnowym. Od południa, wschodu i północy otoczony podmokłym i bagiennym terenem. Od strony zachodniej porośnięty częściowo młodnikiem i lasem wysokopiennym. Tam na przecięciu się dwóch duktów w odległości około 500 metrów od obozu obserwację terenu pełniło dwóch żołnierzy uzbrojonych w broń długą i lornetki, w czasie od świtu do zmierzchu. Na noc posterunek ściągany był do obozu. Zabudowa obozu oparta była na niedomkniętym okręgu (kole). Od lewej zbudowano sześć szałasów zagłębionych do połowy w ziemi, wykonanych z okrąglaków uszczelnionych mchem. Dach z tarcicy pokryty papą i zamaskowany jedliną. W szałasie mogło jednocześnie ułożyć się do snu nawet dwunastu żołnierzy. Szałasy te miały za zadanie zakwaterowanie, nawet w warunkach zimowych tych żołnierzy, którzy byli zdekonspirowani i nie mogli powrócić do domu. Następne trzy pomieszczenia to namioty płócienne, w tym jeden dowództwa, a za nimi zadaszenie dla koni i bryczki komendanta. Ostatnią zabudowę stanowiła kuchnia wojskowa, osłonięta z trzech stron ścianami z tarcicy i daszkiem. Cały obóz był więc dość pojemny. Został zorganizowany z myślą o masowym szkoleniu młodych żołnierzy dla potrzeb nie tylko własnych, ale i do zasilenia innych oddziałów leśnych AK Obwodu Biłgoraj".

Stanisław Skubis „Hel", jeden z ostatnich żyjących partyzantów „Corda", ciekawie charakteryzuje obozowy dzień: „Namioty kryto brogami zabieranymi z łąk oraz plandekami. Nas w namiocie było ze 40. Namiot był zielony i miał ze 20 metrów długości. Spaliśmy w barłogach z siana, skoszonego na okolicznych łąkach. Konie miały szopę zrobioną, były związane i miały żłoby. Konie poiliśmy przy rzeczce, która płynie pod Wolaniny, wtedy tam był mały stawek. Konie cały czas były na obroku, ale i ruchu dużo zażywały, bo na akcje je brali. Ja spałem zawsze w pasie i w butach. Wstawało się rano i szło się do strumyczka w olszynach. Tam się opłukało chwilę. Wieczorem

www.odkrywca.pl

fot. J. Skowroński

piliśmy kawę, jedliśmy chleb ze smalcem i kawałek boczku, a później śpiewaliśmy piosenki. Na noc dwóch wartowników zostawało i zmieniano ich co 2 godziny. Rano budziła nas trąbka gajowego".

Kilku gajowych, których gajówki zostały zniszczone lub nie mogli w nich przebywać, zamieszkało w obozie, zasilając oddział „Corda". „Hel" doliczył się w obozie 18 koni. Poza obozem odbywały się całodzienne szkolenia, z dwugodzinną przerwą obiadową. Odbyły się dwa pełne turnusy szkoleniowe Kursu Młodszych Dowódców Piechoty, które zaliczyło ok. 50 osób. Posiłki jadano „pod chmurką", przy stołach ustawionych na zewnątrz. Por. „Cord" dbał o patriotyczne wychowanie swoich podkomendnych. Przy wieczornym ognisku śpiewano pieśni patriotyczne, w tym „Rotę", były pogadanki patriotyczne dowódcy, majówki połączone z modlitwami, pieśni obyczajowe i ludowe.

Podczas akcji Sturmwind II oddział „Corda" liczył ok. 200 żołnierzy i jako pierwszy stoczył walkę z Niemcami. Przez cały dzień 21.06. plutony z oddziału „Corda" toczyły walki opóźniające z Niemcami (bito się m.in. pod Wolaninami oraz w pobliżu gajówki „Smolnik", a pod Brodziakami doszło nawet do walki wręcz pomiędzy czujkami niemieckimi i partyzanckimi). Po zaminowaniu i opuszczeniu obozu główne siły oddziału wycofały się – stoczywszy po drodze kolejną potyczkę pod wsią Margole – w rejon koncentracji oddziałów AK przy obozie „Wira" w pobliżu Kaplicznej Góry. Partyzanci „Corda" walczyli pod Osuchami, ponosząc znaczne straty w ludziach. Części oddziału, w tym i samemu dowódcy, udało się przerwać pierścień okrążenia niemieckiego. Por. Stegliński, sam ranny, wrócił – zgodnie z obietnicą – po resztę swoich żołnierzy, którzy byli ranni i pozostali w okrążeniu. Wówczas został trafiony w głowę i zginął.

Do niedawna miejsce obozu „Corda" nie było w żaden sposób oznaczone, a tylko niektórzy wiedzieli, gdzie szukać tzw. „Placówki". Dzięki staraniom młodzieży z OSP w Brodziakach, mieszkańców Brodziaków i Edwardowa, leśniczego Witolda Zakościelnego oraz Oddziału PTTK w Biłgoraju upamiętniono to miejsce. W 2014 roku postawiono tablicę informacyjną oraz kapliczkę kłodową z żelaznym krzyżem oraz drewnianą płaskorzeźbą. Tablica i kapliczka zostały uroczyście poświęcone 21 września 2014 r.

Na odcinku obóz „Wira" – szpital leśny „665" partyzancki szlak został już wytyczony i oznakowany.

Warto dodać, że 19 listopada ub. roku odbył się Rajd Szlakiem Obozów Partyzanckich w Puszczy Solskiej, organizowany przez OSP w Brodziakach oraz GRH „Wir" z Biłgoraja. Uczestnicy rajdu pokonali 23-kilometrową trasę, odwiedzając miejsca obozów „Corda", „Skrzypika" (Józefa Mazura, AK, BCh), „Woyny", szpital leśny „665" oraz „Wira". Rajd był realizacją projektu badawczego, który miał na celu opracowanie „Partyzanckiej mapy Puszczy Solskiej". Mapę wraz z dokładnym opisem i licznymi zdjęciami wydano pod koniec ubiegłego roku. Mapa (oznaczona jako część I) obejmuje tereny lasów tereszpolskich, część lasów biłgorajskich oraz część lasów aleksandrowskich. W wersji elektronicznej mapę można pobrać z witryny internetowej Gminy Biłgoraj. Docelowo przewiduje się połączenie wszystkich partyzanckich obozów w jeden szlak turystyczny. Na odcinku obóz „Wira" – szpital leśny „665" szlak został już oznakowany (o czym pisaliśmy w poprzednim numerze). <

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor kilku książek i licznych artykułów o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny. W latach 1986-87 jego przełożonym był opisywany w cz.1-3 „Radwan" (Lucjan Kopeć).
Kontakt loginfo@go2.pl

Dominik Róg
Historyk, mieszkaniec Brodziaków, opracował wspomnienia wojenne mieszkańców podbiłgorajskich wsi „Zabrali nam dzieciństwo" oraz „Partyzancką mapę Puszczy Solskiej – część I".
Kontakt domo.rog@gmail.com

LITERATURA:

KLIMOWICZ M., **Wspomnienia z czasów zamętu,** Wrocław 2005.

RÓG D., **Zabrali nam dzieciństwo,** [tamże:] wspomnienia Stanisława Skubisa, Biłgoraj 2015 r.

Zeszyt Osuchowski nr 9, 2012 (wspomnienia J. Kukułowicza)

Zeszyt Osuchowski nr 10, 2013 (wspomnienia B. Barczyńskiego)

Zeszyt Osuchowski nr 11, 2014 (wspomnienia R. Kicińskiego)

www.swiadkowiehistorii.pl (wspomnienia A. Terleckiej)

www.odkrywca.pl

OFICEROWIE WRZEŚNIA

JOLANTA ADAMSKA

Por. rez. Jerzemu Getlingowi
z Warszawy żona wpisała na fotografii:
„Kocham Cię Mężula, pamiętaj o tym. Pamiętaj,
że zawsze i wszędzie jestem i będę z Tobą
– 24 VIII 39".

W poprzednich artykułach pisałam o dokumentach, nieśmiertelnikach i odznaczeniach. Teraz mowa będzie o przedmiotach.

Do umieszczenia bagażu oficerowie używali na ogół walizek i kuferków oficerskich, ale nie tylko. Jeden ze świadków rosyjskich w sprawie zbrodni katyńskiej, Iwan Kriwozier-cew, zaobserwował późnym wieczorem w końcu kwietnia 1940 r. jadący z Lasu Katyńskiego w kierunku Smoleńska konwój 10-12 trzytonowych wozów, przykrytych brezentem. Wyładowane były, jak zdołał zauważyć, kuferkami i plecakami „obcego i cudzoziemskiego wyglądu". Dodam, że mjr prof. Stefan Pieńkowski (zamordowany w Katyniu) napisał w pamiętniku, że po wzięciu do niewoli, podczas 10 kilometrów marszu, wyrzucił swoją ciężką walizkę do rowu i w którymś obozie przejściowym odkupił od szeregowca plecak; przypadek takiego handlu nie był odosobniony.

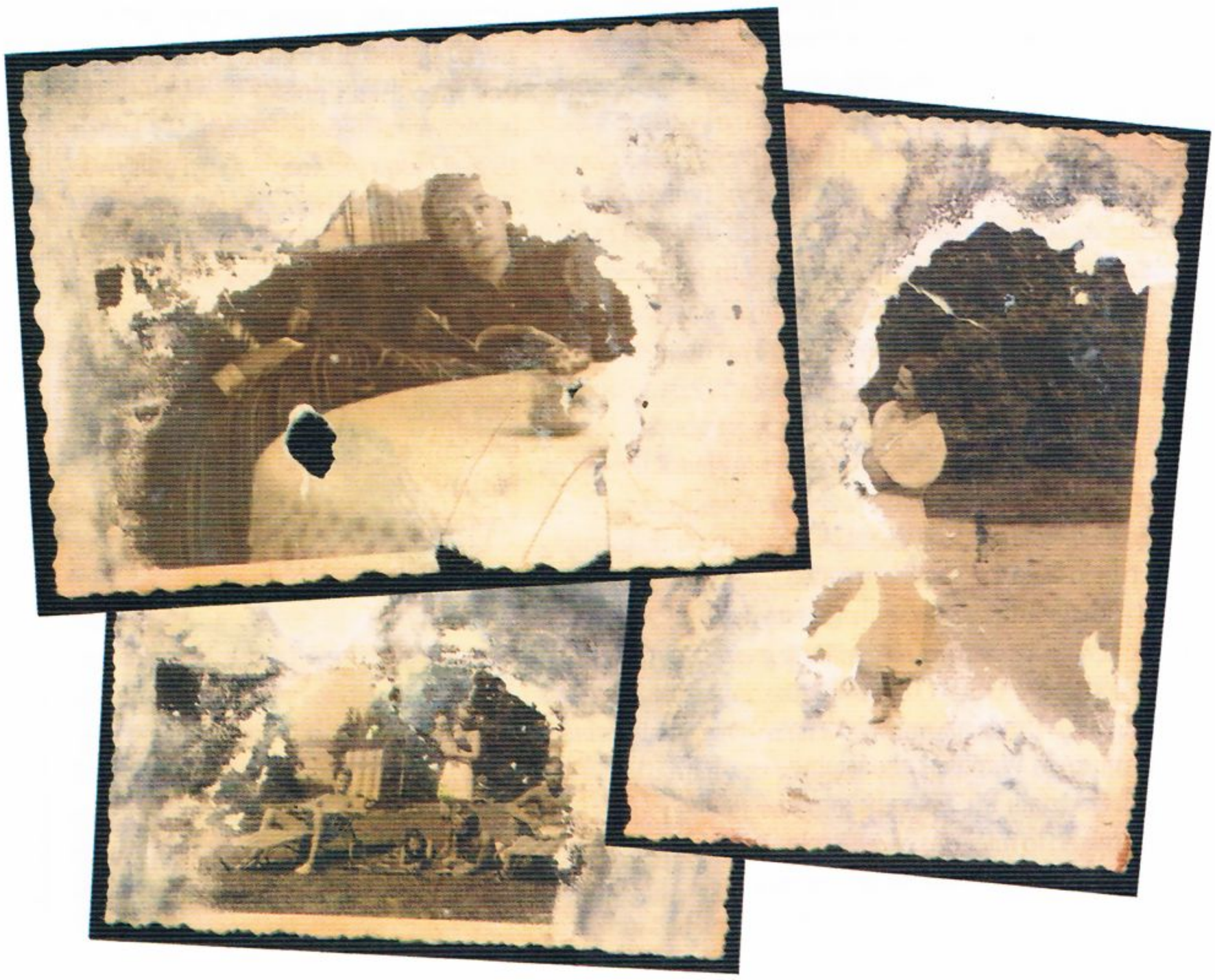

Fotografie znalezione w Katyniu przy zwłokach ppor. Joachima Schreera, piłkarza Widzewa-Łódź.

PRZEDMIOTY Z WYPOSAŻENIA OFICERSKIEGO

Tylko przy dwóch oficerach ekshumowanych w Katyniu znaleziono kompasy, przy 4 – gwizdki. Nie natrafiono na nie również podczas prac w l. 1994-95. Przedmioty te jednak, jak wiemy z licznych świadectw jeńców, zabierane były podczas rewizji po wzięciu do niewoli (lornetki, busole, latarki). Ppor. Zygmunt Gosiewski zapisał w pamiętniku znalezionym w Katyniu: „20 X. Otoczeni przez czołgi radzieckie oddajemy broń, maszerujemy do Uściługa, po drodze rewizja i odebranie od oficerów broni bocznej, lornetek, noży, busoli, żyletek itd". Stąd też w „Zestawieniu zdobycznego uzbrojenia i mienia zagarniętego podczas kampanii polskiej spisanego według stanu na 1 listopada 1939 r.", sporządzonego w Sztabie Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej (w: Cz. Grzelak, „Kresy w czerwieni 1939", Warszawa 2008), figuruje m.in. 2538 lornet nożycowych i lornetek, 277 busoli, a także 66 421 masek p/gaz. Trzeba przy tym pamiętać, iż spis ten nie obejmuje całości zagrabionego majątku wojskowego.

PRZEDMIOTY ZAWODOWE

Były to głównie przedmioty należące do lekarzy, które znajdowano

www.odkrywca.pl

– CO ZABRALI NA WOJNĘ?

CZĘŚĆ 3

Fotografia znaleziona w Katyniu przy zwłokach ppor. Joachima Schreera, piłkarza Widzewa-Łódź.

podczas ekshumacji w 1943 r. (m.in. 18 receptariuszy i 4 pieczątki lekarskie), a także w l. 1994-95, kiedy to z dołów śmierci, do których wrzucano w 1943 r. po ekshumowaniu zwłok niepotrzebne rzeczy, wydobyto dużo igieł lekarskich, strzykawek, stetoskopów, rękawiczek gumowych. Znaleziono też przyrządy kreślarskie, a przy oficerze z WIG – triangulator.

PIENIĄDZE, KOSZTOWNOŚCI

Rzecz jasna, one również były grabione po wzięciu do niewoli, kiedy to, jak napisał z kolei por. Bronisław Młynarski: „...nastąpiło zdawanie broni i rewizja, która była zwykłym rabunkiem obrączek, sygnetów, zegarków, pasów, mapników, płaszczy, odbieraniem papierów i pieniędzy".

O stan majątkowy jeńców „zatroszczył się" też Beria, który w dyrektywie do komendanta obozu specjalnego NKWD w Starobielsku, wydanej 3 października 1939 r., a więc równocześnie z rozkazem jego utworzenia, nakazał: „Polecić wszystkim jeńcom wojennym zdać administracji obozu przedmioty wartościowe i pieniądze do przechowywania"[!]. Zalecenie takie wydane zostało z pewnością także dla innych obozów.

Należy sądzić, iż oficerowie wyruszający na wojnę nie brali ze sobą większych kwot pieniędzy. Nie musieli przecież sami opłacać zakwaterowania i wyżywienia. Wielu oficerów wzięło jednak ze sobą książeczki PKO lub KKO (podczas ekshumacji w Katyniu znaleziono ich około 190), wierząc zapewne w dalsze funkcjonowanie państwa polskiego.

Dużym więc zaskoczeniem jest posiadanie przez niektórych jeńców sporych kwot pieniężnych. Tak więc jeden z pułkowników pisze w pamiętniku o zabraniu mu podczas rewizji kwoty 6 300 zł (1 zł przedwojenny = 20 zł obecnych). Innemu z oficerów odebrano w Kozielsku podczas nocnej rewizji 13 marca 1940 r. 3 tys. zł. Podczas ekshumacji w 1943 r. przy kilku oficerach znaleziono kwoty od tysiąca do 4200 zł (nb. jeden miał też 250 USD zaszyte w portfelu); a polskie banknoty wydobywano też podczas ekshumacji w 1995 r. Warto dodać, że z inwentarza dokumen- >>>

www.odkrywca.pl

>>> tów NKWD dot. Starobielska, otrzymanego w 1991 r. z KGB w Charkowie wynika, że od 391 polskich jeńców „przejęto" 320 707 zł! (A. Kola, „Archeologia zbrodni", Toruń 2005).

Wyjaśnieniem stanu posiadania tak dużych sum mogą być zapisy w dokumentach oficerów, odczytane w l. 1943-44 przez zespół dr. Robla. Jak z nich wynika, kasy – otoczonych lub rozpuszczanych w obliczu nieuchronnej klęski – polskich oddziałów dzielone były, zapewne na rozkaz dowódców, między żołnierzy i oficerów, tytułem i akonto należnych im wypłat. Tak np. mjr lek. Konstanty Jamiołkowski miał w legitymacji MS.Wojsk. adnotację z 16 września 1939 r., poświadczoną pieczątką Szpitala Wojennego 504, iż wypłacono mu dodatek ewakuacyjny 735 zł, ryczałt – 2 tys. zł, trzymiesięczne pobory – 2250 zł; razem – 4985 zł. W książeczce stanu służby oficerskiej ppor. rez. Kazimierza Gąsowskiego figurowała adnotacja z „M. p. 17 IX 39" i częściowo czytelną pieczątką Szpitala Wojennego, iż pobrał uposażenie za wrzesień 1939 r. oraz ryczałt i zaliczkę na 3-miesięczne uposażenie, tj. 2296, 36 zł. We wspomnianym zestawieniu „łupów" Frontu Ukraińskiego podana jest kwota – w banknotach i bilonie – 101 972, 069 zł.

Można postawić pytanie, po co Sowietom potrzebne były pieniądze nieistniejącego już państwa? Otóż na terenie tzw. Generalnego Gubernatorstwa, czyli okupowanym przez Niemcy, obowiązywała w pierwszych miesiącach waluta przedwojennej Polski, tj. złoty. Dopiero po utworzeniu z dniem 15 grudnia 1939 r. Banku Emisyjnego wprowadzone zostały banknoty okupacyjne (też złoty, dawne wymieniane były w stosunku 1:1). Pamiętajmy tu, iż do połowy 1941 r. Związek Sowiecki i Niemcy byli sojusznikami.

Prócz pieniędzy niektórzy oficerowie „katyńscy" mieli przy sobie obligacje pożyczki państwowej, losy loterii państwowej, ale i weksle (5), list zastawny z lombardu (1), poza tym kwity różnych wpłat, rozmaite rachunki i pokwitowania.

Kosztowności rzecz jasna także podlegały konfiskacie (jak podał por. Jan Mintowt-Czyż, przy odbieraniu rzeczy wartościowych oświadczono im, że „stanowią one własność państwową"), bądź złożeniu do „depozytu".

Niewiele złotych przedmiotów wydobyto podczas ekshumacji w 1943 r. Choć z pewnością większość oficerów miała obrączki, znaleziono je jedynie przy zwłokach 8 oficerów [!]. Przy zaledwie dwóch – złote sygnety. Pięciu miało złote monogramy, ośmiu – złote łańcuszki, dewizki i spinki do mankietów. Poza tym jeden posiadał złote pióro, także jeden – złotą stalówkę. 6 oficerów miało złote pierścienie z kamieniami; w dwóch wypadkach zaznaczono, że były to pierścionki damskie (z pewnością otrzymane na pamiątkę). Kosztownymi przedmiotami – też wyraźnie pamiątkowymi – były 4 kolczyki, 2 sznureczki perełek i złota puderniczka. Aż 22 oficerów zachowało srebrne papierośnice, z tego 13 z nałożonymi monogramami (przeważnie złotymi) oraz wyrytymi dedykacjami. 12 oficerów miało – od jednej do pięciu – złote i srebrne monety różnych nominałów (waluty: złote polskie, ruble, korony, dolary, marki). Rekordzista pod tym względem posiadał: monetę złotą 15 rb, 3 monety złote arabskie, 1 monetę srebrną, 1 rubel jubileuszowy, 2 srebrne monety 5-złotowe jubileuszowe.

Przedmioty wartościowe z pewnością starannie ukrywano przed re-

Przedmioty wydobyte z katyńskich grobów w 1943 r., w tym banknoty [A. Ciesielski, „Katyń", Warszawa 1943]

Złote monety i złota koniczynka znalezione w 1995 r. w Katyniu przy szczątkach gen. Smorawińskiego.

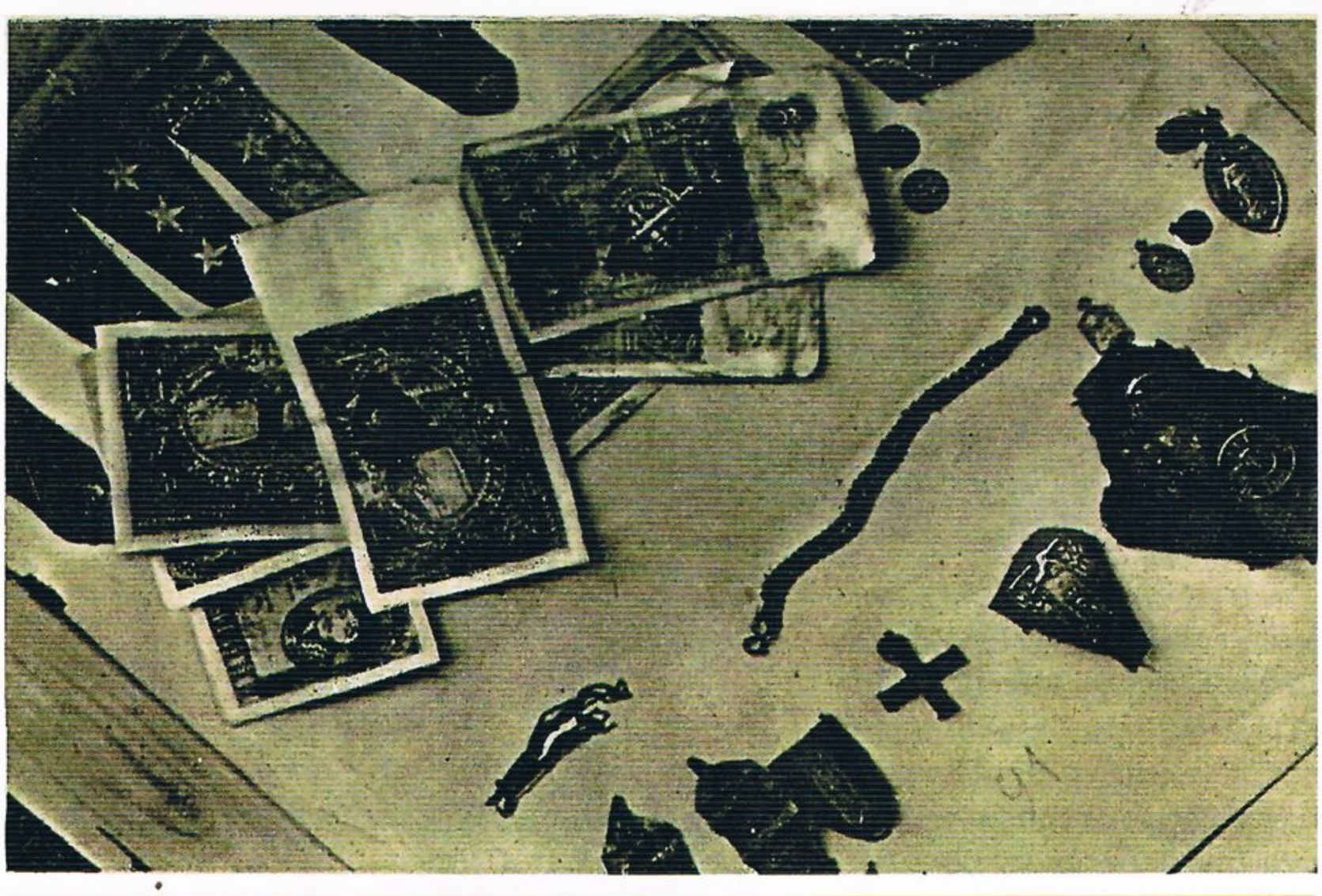

fot. Materiały Ministerstwa Kultury

wizjami i składaniem do depozytu. Kilka znaleziono dopiero podczas prac w Katyniu w 1995 r. (były to m.in. 2 złote zegarki). Metodą na ich ujawnienie i pozyskanie – za część prawdziwej wartości – było organizowanie w obozach specjalnych NKWD skupu kosztowności przez Główny Zarząd Handlu Jubilerskiego (Gławjuwielirtorg). Do wyprzedaży kosztowności, zegarków, wiecznych piór itp. jeńców zmuszono w ten sposób, iż znaczki na korespondencję z rodzinami można było nabyć jedynie za ruble, których nie posiadali. Ceny za pierścienie, zegarki itp. wyznaczono stałe (np. na zegarek – 120 rb.). Poza tym w obozach czynne były okresowo sklepiki, w których – ale też tylko za ruble, można było nabyć drobne przedmioty, jak: igły, nici, guziki, bibułki do papierosów, machorkę, papierosy, zapałki, czasem cukier, marmoladę i cukierki – cenne uzupełnienie do skromnego codziennego wyżywienia.

Jak z tego wynika, drogocenne przedmioty oficerowie zabrali ze sobą, jako: noszone na co dzień (obrączki, sygnety, dewizki, łańcuszki, krzyżyki i medaliki – o nich powiem niżej); pamiątki (damskie pierścionki, kolczyki); jako zabezpieczenie w wypadku jakiejś konieczności (monety).

Dla ilustracji podam, że w 1943 r. przy zwłokach gen. Smorawińskiego znaleziono m.in. złoty pierścionek z brylantem i srebrną papierośnicę (z nałożonymi 8 złotymi podpisami), dopiero natomiast podczas prac w 1995 r. odkryto przy jego szczątkach złoty wisiorek w formie 4-listnej koniczynki (27 mm średnicy) oraz złotą monetę rosyjską z 1899 r. i takąż, bitą w Salzburgu w 1726 r.

Kilku przynajmniej oficerów miało aparaty fotograficzne, które im oczywiście odebrano.

Notes 28-letniego por. rez. Zbigniewa Cichobłazińskiego, wywiezionego do Lasu Katyńskiego 19 IV 1940 r.

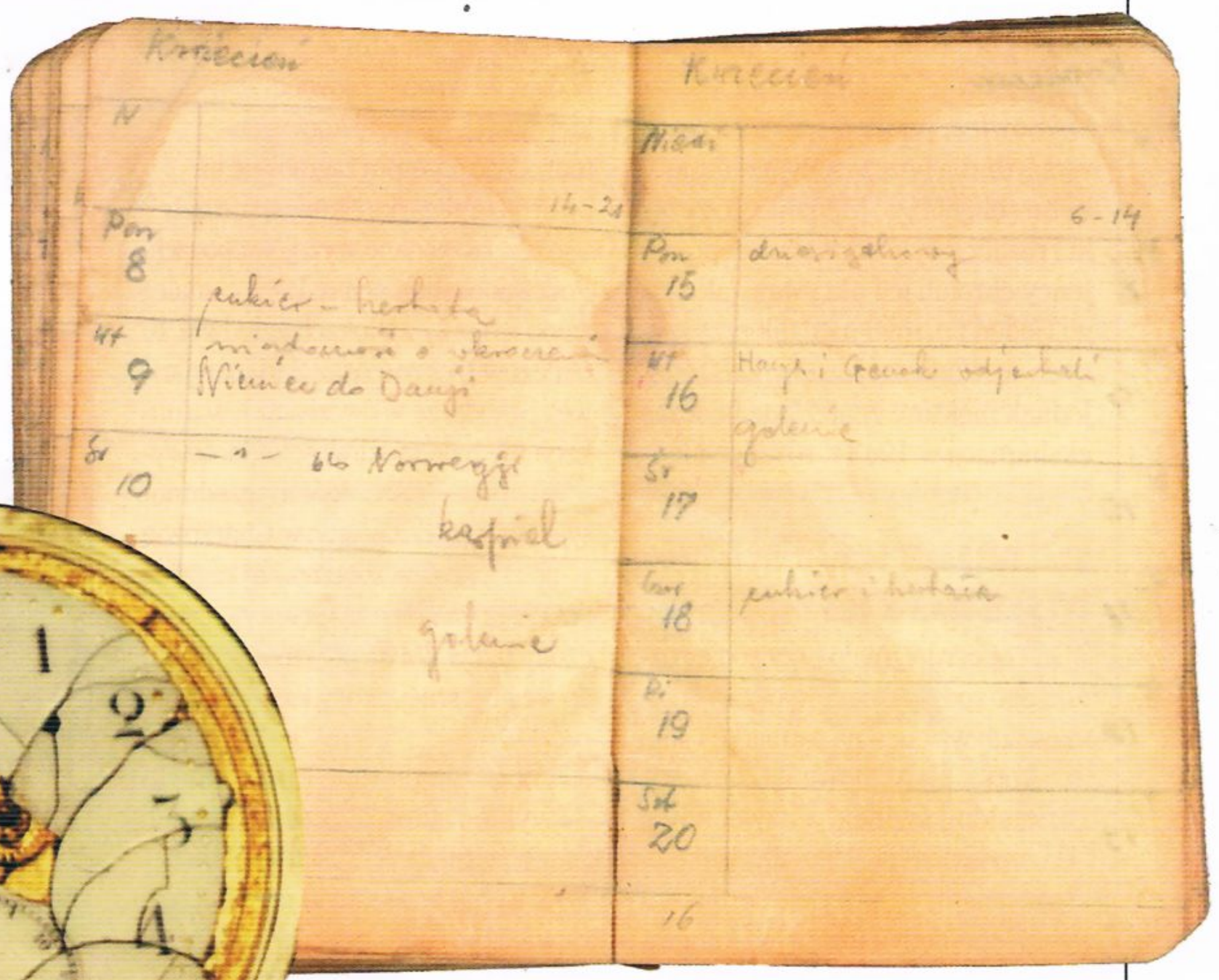

PRZEDMIOTY KULTU RELIGIJNEGO

W katolickiej Polsce od wieków wyruszających na wojnę mężczyzn żegnały matki i żony znakiem krzyża, zawieszając im na szyi poświęcone medaliki i krzyżyki, kładąc do bagażu święte obrazki. „W swej masie kadra oficerska jest religijna" stwierdza raport NKWD z Kozielska z 1 grudnia 1939 r. „Ponieważ wszelkie wspólne modlitwy były surowo zakazane, nabożeństwa nabierały charakteru katakumbowego. Księża odprawiali msze święte w różnych zakamarkach starych cerkwi lub nawet gdzieś w suterynach, a potem rozdawano komunię świętą w postaci chleba pszenicznego, pochodzącego z racji obozowych. We wszystkich też blokach był zachowany zwyczaj wieczornej modlitwy, odprawianej w postaci trzyminutowej ciszy" (por. prof. Stanisław Swianiewicz). Większość z ekshumowanych w 1943 r. w Katyniu oficerów miała przy sobie medaliki, z łańcuszkiem lub bez (łańcuszki jeńcy czasami sprzedawali w obozach, zob. wyżej), niektórzy po 2-3. 20 z nich posiadało medaliki złote lub srebrne. Krzyżyki, także z łańcuszkami lub bez, znaleziono przy 452 oficerach (11 z nich było złotych, z datami czy monogramami); nie wszystkie zapewne odnotowane zostały podczas ekshumacji. Medaliki i łańcuszki znaleziono też w 1995 r. w jednym z katyńskich dołów śmierci. Wydobyto wówczas także duży krucyfiks i krucyfiks mosiężny z drewnem, a w 2002 r. trafił do Polski duży krzyż kapłański (w Kozielsku więziono też księży-kapelanów). Różańce miało 102 oficerów (sporo różańców wykonano również ręcznie w obozie), wielu – święte obrazki (głównie MB Częstochowskiej i Ostrobramskiej, w tym jeden na jedwabiu, jeden zaś w metalu koloru złotego na granatowym suknie; ponadto: Serca P. Jezusa, św. Józefa, św. Antoniego, św. Teresy i św. Andrzeja Boboli). Przy 20 oficerach znaleziono figurki Matki Bożej i świętych (św. Józefa, św. Antoniego).

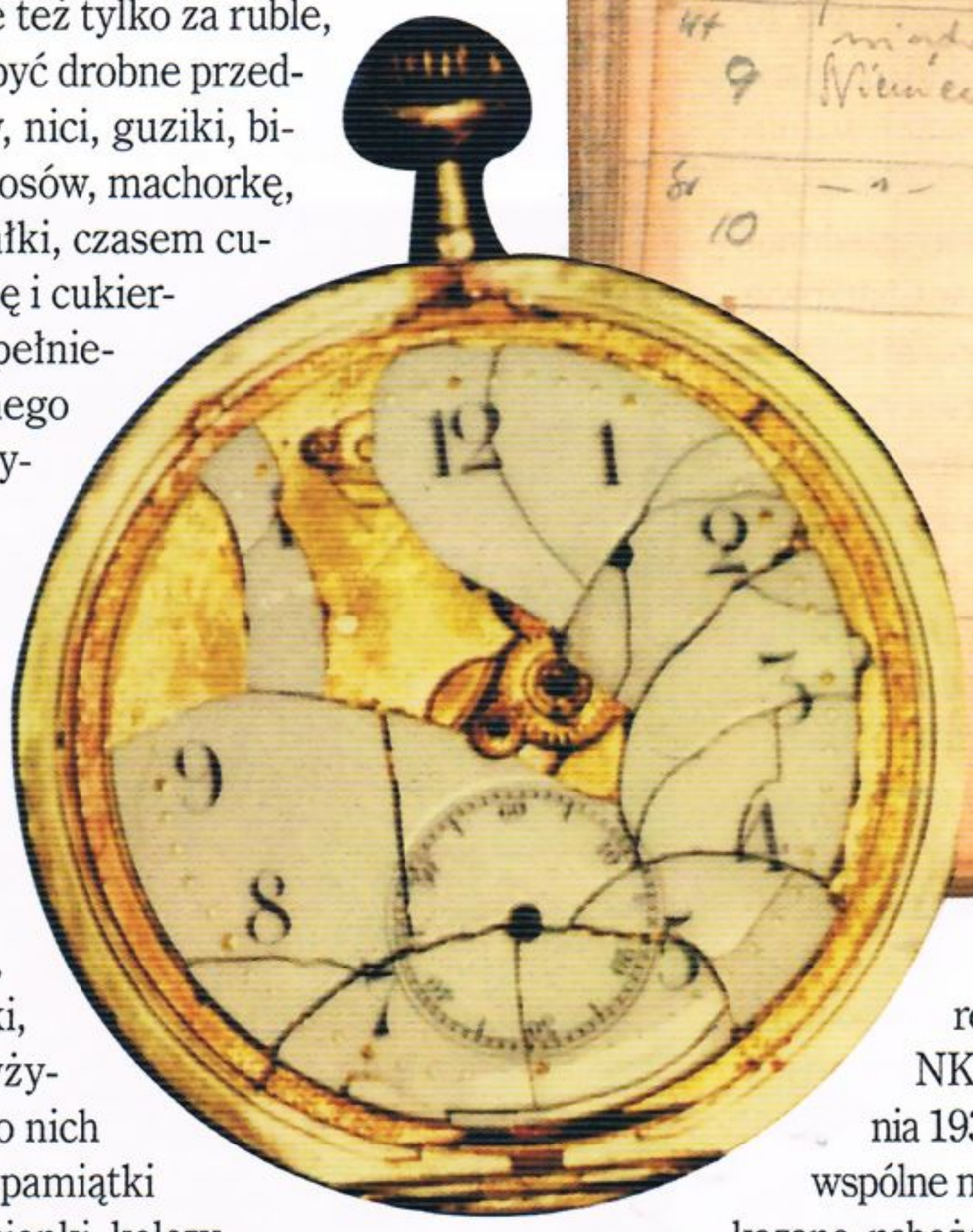

Złoty zegarek wydobyty w 1995 r. z dołu śmierci w Charkowie.

Niektórzy oficerowie mieli też szkaplerze, a 65 – ryngrafy z łańcuszkami (MB Częstochowska i Ostrobramska), w tym >>>

www.odkrywca.pl

>>> m.in. srebrne, niekiedy dość duże, z orłem i odznakami oraz wyrytymi na odwrocie napisami i dedykacjami wojskowymi, religijnymi i prywatnymi (np. „Pamiątka promocji na podporuczników Ostrów Mazowiecka 15.X.1937" lub „Pamiątka Jubileuszowa 1382-1932"). Zabieranie ze sobą dużych i ciężkich ryngrafów jest trochę zaskakujące.

44 oficerów miało książeczki do nabożeństwa, w tym „Modlitewniki żołnierza", Biblię, jeden – Stary Testament w jęz. niemieckim.

Sowieci podczas rewizji często wyszydzali i bezcześcili przedmioty kultu religijnego. Medaliki, krzyżyki i różańce były zrywane i deptane. Jeńcy chronili je i ukrywali, jak mogli (jeden np. miał medalik przyszyty do wewnętrznej strony kieszeni). Jednak niektóre znalezione podczas ekshumacji w 1943 r. różańce i łańcuszki były poprzerywane.

PAMIĄTKI, MASKOTKI

Wielu oficerów miało przy sobie rozmaitego rodzaju przedmioty – otrzymane lub wzięte – na pamiątkę i jako maskotki. Były to miniaturowe figurki słoni, świnek, a nawet sowy (1) i niedźwiadka (1), małe podkówki, medaliony w kształcie serduszka (niektóre z dedykacjami lub fotografiami), włosy w etui i w portfeliku, a nawet łapkę niedźwiadka z zabawki dziecięcej.

ZEGARKI, WIECZNE PIÓRA, SCYZORYKI

Zegarki były szczególnie łakomym towarem dla najeźdźców ze wschodu. Stąd też, aczkolwiek można przyjąć, iż posiadał je każdy polski oficer, w cytowanym zestawieniu zdobyczy Frontu Ukraińskiego odnotowano ich tylko 747 sztuk, w tym 146 złotych (pistoletów i rewolwerów wpisano 28 510 sztuk). Zegarki odbierano podczas każdej rewizji („Komisja przesłuchuje, a raczej zabiera legitymacje, notatki, złote i srebrne zegarki itp". odnotował w pamiętniku mjr Adam Solski pod datą 13 października 1939 r., a w ostatniej już notatce w Lesie Katyńskim 9 kwietnia 1940 r. zdołał zapisać: „Tu szczegółowa rewizja. Zabrano zegarek /.../ pytano mnie o obrączkę, zabrano ruble, pas główny – scyzoryk"). Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak odnotować relację por. prof. Swianiewicza, który podaje, że dowódca sowieckiej dywizji rozkazał konwojentom oddać oficerom zagrabione im po drodze zegarki. Skupywane były one też, jak podano wyżej, w obozach. Podczas ekshumacji w 1943 r. znaleziono ich przy zwłokach zaledwie 10 oficerów (ręczne oraz 2 kieszonkowe). Szkoda, że w ówczesnych warunkach nie było możliwości odnotowywania, gdzie poszczególne przedmioty ukryto (podczas prac w Charkowie w 1995 r. stwierdzono np., że zegarek ppor. rez. dr. Juliana Grunera spuszczony był w dół na przymocowanym do wewnętrznej strony kieszeni sznureczku).

Wieczne pióra, a także ołówki – zwykłe i automatyczne, posiadali zapewne także wszyscy oficerowie. W Katyniu znaleziono jednak pióra wieczne tylko przy 19 oficerach, przy 11 zaś – ołówki, w tym 5 automatycznych. Sporo jednak kawałków ołówków i kredek, jak odnotowano podczas prac w 1995 r., wrzucono w 1943 r. do jednego z opróżnionych dołów śmierci.

Scyzoryki i noże składane odbierane były z kolei jako przedmioty ostre, a więc niebezpieczne, w czasie każdej rewizji. Podczas ekshumacji w 1943 r. okazało się jednak, że zdołało je zachować 14 oficerów, wśród nich – o dziwo, prof. UJ Stefan Pieńkowski (miał scyzoryk o 3 ostrzach). Nożyczki „uratowało" 3 oficerów. Kilka znaleziono też w 1995 r.

KSIĄŻKI

Można przyjąć, iż większość oficerów, wyruszając na wojnę, zabrało ze sobą książki; niektórzy zdołali je dowieźć do

Ryngraf kpt. Jana Anasiewicza, znaleziony w 1943 r. przy jego zwłokach w Katyniu.

Medalion znaleziony w 1943 r. w Katyniu przy zwłokach por. rez. Władysława Garlickiego, prawnika.

Ryngraf znaleziony w 1995 r. w jednym z grobów w Charkowie.

fot. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, Materiały Ministerstwa Kultury

www.odkrywca.pl

REBIS

ODKRYJ PRZEJMUJĄCĄ STRONĘ HISTORII

DAGMARA DWORAK

KROMKA CHLEBA

PORUSZAJĄCE WSPOMNIENIA Z SYBERYJSKIEGO ZESŁANIA

PODRÓŻ PO 70 LATACH NA MIEJSCE ZSYŁKI

Poruszające wspomnienia z syberyjskiego zesłania. Podróż po 70 latach na miejsce zsyłki

Piotr Świątkowski

POLAKOM I PSOM WSTĘP WZBRONIONY

NIEMIECKA OKUPACJA W KRAJU WARTY

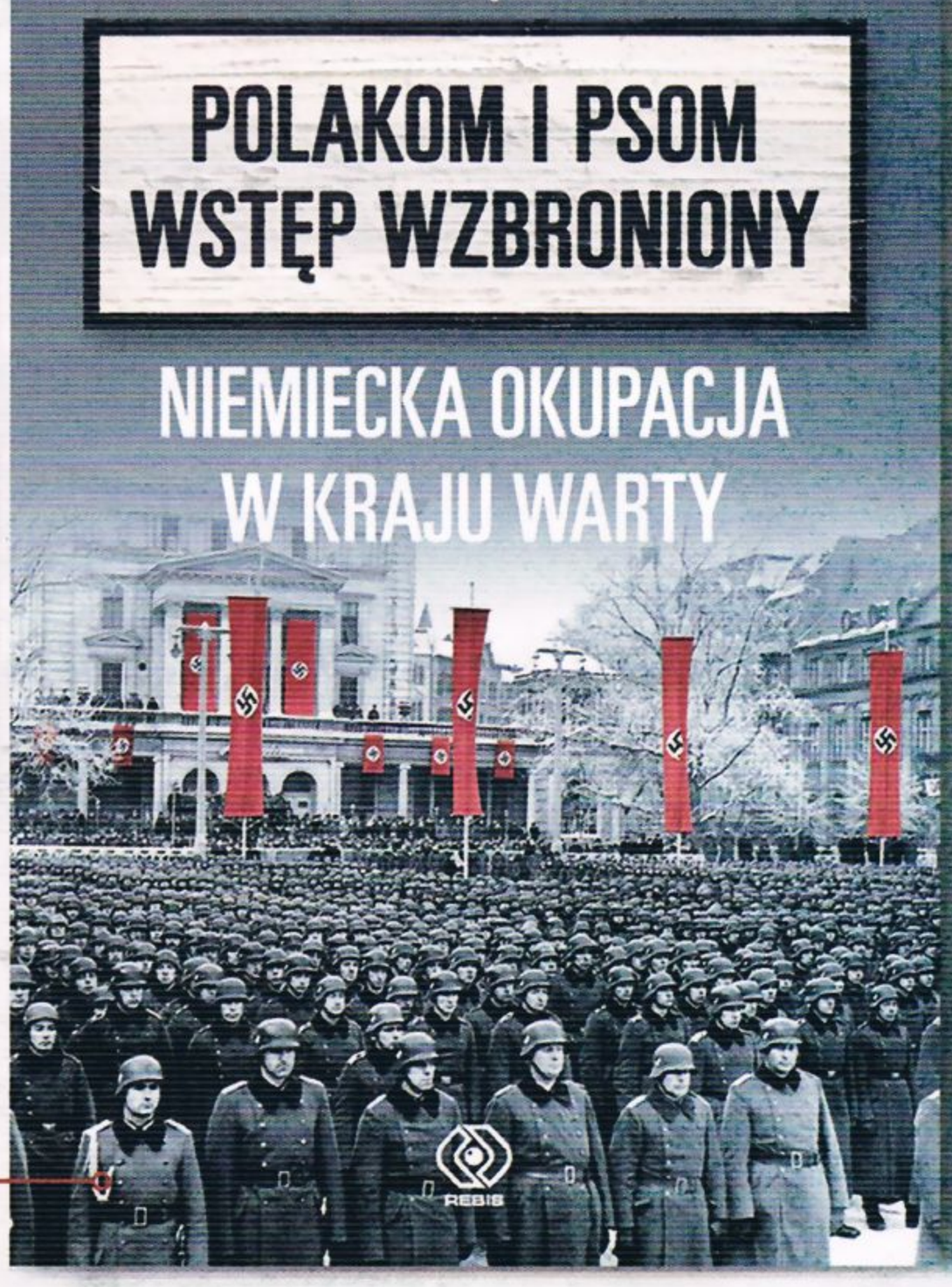

Historia Kraju Warty opisana bez sentymentów, w piekielnie mocny sposób

DO NABYCIA W SALONACH

empik

www.rebis.com.pl /DWREBIS

TOM I JUŻ W KSIĘGARNIACH!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI

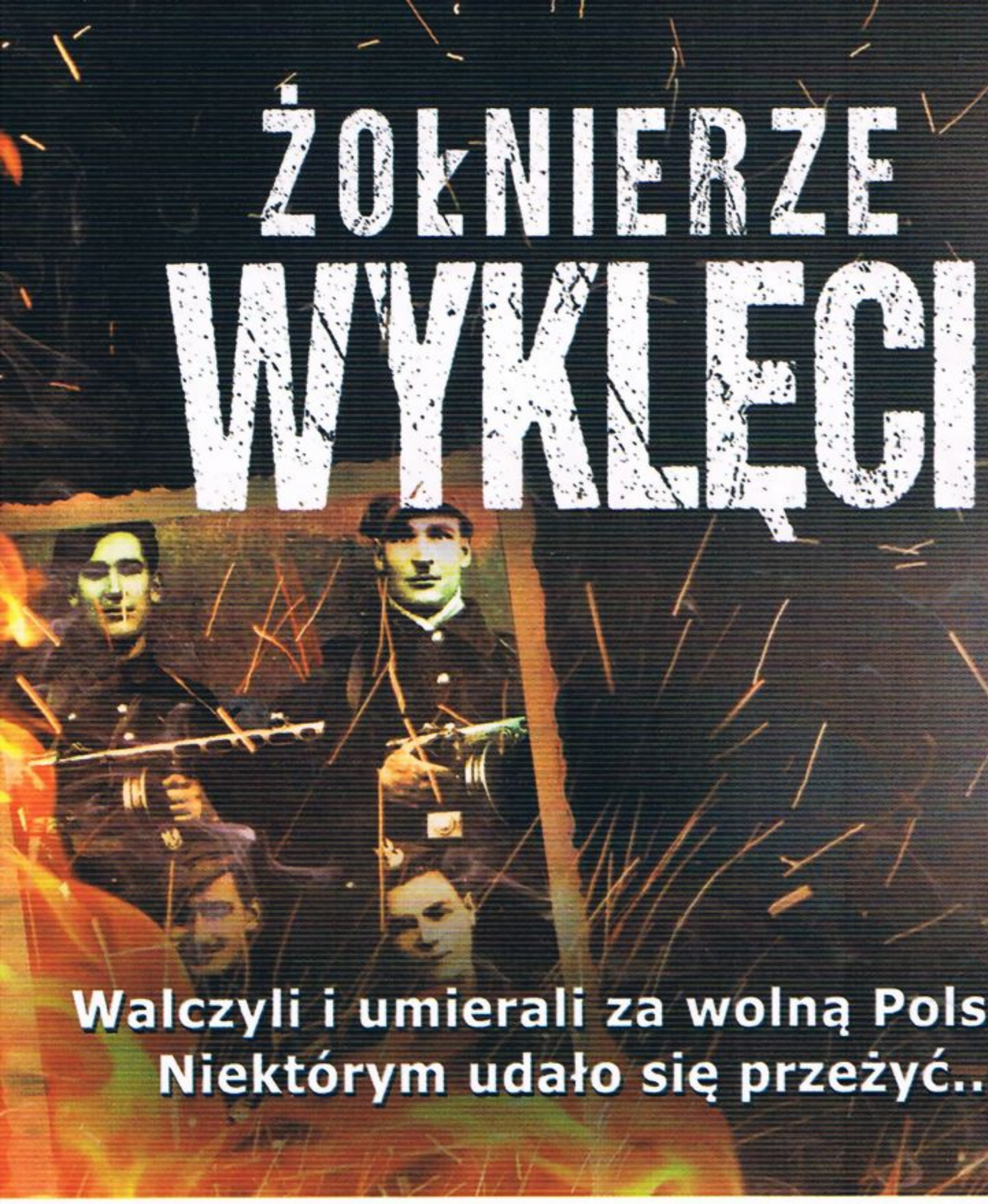

Walczyli i umierali za wolną Polskę.
Niektórym udało się przeżyć...

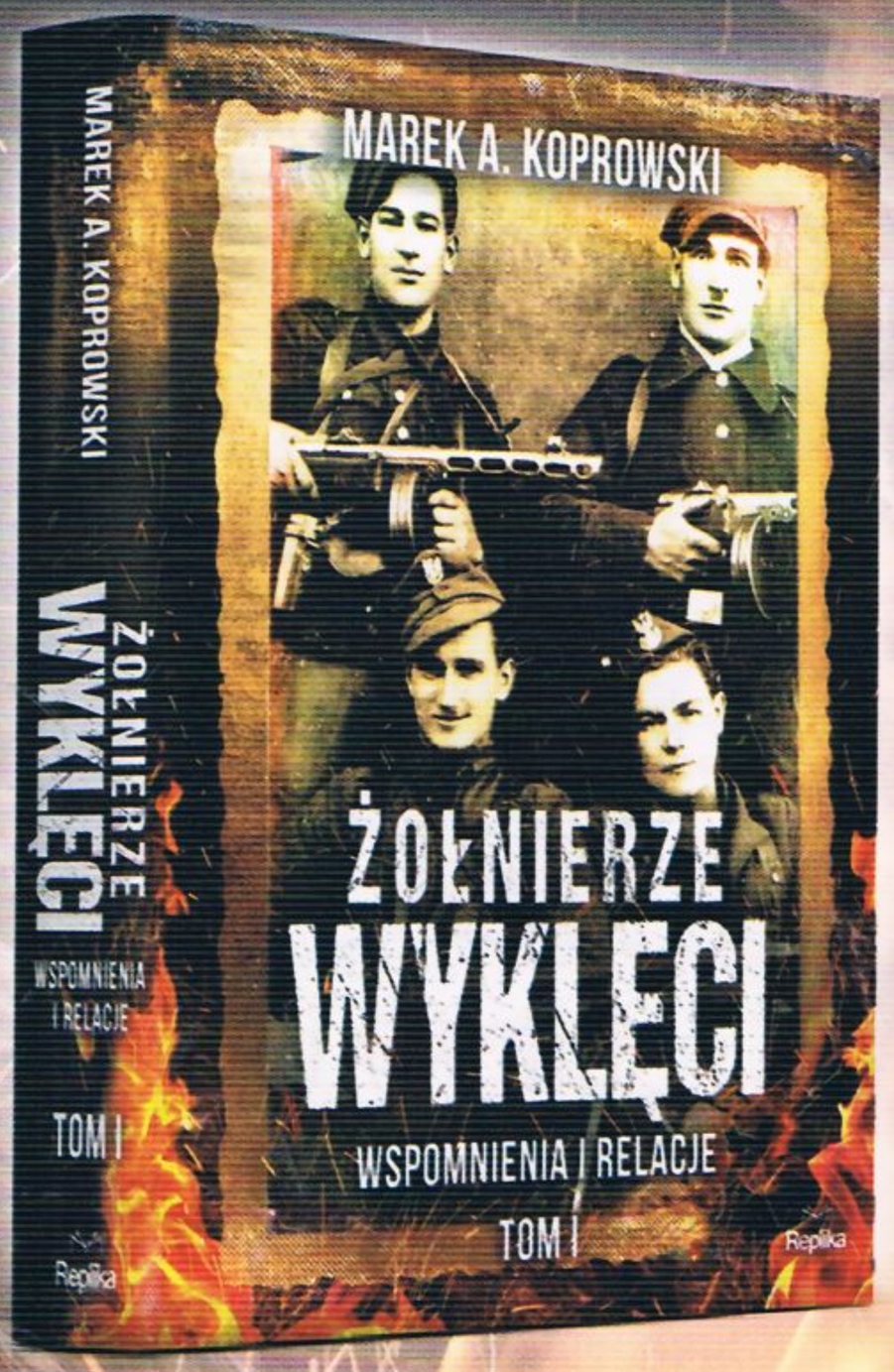

HISTORIA do Rzeczy · NIEZŁOMNI.COM · wMeritum.pl
wSIECI HISTORII · UWAŻAM HISTORIA · MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

Wydawnictwo Replika
tel. 61 868 25 37

Replika
www.replika.e

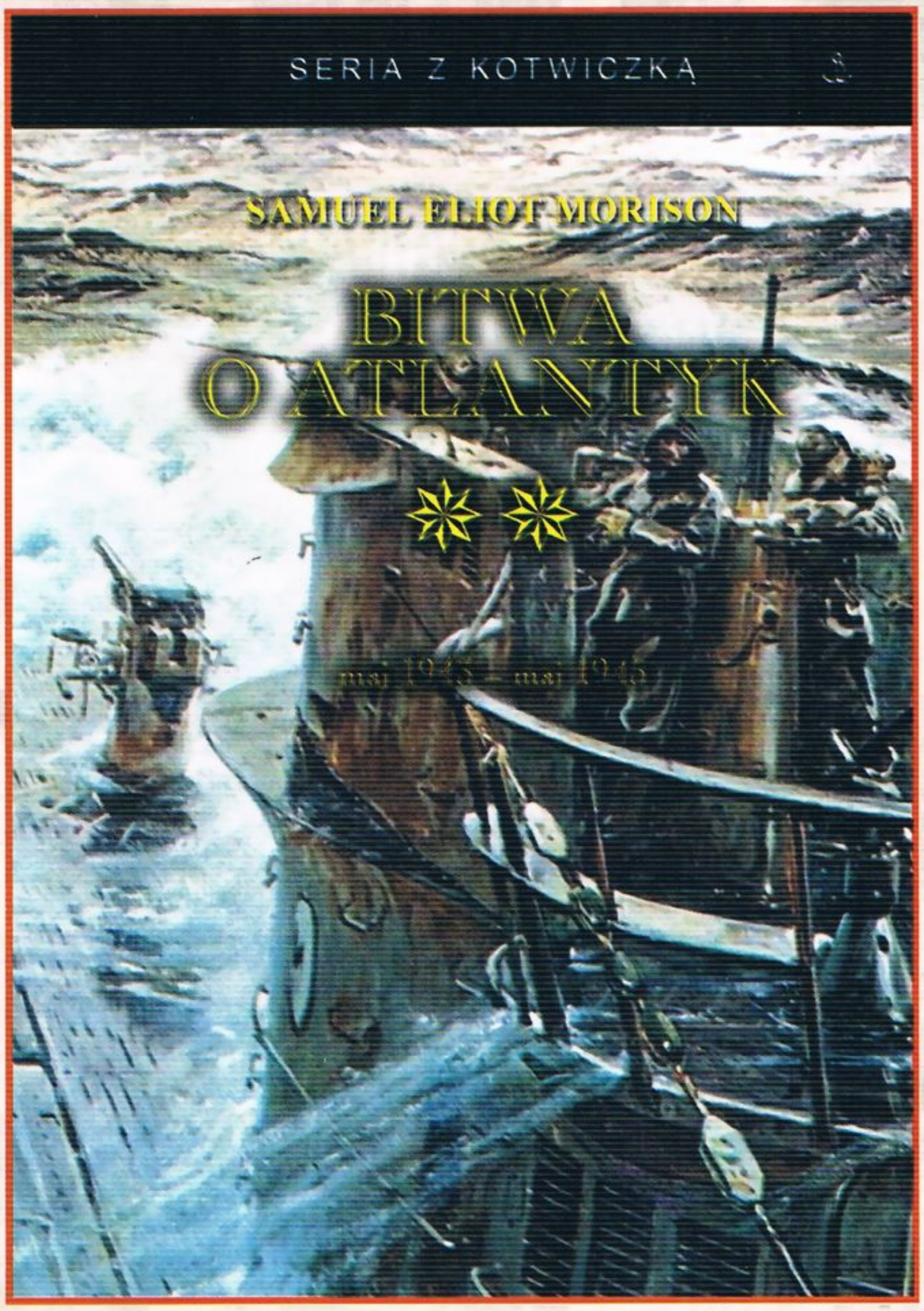

SAMUEL ELIOT MORISON
BITWA O ATLANTYK 2
ZWYCIĘSTWO NA ATLANTYKU

Fascynująca opowieść o drugiej części Bitwy o Atlantyk, czyli o stopniowej klęsce U-bootów, od maja 1943 do maja 1945 roku.

To opowieść o wyścigu technologicznym, który stwarzał przewagę to jednej to drugiej strony w różnych fazach bitwy, ale także o zmiennej taktyce stosowanej przez obie strony. A wszystko to przewija się w opisach bitew U-bootów z konwojami i polowań na U-booty przez specjalnie stworzone do tego grupy okrętów. Autor przedstawia szczegółowo najciekawsze wydarzenia tej najdłuższej w historii drugiej wojny światowej bitwy, która toczyła się ze zmiennym szczęściem od początku wojny do jej końca.

ODKRYWCA
SKARBY · WOJNA · HISTORIA

II WOJNA ŚWIATOWA

MILITARIA

obozów specjalnych. Okazały się one wybawieniem podczas długich miesięcy uciążliwej niewoli. W Kozielsku oficerowie zorganizowali własną, potajemną „bibliotekę", wypożyczając między sobą posiadane egzemplarze. Mówi o tym sowiecki meldunek ze stycznia 1940 r., stwierdzając zarazem, iż trudno jest ją zlikwidować, gdyż wszystkie książki znajdują się w obiegu. Ocalały jeniec Starobielska, rtm. Czapski pisze („Wspomnienia starobielskie"): „Wieczory spędzano w większości baraków przeważnie w półmroku, oświetlonym przez rzadkie, fatalnie świecące lampki elektryczne, które się coraz to psuły. Z czytaniem było bardzo trudno. Pamiętam lekturę książki Balzaka »Kobieta trzydziestoletnia« w tłumaczeniu Boya. Książka była cała rozdarta na oddzielne strony. Wypożyczano ją nam na bardzo krótko, czytaliśmy ją w pięciu naraz, każdy z nas poganiał drugiego, by szybciej dostać stronę następną". A ppor. Seweryn Ehrlich, lekarz, też jeniec Starobielska, wspomina: „Od jedenastej w nocy do siódmej rano można książkę mieć za dobre słowo. Wyciąga się człowiek na pryczy w odwrotnym kierunku, wsuwa głowę pod komin żarówki i czyta. O panu Wołodyjowskim i szturmie Zbaraża. O „Bractwie Białego Lamparta" [Jerzego Marlicza]. O przygodach generała Lassalle'a [autor Marcel Dupont]. O pachnących jak kwiat kobietach./.../ Pod akompaniament wichru i chrapania płyną godziny. Najlepsze i najmilsze godziny." („Szary Starobielsk"). Jakie książki zabrali oficerowie na wojnę? Z pamiętników katyńskich i z relacji ocalałych wynotowałam około 60 autorów i około 100 tytułów. Przeważali klasycy literatury polskiej – Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Kraszewski, Reymont, Orkan, także T. T. Jeż, Strug, Kaden-Bandrowski, Gustaw Morcinek, Wacław Sieroszewski, Dołęga-Mostowicz, Hanna Malewska. Z poetów oczywiście Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Sporo też było książek autorów obcych, głównie w przekładzie, ale i w oryginale (Hugo, Balzak, Conrad, Hamsun, London, a nawet Dante), i też sensacyjne oraz przygodowe (np. „Robinson Crusoe" Daniela Defoe), no i oczywiście „Przygody dobrego wojaka Szwejka". Były i dzieła poważne: „Pisma" Piłsudskiego, „Dramat Etiopii" Henri de Montfreida, „Historia starożytna" Adama Szelągowskiego, „Wojna polska 1918-1921" Adama Przybylskiego, „Czy wszechświat się rozszerza" Eddingtona, „Studia historyczne" Majera Bałabana, czy „Pochodzenie religii i wiary w Boga" Henryka Cunowa. Były powieści historyczne (Bronisława Zielińskiego, Alfreda Rambauda, Pierre Benoit oraz inne), i kryminały (np. „Kapitan Irena" Adama Nasielskiego i oczywiście Conan Doyle). 3 oficerów wzięło słowniki niemiecko-rosyjskie [!], 1 – polsko-francuski. Krążyły też przekłady z literatury rosyjskiej (Tołstoj, Puszkin, Majakowski, Czechow, Szołochow).

PRZEDMIOTY CODZIENNEGO UŻYTKU

Pomijając przedmioty higieny osobistej oraz należące do wyposażenia wojskowego (menażki i manierki, niezbędniki), podczas prac w Lesie Katyńskim w 1995 r. w jednym z opróżnionych w 1943 r. dołów śmierci odnaleziono skupisko rzeczy, w którym znajdowały się m.in. łyżeczki do herbaty, kubki blaszane, fragmenty naczyń szklanych, miski, misy, talerze i nawet garnki.

RÓŻNE

Z innych jeszcze przedmiotów, posiadanych przez oficerów wrześniowych należy wymienić lekarstwa (podczas ekshumacji znajdywano buteleczki), 7 miało klisze fotograficzne, 2 – nuty, 8 – klucze (jedne – z plakietką znanej przed wojną restauracji hotelu Savoy w Katowicach). Jeden z oficerów miał przy sobie rachunek na 10 zł (obecnie około 200) z 30 sierpnia 1939 r. na zakup wiązanki róż.

Srebrna papierośnica płk. Kazimierza Żelisławskiego z dedykacją i podpisami czterech płk. z Krakowskiej Brygady Kawalerii, znaleziona w 1943 r. przy jego zwłokach w Katyniu.

Wielu oficerów wzięło wizytówki służbowe lub prywatne, notesy, kalendarzyki.

I – niemal wszyscy – mieli przy sobie fotografie najbliższych. Część z dedykacjami. Por. rez. Jerzemu Getlingowi z Warszawy żona wpisała: „Kocham Cię Mężula, pamiętaj o tym. Pamiętaj, że zawsze i wszędzie jestem i będę z Tobą – 24 VIII 39". Getling, prawnik, był też początkującym pisarzem i poetą. Jedna ze strofek jego, opublikowanego w 1930 r. wiersza „Smutek", brzmi (za: „Pro Memoria", WPH nr 1/1992):

„Potem ktoś oczy mi zakrył
potem ktoś światła pogasił
młody ja jestem czy stary –
ciemnością ktoś mnie
przestraszył."

Por. Getling w styczniu 1940 r. ukończył 31 lat. <

Jolanta Adamska
Historyk. Wieloletnia współpracownica sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika (zginął w katastrofie smoleńskiej). Wspólnie napisali kilka książek o tematyce katyńskiej.

www.odkrywca.pl

SCHRONY ARMAT PPANC. KRIEGSMARINE W TWIERDZY GDYNIA 1944

KAMIL SARAPUK

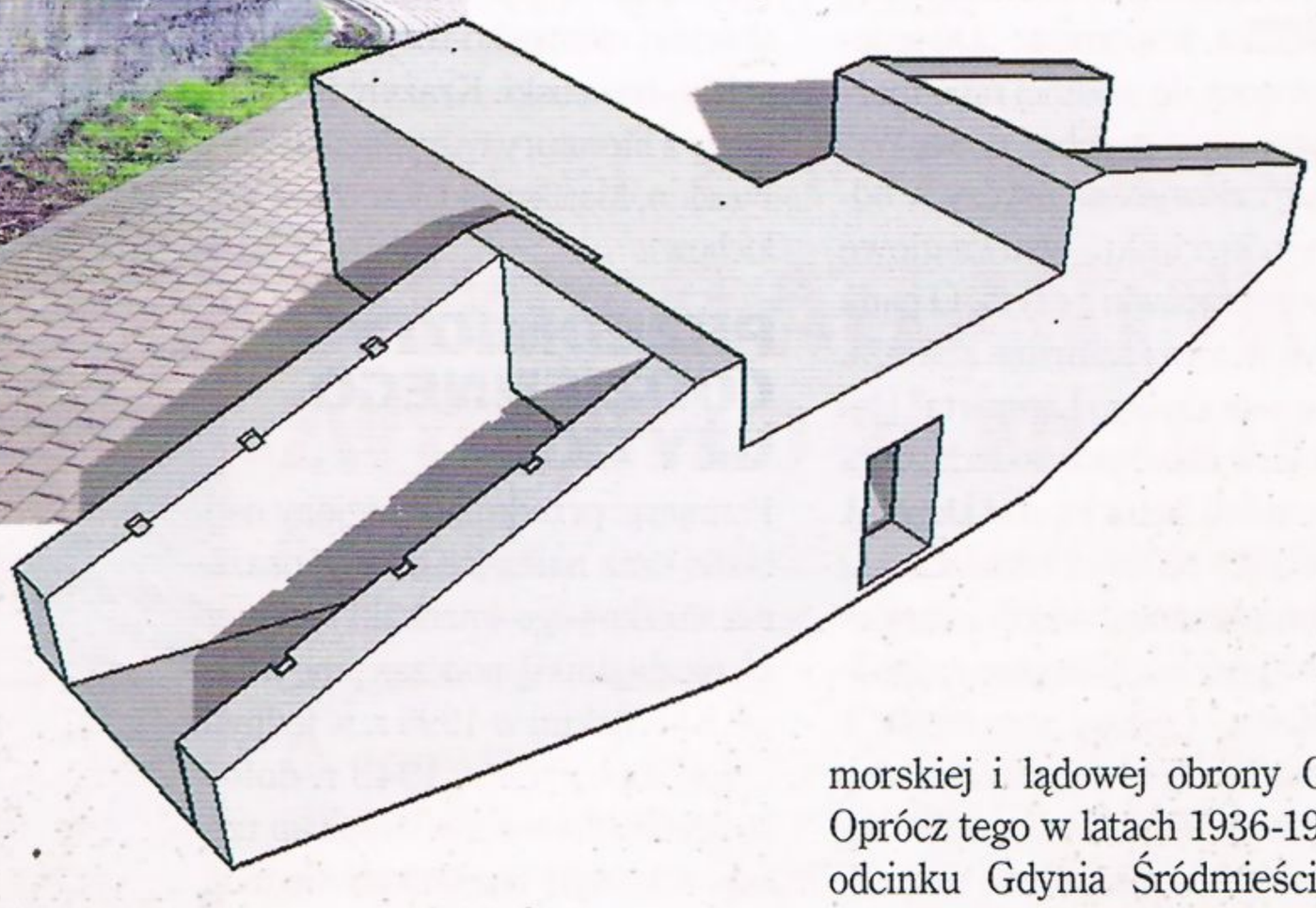

Obiekty powstały według indywidualnego projektu. Dotychczas nie odnaleziono innych schronów o identycznej budowie poza Festung Gotenhafen.

W 1920 roku w ramach postanowień Traktatu Wersalskiego, nowo odradzające się państwo polskie otrzymało dostęp do liczącego ok. 144 km skrawka wybrzeża Morza Bałtyckiego. Niestety, obszar ten pozbawiony był pełnowartościowego i dużego portu, gdyż Gdańsk został ustanowiony Wolnym Miastem. We wrześniu 1922 roku podjęto decyzję o budowie portu w Gdyni, który miał się stać główną bazą Polskiej Marynarki Wojennej. W efekcie tej decyzji Gdynia stała się ważnym punktem strategicznym na mapie II Rzeczypospolitej i dlatego w marcu 1923 roku utworzono Szefostwo Fortyfikacji Obszaru Warownego Gdynia oraz opracowano plan fortyfikacji, opierający się na założeniach „twierdzy pierścieniowej". Plan ten istniał tylko na papierze i nigdy nie został zrealizowany. Do wybuchu wojny zdołano wybudować jedynie jedną baterię nadbrzeżną (2 x 100 mm) oraz cztery baterie przeciwlotnicze (2 x 75 mm), które stanowiły trzon morskiej i lądowej obrony Gdyni. Oprócz tego w latach 1936-1939 na odcinku Gdynia Śródmieście-Kolibki wybudowano 4 zapory przeciwpancerne.

Obecny wygląd schronu przeciwlotniczego przy ul. Redłowskiej oraz jego wizualizacja 3D.

Po przejęciu Gdyni przez niemieckiego okupanta miasto było stopniowo fortyfikowane. Kriegsmarine przejęło praktycznie cały port, pozostawiając jedynie niewielką część dla potrzeb cywilnych. Na terenach przylegających do portu znajdowała się również stocznia Deutsche Werke Kiel AG Werk Gotenhafen oraz system obozów pracy przymusowej. W latach 40-44 zbudowano dwa pier-

www.odkrywca.pl

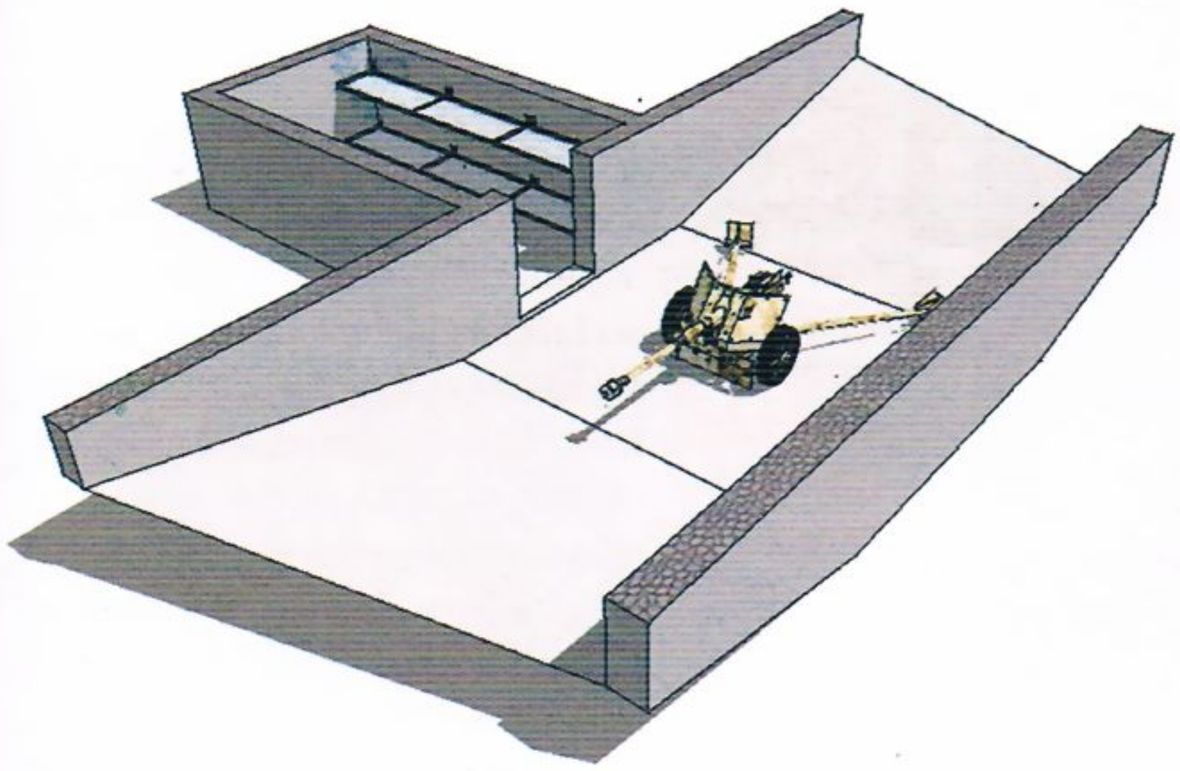

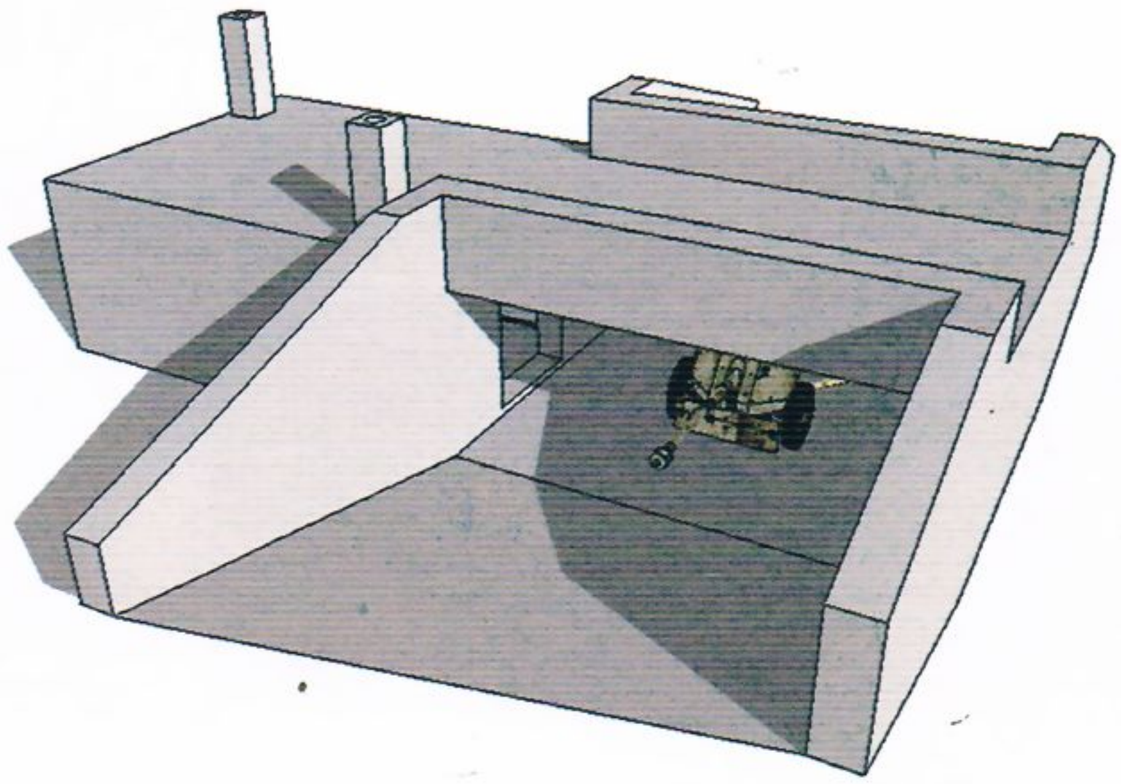

Wizualizacje fotograficzne: Kamil Sarapuk

ścienie ponad 20 baterii przeciwlotniczych uzbrojonych w działa SKC/32 kal. 105 mm, Flak 40M kal. 128 mm oraz Flakzwilling 40M kal. 128 mm. Doraźnie budowano również baterie innych typów dział. Zadbano również o bierną obronę przeciwlotniczą. W sumie na terenie Gdyni wybudowano kilkaset schronów, począwszy od ogromnych schronów tunelowych, których łączną długość korytarzy wynosiła ponad 2 km, poprzez ciężkie naziemne schrony typu T-750, kończąc na drewnianych szczelinach przeciwlotniczych.

Tak ważny punkt na mapie ówczesnej III Rzeszy Niemieckiej nie miał obrony lądowej, dlatego też pod koniec 1944 r. w obawie przed zbliżającą się sowiecką ofensywą rozpoczęto budowanie fortyfikacji, w tym organizowanie silnej obrony przeciwpancernej. Twierdza Gdynia stanowiła północną flankę pozycji b (b-Stellung), należącej do systemu obronnego znanego pod nazwą OKH-Stellung, który swoim obszarem obejmował tereny na głębokim zapleczu frontu wschodniego. Największe natężenie prac obronnych przypadło na obszar obecnej Polski. Przygotowanie miasta Gdyni do roli twierdzy polegało na wybudowaniu systemu linii obronnych. Składały się one z okopów i rowów przeciwczołgowych, które w założeniach obronnych miały być wspierane ogniem wcześniej wspomnianych baterii Marine Flak. Omawiane w artykule schrony stanowiły część systemu fortyfikacji polowych Kriegsmarine, służących obronie przeciwpancernej Gdyni.

Redłowo

Militarny potencjał Redłowa (od 1935 roku w granicach Gdyni) po raz pierwszy został dostrzeżony pod koniec 1932 roku, gdy zdecydowano zlokalizować tutaj jedną z czterech baterii przeciwlotniczych, która miała bronić Gdyni przed potencjalnymi atakami wrogiego lotnictwa. Do 1933 r. wybudowano 2 betonowe stanowiska ogniowe dla dział oraz przejęto folwark Redłowo w celu zakwaterowania załogi baterii. Bateria ta była uzbrojona w dwie francuskie armaty Schneider wz. 22/24 kal. 75 mm i podlegała pod 1 Morski Dywizjon Art. Plot. jako 2. Bateria.

W 1938 roku wybudowano nowy kompleks koszarowy ze stołówką i schronem przeciwlotniczym (obecnie szpital), gdzie zakwaterowany został 2. Morski Pułk Strzelców, który w założeniach Lądowej Obrony Wybrzeża miał bronić Gdyni od strony południowej granicy z Wolnym Miastem Gdańsk. Tutaj również wzniesiono jedną z wcześniej wspomnianych zapór przeciwpancernych, która posiadała formę otworów w szosie – przed natarciem wroga umieszczano w nich zużyte szyny kolejowe, mające uniemożliwić przejazd szosą. W trakcie pokoju otwory te zamykane były betonowymi pokrywami.

W latach okupacji na terenie Redłowa zaadaptowano budynki zajezdni autobusowej na montownię i warsztaty naprawcze Kurta Kannenberga samolotów Focke-Wulf, będące częstym celem alianckich nalotów i ważnym punktem strategicznym. W latach 1943-1944 na miejscu dawnej polskiej baterii przeciwlotniczej wzniesiono nową baterię uzbrojoną w cztery niemieckie armaty przeciwlotnicze SKC/32 kal. 105 mm. W końcowym okresie okupacji Gdyni bateria ta podlegała pod 219. Marine Flak Abteilung jako 2. Bateria.

Schron przy ul. Olimpijskiej – wizualizacja 3D.

W 2. połowie 1944 roku na terenie zakładu Kurta Kannenberga i przy dzisiejszej ul. Redłowskiej wzniesiono sześć schronów przeciwlotniczych, a w sąsiedztwie głównej szosy (dzisiejsza al. Zwycięstwa) oraz przy dzisiejszej ul. Olimpijskiej wybudowano 3 schrony – garaże dla armat przeciwpancernych, które są głównym tematem artykułu.

Dotychczasowy stan wiedzy

We wrześniowym numerze Odkrywcy z 2011 roku. ukazał się artykuł autorstwa Marcina Dudka pt. „Schrony żelbetowe Lądowej Obrony Wybrzeża z 1939 r.", informujący o tym, że na terenie Redłowa znajdowały się 2 schrony dla armat polowych kal. 76,2 mm oraz 1 schron dla armaty przeciwpancernej Bofors wz. 36 kal. 37 mm. Według Autora wszystkie 3 obiekty miały być wybudowane w 1939 roku tuż przed wybuchem wojny i nieznacznie różniły się konstrukcyjnie. Teoria ta przyjęła się wśród grona znawców i badaczy tematu i przez długi czas była powtarzana. Stosunkowo niedawno pozyskano nowe materiały, przedstawiające ów temat w innym świetle. W trakcie pisania omawianego artykułu znany był jedynie jeden z dwóch schronów usytuowanych przy >>>

www.odkrywca.pl

Obecny wygląd schronu przy ul. Olimpijskiej, niestety autor nie zdołał sfotografować obiektu przed jego „rozbudową".

>>> al. Zwycięstwa, ponadto źle poznano jego konstrukcję. Uważano, że posiadał on węższą przelotnię niż rzekomy drugi schron dla armaty polowej 76,2 mm przy ul. Olimpijskiej, co nie zgadza się z niedawno odnalezionymi dokumentami. Dzięki zachowanym powojennym inwentaryzacjom obiektów na terenie Gdyni sporządzonych przez Szefostwo Inżynierii MW wiadomo, że oba obiekty (przy ul. Olimpijskiej oraz al. Zwycięstwa) oraz trzeci nieznany wtedy Autorowi schron (drugi obiekt przy al. Zwycięstwa) posiadały identyczne wymiary. Wszystkie trzy obiekty były w rzeczywistości wybudowane nie w 1939 roku, lecz w drugiej połowie 1944 roku, czego dowodzą dwa zdjęcia lotnicze wykonane przez aliancki wywiad w trakcie nalotów rozpoznawczych. Na pierwszym, pochodzącym z 1943 roku, widać puste pole w miejscu lokalizacji schronów przy al. Zwycięstwa. Drugie pochodzi z sierpnia 1944 r., są na nim widoczne dwa schrony w zaawansowanej fazie budowy. Kolejnym argumentem, potwierdzającym tę teorię, jest grubość ścian schronów, która wynosi 40 cm, co odpowiada standardom niemieckiej fortyfikacji polowej wzmocnionej. Dla porównania większość polskich żelbetowych schronów fortyfikacji polowej posiadało ściany grubości 100 cm.

Ponadto Autor omawianego artykułu, na podstawie oględzin zewnętrznej części schronu (wnętrze obiektu jest niedostępne), przypisał podobną funkcję schronowi zlokalizowanemu przy ul. Redłowskiej (kwalifikując go błędnie jako schron dla armaty ppanc. 37 mm), choć wystająca część obiektu z zewnątrz wygląda niemalże identycznie jak pozostałe obiekty. Na podstawie późniejszego zbadania wnętrza można z cała pewnością zaliczyć obiekt do schronów przeciwlotniczych.

Jedyny polski polowy żelbetowy schron bojowy dla armaty ppanc. 37 mm zachował się w miejscowości Lubliniec, lecz konstrukcyjnie nie ma nic wspólnego z gdyńskim obiektem. Skądinąd stosunkowo niedawno okazało się że ok. 100 m na wschód od omawianego obiektu znajduje się drugi, najprawdopodobniej o podobnej konstrukcji obiekt, (nie można tego stwierdzić z całkowitą pewnością, ponieważ obiekt jest w 99% zasypany), którego lokalizacja kompletnie nie pasuje do założeń obrony przeciwpancernej Gdyni.

Lokalizacja i opis konstrukcji

Dwa z trzech omawianych schronów były bardzo korzystnie położone przy głównej szosie łączącej Gdynię z Gdańskiem (obecnie al. Zwycięstwa). Ustawione tam działa przeciwpancerne znakomicie uzupełniały linie rowów przeciwpancernych, skutecznie blokując możliwość zdobycia „twierdzy" od strony południowej. Oba schrony zostały zbudowane tarasowo na stoku wzniesienia (tj. jeden nad drugim), co dawało przewagę nad pozycjami przeciwnika, które położone były niżej względem schronów. Trzeci schron ustawiony przy obecnej ul. Olimpijskiej pełnił funkcje pomocnicze względem dwóch pozostałych obiektów. Zadaniem działa garażowanego w nim było uzupełnienie martwego sektora ostrzału wspomnianych wcześniej schronów, który ze względu na położenie w zurbanizowanym obszarze był stosunkowo duży. W centralnej części sektora ostrzału tego schronu znajdował się drugi ważny trakt komunikacyjny – tory kolei normalnotorowej, których potencjalny wróg mógł użyć w celu ataku z użyciem pociągów pancernych.

Schrony posiadają uniwersalną konstrukcję, mogącą pomieścić właściwie każdą armatę przeciwpancerną, która w tamtym czasie znajdowała się na uzbrojeniu III Rzeszy, lecz wszystko wskazuje, że uzbrojenie

wizualizacje i fotografie: Kamil Sarapuk

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

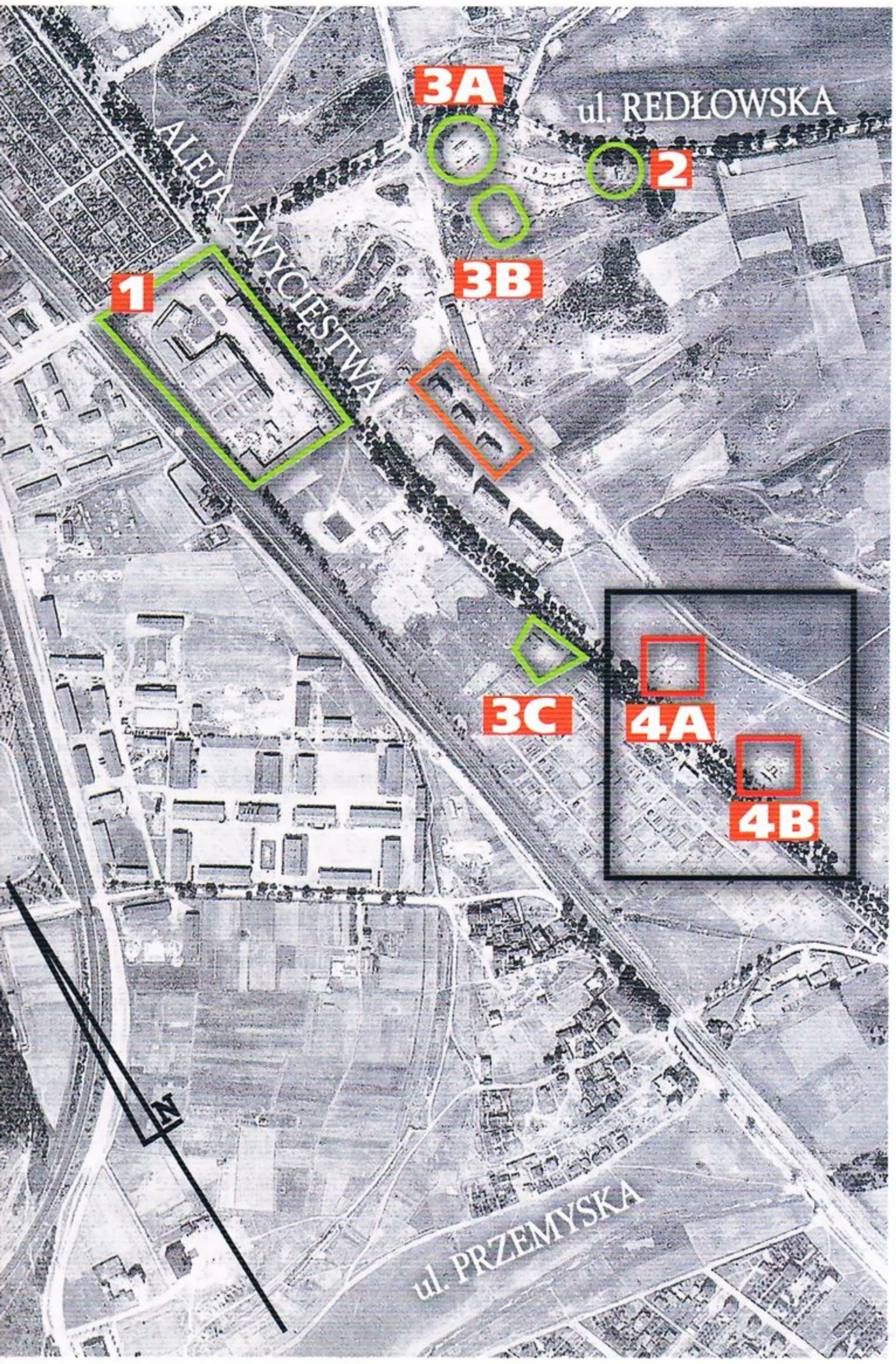

A PAŹDZIERNIK 1943 r.

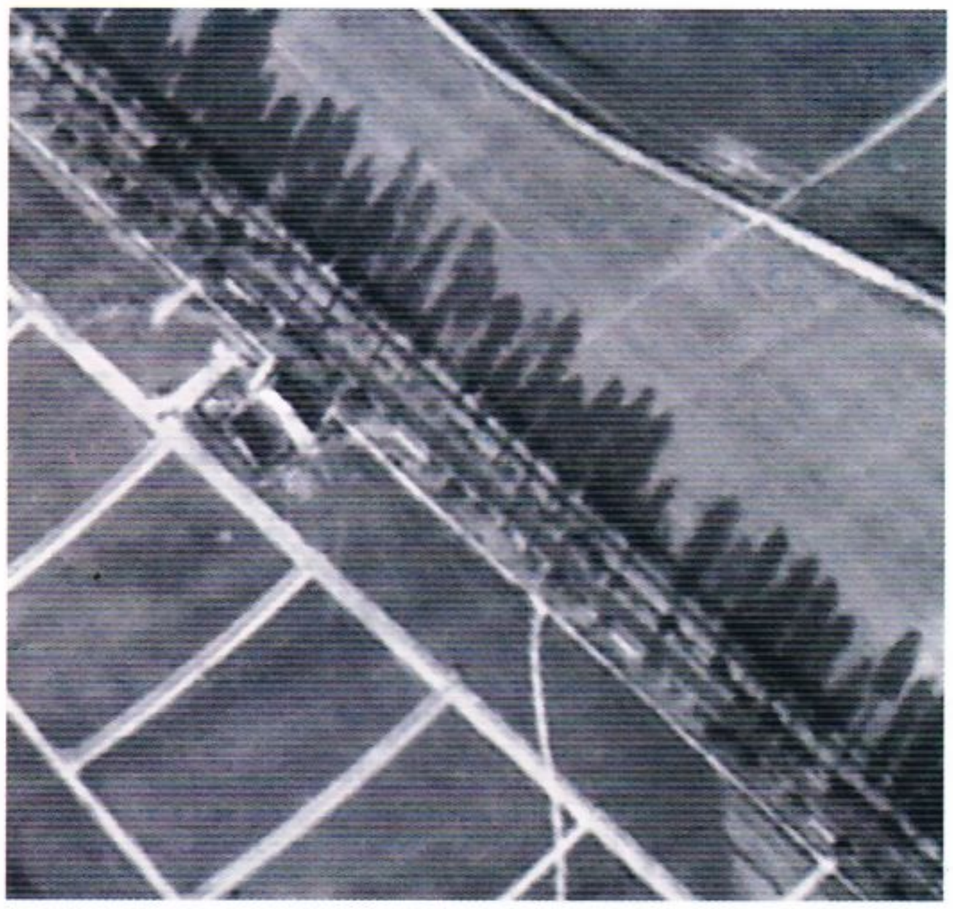

B SIERPIEŃ 1944 r.

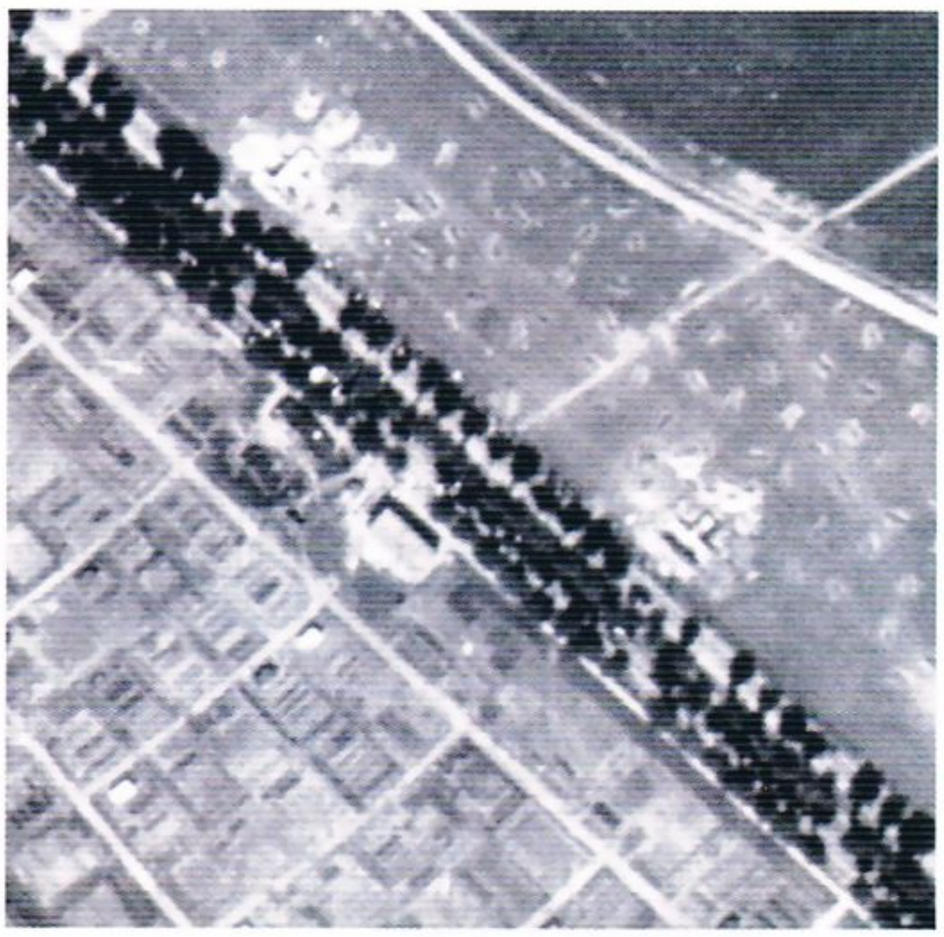

stanowiły działa PAK 40 kal. 75 mm. Teoretyczna donośność armat pozwalała strzelać do wrogich pojazdów na odległość 1 800 m (ogień bezpośredni). Taki zasięg pozwalał na ostrzeliwanie wrogich pojazdów znajdujących się nawet na granicy z Sopotem. Konstrukcja schronów nie jest przystosowana do prowadzenia ognia, obiekty pełniły jedynie funkcje garażu. Działa wytaczane były na stanowiska ogniowe, które prawdopodobnie znajdowały się tuż przed każdym ze schronem.

Co najbardziej niezwykłe to fakt, że w przypadku omawianych obiektów nie mamy do czynienia z obiektem znanym z jakichkolwiek katalogów, lecz wybudowanym według indywidualnego projektu Kriegsmarine. Został on wykonany na potrzeby Festung Gotenhafen i dotychczas nie odnaleziono innych schronów o analogicznej budowie poza Gdynią. Można założyć, że nigdzie indziej nie wybudowano tego typu obiektów. Schron posiadał żelbetową konstrukcję składającą z dwóch pomieszczeń: dla działa oraz dla obsługi (działonu). Główną część obiektu stanowiła przelotnia – pomieszczenie dla działa o szerokości 6 m, osłonięta z dwóch stron murkiem oporowym o grubościach: zewnętrzny 50 cm, wewnętrzny 40 cm, kryta stropem o grubości 42 cm. >>>

Fotografia lotnicza wykonana w trakcie alianckiego nalotu rozpoznawczego w sierpniu 1944 r.:
1. montownia Focke-Wulfa,
2. schron przy ul. Redłowskej,
3. a), b), c). schrony przeciwlotnicze w budowie,
4. a), b) schrony-garaże dla armat przeciwpancernych w budowie.

Na pomarańczowo zaznaczono przedwojenne osiedle oficerskie MW.
Powiększenia zaznaczonego fragmentu fotografii lotniczej:
A – stan terenu w 1943 r. – schronów nie ma,
B – stan terenu w 1944 r. - schrony w trakcie budowy.

www.odkrywca.pl

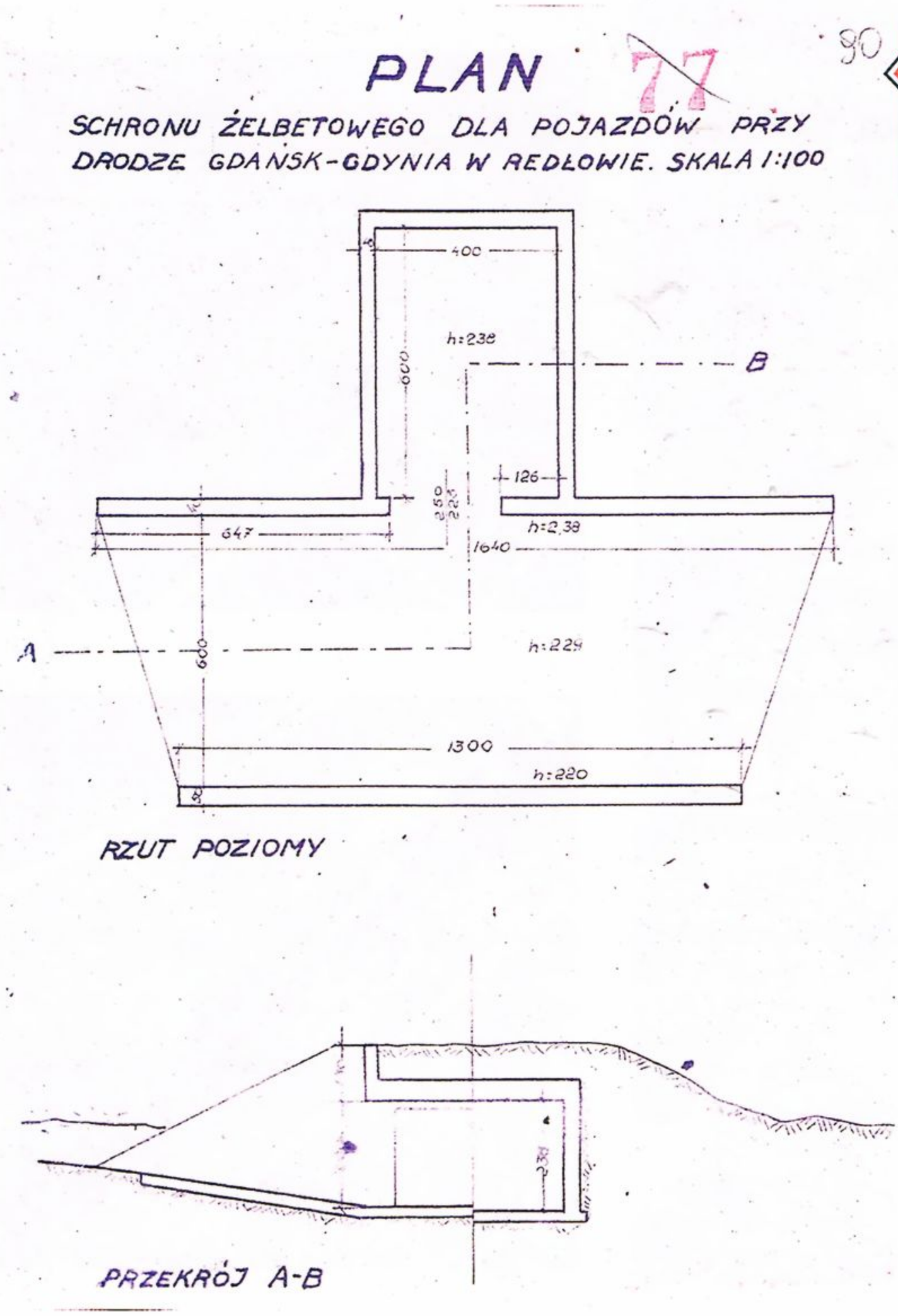

Plan schronu-garażu wykreślony na podstawie inwentaryzacji wszystkich 3 obiektów wykonanej przez Szefostwo Inżynierii MW (AMW sygn. 4337/03/109 k.13)

>>> Od strony zapola i przedpola w przelotni znajdowały się dwie pochylnie, po których w zależności od potrzeby wtaczano lub wytaczano armaty. Drugie pomieszczenie posiadało wymiary 6x4 m i przewidziane było na izbę załogi, wnętrze mieściło 6-9 prycz dla obsługi działa oraz piec. Grubość ścian pomieszczenia wynosiła 40 cm, stropu 40 cm, a wysokość od podłogi do stropu 240 cm. Schrony posiadały również ogrzewanie oraz wentylację, na stropie wybudowane były dwa kominki, które stanowiły element tych instalacji. Obiekty obsypywano ziemią, pozostawiając widoczne tylko oba wjazdy i tworząc tym samym swego rodzaju „sztuczne wzgórze" – tak świetnie zamaskowane obiekty były trudne do wykrycia i rozpoznania przez wroga.

Udział w walkach o Gdynię 1945

Niestety, nie są znane żadne dokumenty mówiące o użyciu omawianych schronów w czasie walk. Na szczęście zachowały się niezwykle cenne relacje świadków, w tym przypadku wydane w formie książkowej, które pozwalają w małej części przybliżyć działania 3 armat ppanc. usytuowanych w rejonie Redłowa.

25 marca 1945 roku działo schronu zlokalizowanego przy obecnej al. Zwycięstwa uszkodziło czołg T-34 jednego z plutonów 1. Brygady Pancernej dowodzonego przez por. Juliana Miazgę, zmuszając dwa kolejne pozostałe do odwrotu. W książce pt. „Pomorze – reportaż z pola walki" Z. Flisowski, opisując powyżej przytoczone wydarzenie, nazywa obiekt słowami „przylepiony do ziemi betonowy bunkier", co doskonale oddaje wygląd jego konstrukcji. 26 marca 1945 r. ten sam pluton 3 czołgów T-34 1. Brygady Pancernej dotarł do opuszczonego i pustego już schronu przy ul. Olimpijskiej, wewnątrz znalezione zostały zwłoki niemieckiego żołnierza.

wizualizacje i fotografie: Kamil Sarapuk

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl
POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA
JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK
TEKNETICS
White's
GARRETT
DETECH
Nokta
MINELAB
DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

Dalsze losy obiektów

W 1948 roku wszystkie 3 schrony zostały zinwentaryzowane w ramach tzw. I Zwiadu Fortyfikacyjnego, przeprowadzanego przez Szefostwo Inżynierii Marynarki Wojennej. Obiekty otrzymały numerację (schrony przy al. Zwycięstwa – 10201, 10202, schron przy ul. Olimpijskiej 10198-B) oraz były przewidziane do ponownego użytku w roli schronów magazynowych. Stan zachowania wyposażenia szacowano na 40-70 % w zależności od obiektu. Na podstawie wykazu obiektów OPL, który również został sporządzony przez Szefostwo Inżynierii MW na początku lat 50., można stwierdzić, że wszystkie 3 schrony zostały zaadaptowane na ukrycia p-lot, każdy dla 2 pojazdów mechanicznych. Na przełomie lat 70. i 80. dwa schrony położone przy al. Zwycięstwa zostały wyburzone w ramach modernizacji szosy i obecnie nie zachował się po nich żaden ślad. Całe szczęście schron przy ul. Olimpijskiej pozostawał w niezmienionej formie aż do 2008 roku, gdy został przebudowany przez Związek Hodowców Gołębi Pocztowych (minimalnie zwężono wjazd z jednej strony, a z drugiej wykonano strop). Tego typu ingerencje naruszają pierwotną formę zabytku i można je uznać za dewastację, które zdarzają się coraz częściej, niestety także organizacjom stawiającym sobie za cel ochronę historii i dziedzictwa kultury.

Zakończenie

Zagadkowe schrony gdyńskiego Redłowa od kilkunastu lat intrygowały badaczy fortyfikacji, a w tym czasie pojawiło się wiele spornych przypuszczeń i teorii, nie mających jednak źródeł w dokumentach archiwalnych. Powyższy artykuł być może wyjaśnił kolejną zagadkę niemieckiego budownictwa fortyfikacyjnego na terenie Gdyni i jest jedynie próbą podjęcia tematu, która z całą pewnością go nie wyczerpuje. Opisywane obiekty stanowią jedynie niewielką część tematu, jakim jest obrona przeciwpancerna Gdyni w 1945 roku, który powinien zostać ujęty w szerszym opracowaniu, w przyszłości takie bez wątpienia się ukaże. <

Kamil Sarapuk
Badacz polskich fortyfikacji nadbrzeżnych z okresu przedwojennego oraz powojennego, w zakresie jego zainteresowań znajdują się również niemieckie fortyfikacje na Pomorzu.

BIBLIOGRAFIA

ZBIGNIEW FLISOWSKI **„Pomorze – reportaż z pola walki"**
MARCIN DUDEK **„Schrony żelbetowe Lądowej Obrony Wybrzeża z 1939 r."** – Odkrywca 09/2011

REKLAMA

Technikum nr 5 im. Jana Kilińskiego i Zasadnicza Szkoła Zawodowa nr 5 im. Jana Kilińskiego w Zespole Szkół Zawodowych nr 5 we Wrocławiu zapraszają uczniów szkół ponadgimnazjalnych do udziału
w IV edycji ogólnopolskiego konkursu poświęconego Janowi Kilińskiemu

„Zwykli ludzie wielkimi bohaterami"

Konkurs odbędzie się w 3 kategoriach: literackiej, muzyczno-literackiej na wiersz lub piosenkę o Janie Kilińskim oraz plastycznej

PATRONAT HONOROWY:
- Dolnośląski Kurator Oświaty
- Dyrektor Wydziału Gimnazjów i Szkół Ponadgimnazjalnych
- Departamentu Edukacji we Wrocławiu
- Prezes Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej
- Prezes Związku Rzemiosła Polskiego

PATRONAT MEDIALNY:
- „Nowiny Rzemieślnicze"- biuletyn Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej
- „Odkrywca" - miesięcznik wydawany przez Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

SPONSORZY KONKURSU:
- Cech Rzemiosł Budowlanych we Wrocławiu
- Cech Rzemiosł Różnych we Wrocławiu
- Departament Edukacji we Wrocławiu
- Dolnośląska Izba Rzemieślnicza we Wrocławiu
- Dolnośląski Cech Piekarzy i Cukierników we Wrocławiu
- Dolnośląski Cech Rzemiosł Metalowych i Motoryzacyjnych we Wrocławiu
- Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o. we Wrocławiu
- Zespół Szkół Zawodowych nr 5 we Wrocławiu

TERMIN NADSYŁANIA ZGŁOSZEŃ do 31 marca 2017 r. na e-mail: konkurs.kilinski@wp.pl

TERMIN NADSYŁANIA PRAC do 7 kwietnia 2017 r. na adres e-mail: konkurs.kilinski@wp.pl oraz drogą pocztową: 50-527 Wrocław, ul. Jana Wł. Dawida 5. Na kopercie prosimy umieścić hasło: Konkurs „Zwykli ludzie wielkimi bohaterami" oraz podać kategorię.

INFORMACJE NA TEMAT KONKURSU można uzyskać na stronie szkoły www.zsz5wroclaw.home.pl lub pisząc na adres: konkurs.kilinski@wp.pl oraz pod numerem telefonu 71 798 69 34 w. 102 (Zofia Kawecka).

OGŁOSZENIE WYNIKÓW I NAGRODY: Ogłoszenie wyników nastąpi do 1 czerwca 2017 r. W każdej z kategorii jury wyłoni trzech najlepszych uczestników, dla których ufundowane zostaną dyplomy i nagrody rzeczowe. Dyplomy otrzymają również opiekunowie nagrodzonych uczniów. Szkoła, z której uczniowie zostaną nagrodzeni we wszystkich kategoriach, otrzyma puchar dyrektora Zespołu Szkół Zawodowych nr 5.

www.odkrywca.pl

NÓŻ BOLO MODEL 1917

RAFAŁ KUCHARSKI

W warunkach polowych służył jako narzędzie, jednak w sytuacjach skrajnych był wykorzystywany jako broń.

Doświadczenia armii Stanów Zjednoczonych z okresu wojny amerykańsko-hiszpańskiej legły u podstaw koncepcji wyposażenia żołnierzy amerykańskich w narzędzie do kopania, rąbania i cięcia, które jednocześnie pełniłoby funkcję bagnetu. Przy uwzględnieniu tych założeń w roku 1900 wyprodukowano prototypy bagnetu Krag Bowie, a w latach 1902 i 1903 próbne egzemplarze bagnetu bolo, które nie przeszły pomyślnie testów przeprowadzonych na Kubie i Filipinach. W ich trakcie okazało się bowiem, że głownia bagnetu Krag Bowie była zbyt lekka, aby mógł on służyć do rąbania i kopania, a z kolei bagnet bolo okazał się być efektywnym narzędziem, jednakże nie sprawdził się jako broń. Pomimo tego w oparciu o konstrukcję bagnetu bolo zaprojektowany został nóż bolo Model 1910.

Zastosowanie

Kształt oraz zasadnicze wymiary wytwarzanych w latach I wojny światowej noży bolo Model 1917 i Model 1917 CT były niemal identyczne z nożem Model 1910, jednakże były one od niego nieco gorzej wykonane i nie posiadały występującego w Modelu 1910 zatrzasku zabezpieczającego nóż przed wypadnięciem z pochwy.

Model 1917 był piątym typem noża bolo przyjętym na wyposażenie armii Stanów Zjednoczonych. Wcześniejsze modele to znaczy, 1887, 1904 i 1909 przeznaczone były przede wszystkim do użycia w dżungli, były droższe w produkcji i miały znacznie większe gabaryty od noża z 1917 roku, który z założenia wykorzystywany miał być w warunkach północnoamerykańskich i europejskich. W nóż bolo 1917 wyposażani byli przede wszystkim żołnierze z obsługi karabinów maszynowych, którym zgodnie z instrukcją nóż ten miał służyć między innymi do oczyszczania przedpola z zarośli, aczkolwiek jak wynika z pochodzącego z listopada 1918 r. „Handbook of Ordnance Data" (str. 412), wydanego przez służby kwatermistrzowskie Armii Stanów Zjednoczonych, w skrajnych przypadkach miał on być wykorzystywany jako broń. Zwykle jeden nóż wydawany był na „squad", czyli zespół czterech żołnierzy (porównaj „Manual for noncommissioned officers and privates of infantry of the Army of the United States" str. 29), z których pozostałych dwóch wyposażonych było w łopatki a jeden w oskard. Przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej, w czasie manewrów jeden nóż bolo wydawany była na dwa czteroosobowe zespoły żołnierzy. O tym, że parytet ów nie zawsze był zachowywany, świadczą zdjęcia i filmy wykonane zarówno w czasie ćwiczeń jaki i walk podczas Wielkiej Wojny, przedstawiające żołnierzy obsługujących ciężkie karabiny, przy czym każdy z nich wyposażony jest w nóż bolo. Inne zastosowanie noża bolo opisał kapitan Julian S. Hatcher w książce „Karabiny maszynowe. Część 1". Otóż w celu uniknięcia niepożądanego przemieszczania się broni w trakcie usuwania zacięć lub przeładowywania, sugerował on stabilizowanie dwójnogu karabinu maszynowego Benet poprzez wsparcie każdej z nóżek o wbity w ziemię nóż bolo.

Nóż bolo Model 1917 z pochwą drewnianą.

Budowa

Głownia noża bolo Model 1917, mierząca 254 mm, o kształcie zbliżonym do jednosiecznego greckiego miecza kopis pozbawiona była zbrocza. Szlif głowni był niesymetryczny tzn. prawy płaz był lekko wypukły, a lewy płaski. Grzbiet pióra był sfazowany.

Wykonany z blachy, prosty dwuramienny jelec był najszerszy w środkowej części, po czym zwężał się do połowy długości ramion i ponownie rozszerzał przy ich końcach, których krawędzie były zaokrąglone. W Modelu 1917 CT jelec >>>

www.odkrywca.pl

Niekonwencjonalne wykorzystanie noży bolo według pomysłu kapitana Juliana S. Hatchera.

Mocowanie noża na klapie plecaka Model 1910.

Mocowanie noża do pasa amunicyjnego żołnierza piechoty Model 1910.

Mosiężny zaczep pochwy.

Skórzany trzewik pochwy z wyraźnie widoczną nazwą producenta.

>>> był przyspawany, zaś w nożu Model 1917 wsuwano go na trzpień głowni i przymocowywano przez lutowanie mosiądzem. Na ramieniu jelca od strony grzbietu głowni umieszczony był otwór. Pozwalał on na używanie do noża bolo Model 1917 pochwy starszego typu przeznaczonej do bolo Model 1910, wyposażonej w zaczep zapobiegający wypadnięciu noża z pochwy.

Okładziny rękojeści wykonane były z drewna orzechowego i mocowane do trzpienia głowni przy pomocy dwóch śrub. W celu poprawienia chwytu powierzchnia okładzin pokryta była karbami o nieregularnym kształcie, a na bocznej krawędzi okładzin (po stronie przeciwnej do grzbietu głowni) znajdowały się wycięcia na palce.

Głowica rękojeści noża bolo Model 1917 miała kształt zbliżony do głowicy bagnetu Model 1905. W odróżnieniu od Modelu 1917, w nożu bolo Model 1917 CT głowica i trzpień głowni wykonane były z jednego kawałka metalu. Znawca amerykańskiej broni białej M.H. Cole podaje, że wszystkie metalowe elementy noży bolo M-1917 i M-1917 CT były pokryte czarną powłoką, podczas gdy głowica, jelec i głownia na odcinku pierwszych 3/16" w produkowanych przez Springfield Armory nożach bolo Model – 1910 były oksydowane zaś pozostałe 10 ¼" brzeszczotu noża było polerowane. Autor ten opisuje również nóż tego typu, wyprodukowany w 1917 r., którego wszystkie części metalowe były oksydowane.

Jak wynika z powołanego powyżej podręcznika „Handbook of Ordnance Data" noże bolo Model 1917 wytwarzane były przez American Cutlery Company, Fayet R. Plumb w Filadelfii i St. Louis oraz Bartlett Edged Tool Company. Noże produkowane przez ostatnią z wymienionych firm należy chyba uznać za absolutny unikat, ponieważ nawet bardzo doświadczonym kolekcjonerom nie udało natknąć się na egzemplarze wytworzone przez Bartlett Edged Tool Company.

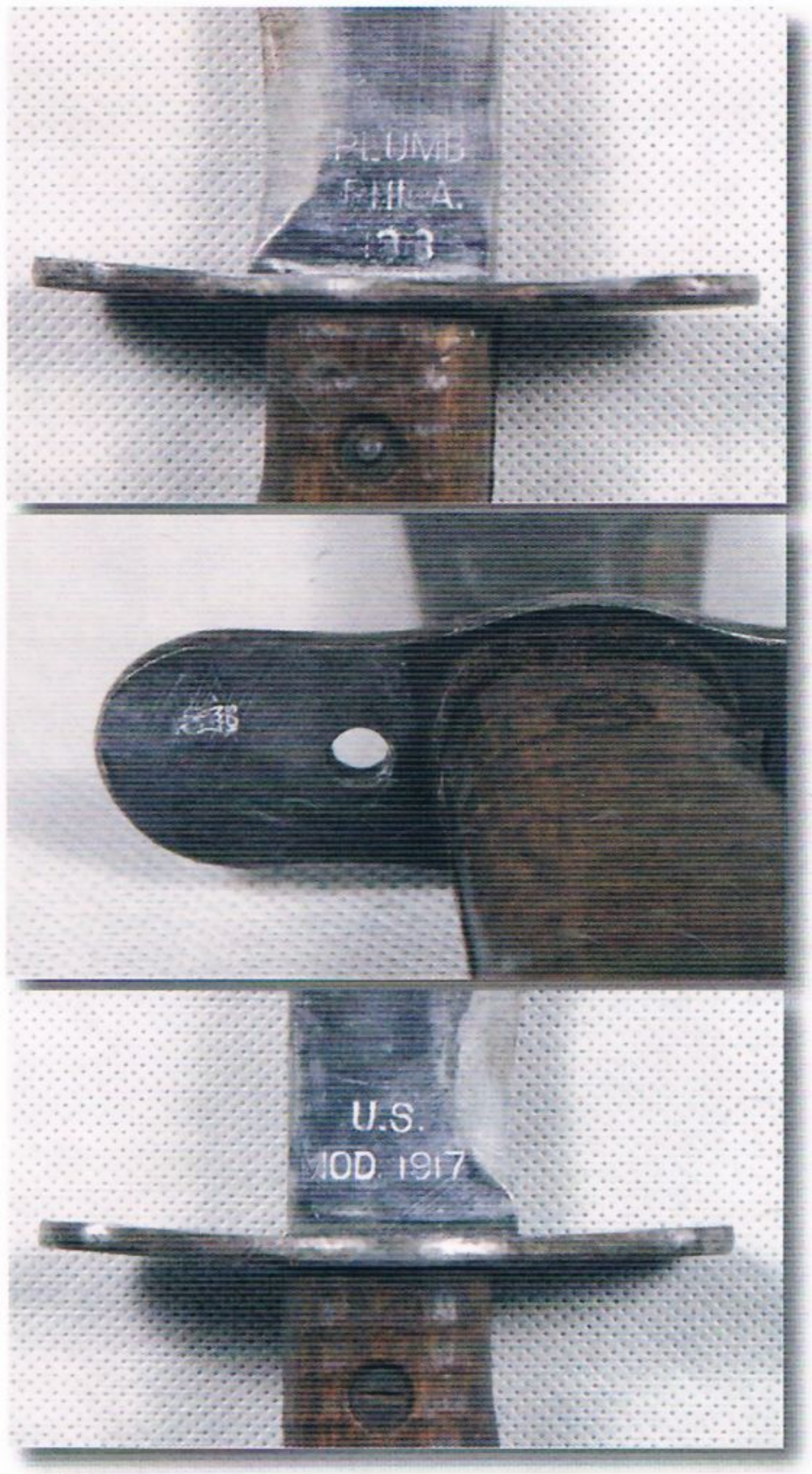

Umieszczona na progu głowni nazwa producenta.

Jelec z widocznym otworem umożliwiającym używanie do noża bolo Model 1917 pochwy starszego typu przeznaczonej do bolo Model 1910, wyposażonej w zaczep zapobiegający wypadnięciu noża z pochwy. Zwraca również uwagę znak odbioru wojskowego w postaci stylizowanej głowy orła.

Umieszczone na progu głowni oznaczenie typu noża.

Na progu głowni z jej prawej strony umieszczono napis „US. MOD 1917" (lub „US. MOD 1917 CT"), natomiast na progu głowni z lewej strony nazwę producenta i rok produkcji. Symbol odbioru wojskowego w postaci głowy orła i znaku „x", umieszczano na jelcu, od strony rękojeści. W tym miejscu odnotować należy, że według amerykańskiego bronioznawcy Franka Trzaski skrót „CT" umieszczany na progu głowni noża bolo M-1917 winien być rozwijany jako „Commercial Tolerances". Noże bolo M-1910 produkowane były w Arsenale Springfield przy ścisłym zachowaniu parametrów, a koszt wytworzenia jednej sztuki wynosił 4,92 $, podczas gdy wydatki na wyprodukowanie jednego noża M-1917 CT odpowiadały kwocie 1,65 $. Wytwórnia Plumb prowadziła spór z Departamentem Uzbrojenia, wskazując, że ścisłe utrzymywanie parametrów w przypadku noży bolo nie jest konieczne. W rezultacie Departament Uzbrojenia ustąpił i stwierdził, że tak długo jak pasują one do pochew i odpowiadają wymogom co do jakości stali, w celu przyspieszenia produkcji Plumb może zmienić projekt noża tak, aby umożliwić jego wytwarzanie przy pomocy maszyn służących do produkcji na rynek cywilny. Zatem wersja bolo CT nie musiała odpowiadać – na każdym etapie produkcji – normom ustalanym przez inspektorów Departamentu Uzbrojenia.

Pochwa

Pochwa do noża bolo Model 1917 występowała w dwóch odmianach. Pierwsza wykonana była z drewna sosny wejmutki, pokrytego niewyprawioną skórą, zaś zewnętrzna warstwa wykonana była z tkanego okrężnie, bawełnianego drelichu w kolorze szaro oliwkowym – olive drab (porównaj „Description and directions for use and care of cavalry equipment Model of 1912" str. 40). U dołu pochwy znajdował się skórzany trzewik, na którym umieszczony był znak producenta. Zarówno mankiet dławika jak i druciany zaczep służący do mocowania pochwy do pasa, wykonane były z mosiądzu. Zaznaczyć wypada, że bolo Model 1910 był pierwszym amerykańskim nożem wojskowym, w którym zastosowano ten sposób mocowania pochwy do pasa. Opisywana pochwa różni się od przeznaczonej do noża bolo Model 1910 jedynie brakiem zaczepu zapobiegającego

www.odkrywca.pl

utracie noża. Producentami wykonanych z drewna pochew do Modelu 1917 byli między innymi: Brauer Bros, A. K. CO., Fred Medart oraz MFG.CO.

Drugi typ pochwy, wykonany był z blachy, posiadał podłużne wytłoczenia i malowany był na kolor oliwkowobrązowy. Wykonany z mosiądzu zaczep służący do przymocowania do pasa połączony był z pochwą kawałkiem skóry. Opisywane pochwy sygnowane były US/L.F.&C. – 1918 – (Landers, Frary & Clark).

Zwykle nóż bolo noszony był po lewej stronie pasa z ładownicami. Odnotować jednak należy, że stosowano również inny sposób przenoszenia noża. Otóż jak wynika z fotografii pochodzących z okresu I wojny światowej niektórzy żołnierze, mocowali opisywany nóż do klapy plecaka pod pokrowcem na menażkę

Nóż bolo Model 1917 pozostawał na wyposażeniu niektórych jednostek armii amerykańskiej (np. 11. pułku kawalerii) do chwili przystąpienia Stanów Zjednoczonych do II Wojny Światowej. Obecnie nóż ten jest często spotykany na rynku kolekcjonerskim, a ceny dobrze zachowanych egzemplarzy dochodzą od kilkudziesięciu do około stukilkudziesięciu dolarów.. <

Rafał Kucharski
Członek Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania kolekcjoner militariów, w szczególności zaś bagnetów i noży wojskowych.

LITERATURA I ŹRÓDŁA:

COLE M.H. **U.S. military knives, bayonets & machetes. Book III,** CJA Publications 1996,

CUNNINGHAM GARY M. **American military bayonets of the 20th century,** Scott A. Duff Publications 1998,

Description and directions for use and care of cavalry equipment Model of 1912, Ordnance Department U.S.A., Washington 1917,

Handbook of Ordnance Data, November 15, 1918, Washington Goverment Printing Office 1919,

HENRY MARK R. **US Army of World War I.** Seria Men at Arms Osprey Publishing 2003,

LEVINE BERNARD **The World War I** National Knife Magazine , September 1993

Manual for noncommissioned officers and privates of infantry of the Army of the United States 1917, Military Publishing Co, 42 Brodway New York,

www.oregonknifeclub.com, Franks Thoughts 09/00 – 05/01 Knotes on United States Military Edged Cutlery

www.11uscavalry1940.com

REKLAMA

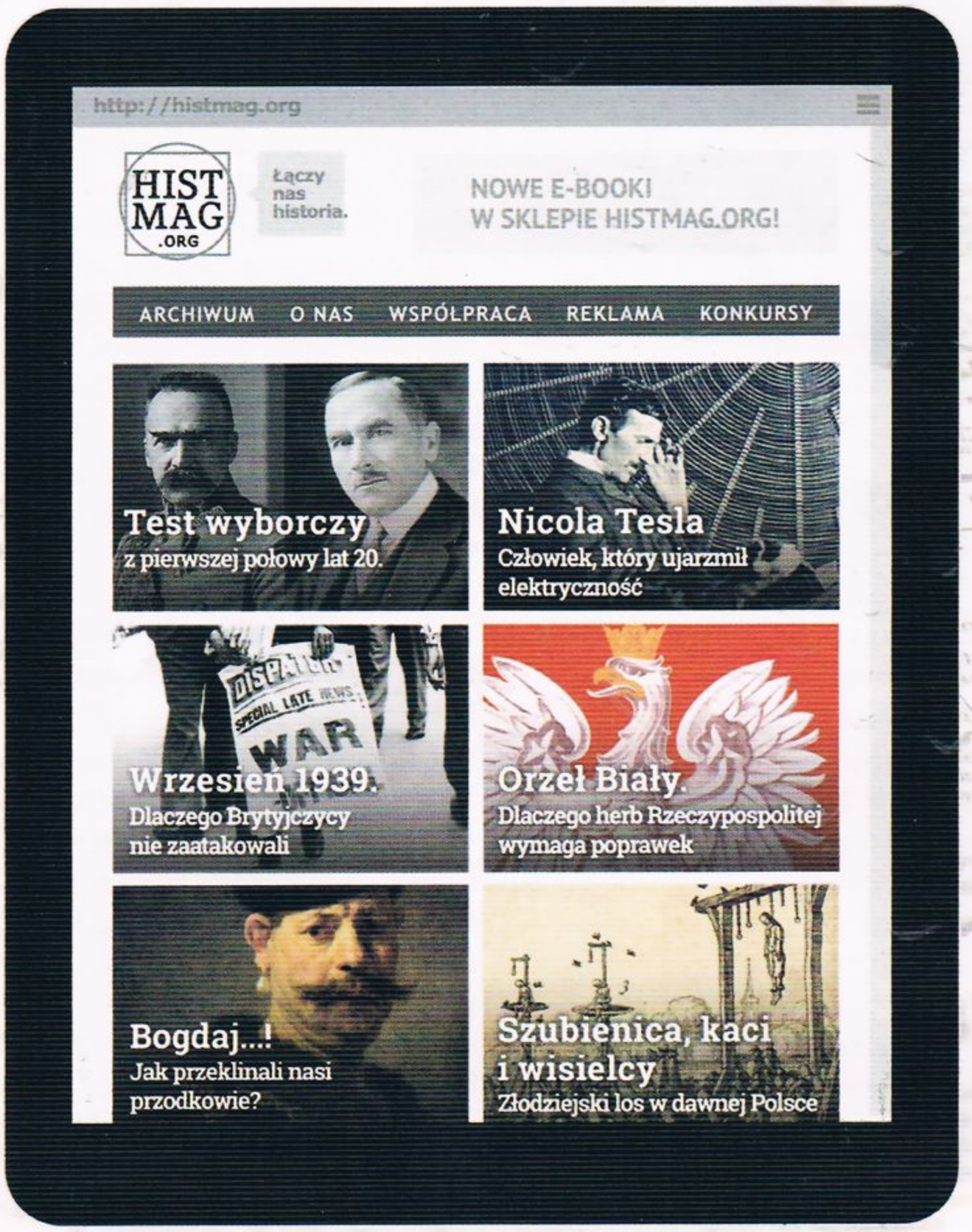

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

BUTY ZE ZINTEGROWANYMI OPINACZAMI W LWP

Nie wiadomo, kiedy dokładnie pojawiły się pierwsze tego typu trzewiki w polskiej armii. Najprawdopodobniej było to na początku lat 60.

PIOTR ORMAN

„Brązowe buty dla całej grupy" – tak o trzewikach ze zintegrowanymi opinaczami, które były podstawowym obuwiem żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, śpiewał Kazik Staszewski w „Piosence trepa". Tytułu utworu nie należy interpretować zbyt dosłownie. Broń Boże! Młodsi czytelnicy mogliby pomyśleć, że była to pieśń o butach. „Trep" w ówczesnym żargonie wojskowym to szczególnie przykry typ podoficera zawodowego, charakteryzujący się niewielką bystrością umysłu, za to gorliwie wykonujący swoje obowiązki, szczególnie w stosunku do młodego wojska z poboru.

Tu znowu wyjaśnienie dla młodych, w momencie powstawania piosenki Staszewskiego obowiązywał powszechny obowiązek służby wojskowej i zdecydowanie inaczej niż dziś spora część młodych ludzi twierdziła, że: „lepiej mieć stosunek z jeżem, niż dwa lata być żołnierzem".

Sama piosenka miała podobny wydźwięk, a cytowane na początku mojego opracowania określenie odnosiło się do obowiązkowej mundurowej unifikacji młodych ludzi. Po tym przydługim, acz koniecznym, wstępie przejdźmy do rzeczy.

Okładka pierwszego wydania płyty punk-rockowego zespołu KSU „Pod prąd", z roku 1988 ze stylizowanym wizerunkiem „opinaczy".

Owijacze i pierwsze buty z opinaczami

Aż do końca drugiej wojny światowej najpopularniejszym obuwiem żołnierzy piechoty w większości armii świata były trzewiki za kostkę i materiałowe owijacze (przypominające bandaż) sięgające prawie do kolana. Zabezpieczały one przed dostawaniem się zanieczyszczeń, głównie piasku, do wnętrza wojskowego buta. Zakładanie owijaczy nie było jednak tak proste, jak to się może wydawać. Wprost przeciwnie, była to skomplikowana operacja, której trzeba się było uczyć, poszczególne zwoje należało nawijać raz ciaśniej, raz luźniej, a całość nie mogła zbyt ściśle opinać łydki, bo mogło to powodować zaburzenia krążenia, a w konsekwencji nadmierne zmęczenie mięśni. To wszystko sprawiało, że owijacze były kłopotliwe i raczej niezbyt lubiane przez użytkowników. Próbowano sobie z tym radzić na różne sposoby, w niektórych armiach stosowano w piechocie buty z cholewami, co było szczególnie powszechne w armii niemieckiej w trakcie obu wojen światowych, używano też specjalnych nakładek na buty lub opinaczy, którymi spinano nogawki spodni powyżej trzewika. Ostatnie rozwiązanie stosowano w austriackim mundurze M.1908 i polskim wz.36, w 1940 roku wprowadzili je także Niemcy. Opinacze wykonywano z sukna mundurowego lub brezentu. Spinano je za pomocą guzików lub skórzanych pasków z klamerkami. Stosowanie osobnych opinaczy nie było zapewne idealnym rozwiązaniem, świadczy o tym na przykład to, że w armii austro-węgierskiej w warunkach wojennych szybko powróciły owijacze. Przełom nastąpił dopiero w roku 1943. Wraz z reformą mundurową armii Stanów Zjednoczonych wprowadzono trzewiki zintegrowane ze skórzanym opinaczem, obejmującym łydkę żołnierza. Buty zwane two-buckle combat boots M1943 były protoplastą wszystkich tego typu wzorów rozpowszechnionych później w armiach znajdujących się po >>>

www.odkrywca.pl

Buty dla jednostek powietrzno-desantowych wyprodukowane w 1988 roku. Użytkowane były jeszcze w latach 90., stąd beret WPD z tego właśnie okresu.

fot. Piotr Orman

>>> obu stronach żelaznej kurtyny. Podobny wzór wprowadziła Francja w roku 1965, takich butów używała armia NRD i Czechosłowacji.

Zintegrowane opinacze w LWP

Zaraz po zakończeniu wojny żołnierze LWP powszechnie używali owijaczy. Pod koniec lat 40. i w latach 50. często do munduru polowego stosowano trzewiki z brezentowymi zapinanymi na guziki opinaczami, w latach pięćdziesiątych wprowadzono także opinacze skórzane zapinane za pomocą dwóch klamer i pasków. Nie wiadomo, kiedy dokładnie pojawiły się pierwsze trzewiki ze zintegrowanym opinaczem. Najprawdopodobniej było to na początku lat 60. i nieprzypadkowo zbiegło się z wprowadzeniem nowych mundurów polowych z nadrukiem kamuflażowym wz.58. Najstarsze buty, z jakimi się zetknąłem, pochodziły z roku 1965, jednak wcześniej na pewno już istniały. Zanim osiągnęły swoją rozpoznawalną ostateczną formę, przechodziły okres formacyjny. Znane są buty szyte z naturalnej niebarwionej skóry z charakterystycznym zewnętrznym wzmocnieniem – dodatkowym płatem skóry na czubie – i z podeszwami z nietypowym protektorem. Trzewiki te wśród znawców przedmiotu różnie są określane. Niektórzy twierdzą, że protektor podeszwy miał przypominać wzory stosowane przez żołnierzy NATO, a obuwie było przeznaczone dla jednostek specjalnych lub dalekiego rozpoznania. Moim zdaniem to była wczesna, być może prototypowa lub testowa odmiana, zastąpiona później przez wersję standardową. Ten wczesny typ w wersji desantowej uważny obserwator dostrzeże w filmie „Czerwone berety" z nieodżałowanym Marianem Kociniakiem w roli głównej, nakręconym w roku 1962, co może wskazywać, że klasyczną i najbardziej znaną formę buty uzyskały między 1962 a 1965 rokiem.

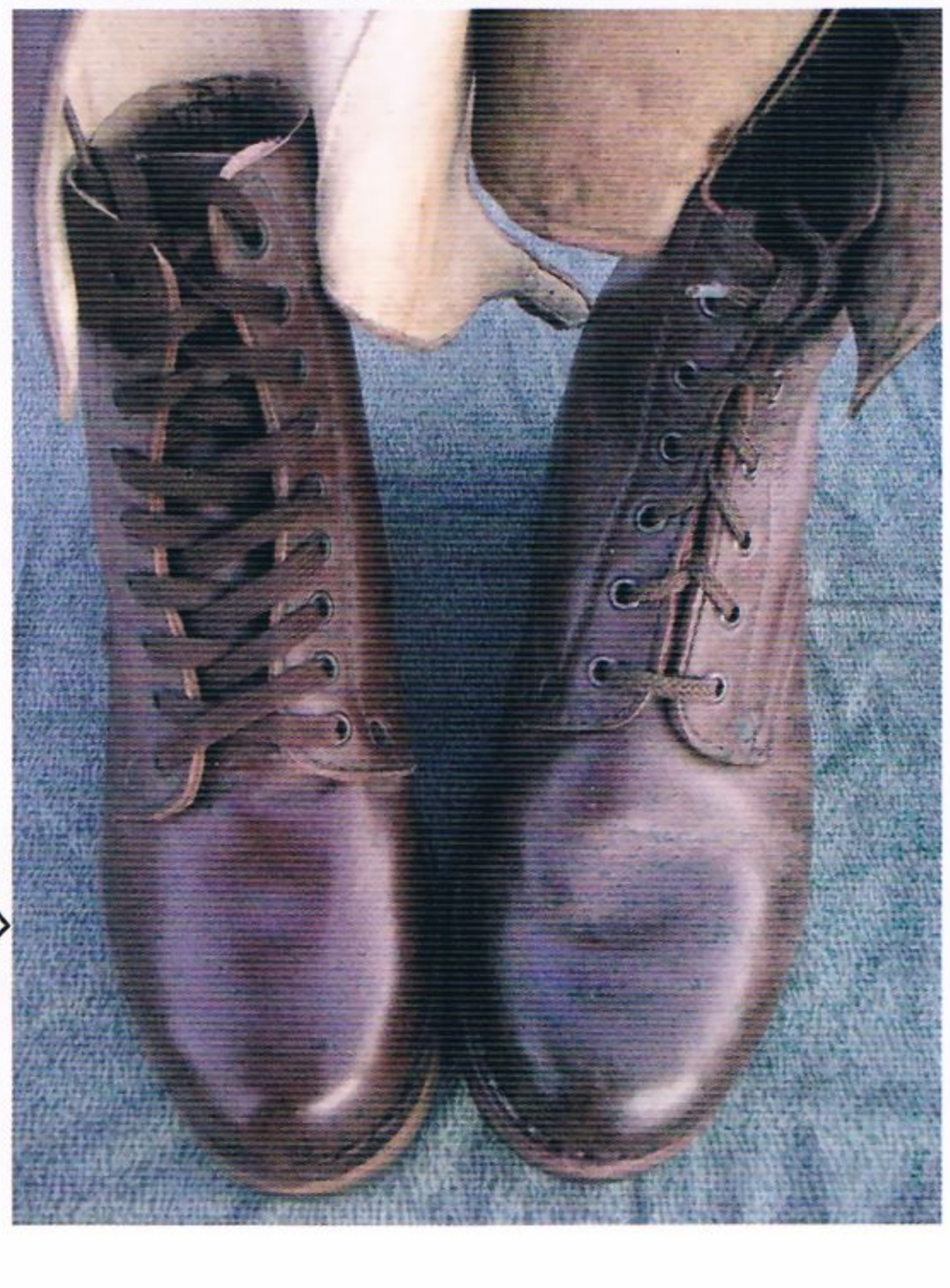

Sygnatura producenta we wnętrzu buta z 1969 roku.

Pieczęcie odbiorcze i kontrolne na opinaczu trzewików z 1965 roku.

Po lewej stronie but dla WPD, po prawej zwykły, widoczne różnice w wysokości i sposobie sznurowania.

Nietypowe rozwiązania

Myślę, że w roku 1965 docelowa forma butów ze zintegrowanym opinaczem już istniała, jednak nie znaczy to, że nie testowano alternatywnych rozwiązań. Na rynku sporadycznie pojawiają się nietypowe buty, które, zamiast trzech dziurek na sznurowadła, posiadają stosowane zazwyczaj w butach górskich haczyki. W mojej kolekcji posiadam takie właśnie buty z roku 1965. Szyte są w zdecydowanie inny sposób niż klasyczne, nie ma wzmacniających nitów, wszystkie elementy metalowe łącznie z klamrami są bielone, a nie jak w butach z tamtego okresu, zabezpieczone przed korozją przez malowanie na czarno. Tak jak we wczesnej wersji opinacz podszyty jest brązową tkaniną, a paski dodatkową warstwą skóry, tutaj także wnętrze buta jest wyłożone tą tkaniną. Buty wyprodukowano w Lublinie, zachowały się pieczęcie kontrolne Departamentu Mundurowo-Taborowego 74. Rejonowego Przedsiębiorstwa Wojskowego w Łodzi (często spotykane na mundurach polowych w kamuflażu wz.58). Buty mają podeszwę pierwszej odmiany z wystającym ponad boczną krawędź protektorem.

Lata 60.

Druga połowa lat 60. to moim zdaniem najciekawszy okres w historii polskich trzewików ze zintegrowanymi opinaczami. Wówczas powstała ich klasyczna forma, jednak wytwarzane buty różniły się nieco od tych z 7 i 8 dekady XX wieku. Pierwsza rzecz to podeszwa, w 1965 roku istniał już podstawowy typ rzeźby protektora, jednak aż do 1967 roku włącznie miał on nieco inną formę, ponieważ wystawał poza zewnętrzną krawędź zelówki. W butach z roku 1968, podobnie jak tych produkowanych później, już nie wystaje. W opisywanym okresie części metalowe butów, takie jak

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

Podeszwy z różnych okresów produkcji, od góry wczesna z „wystającym" protektorem z roku 1965, poniżej klasyczna z roku 1986.

okucia dziurek i charakterystyczne prostokątne klamry, były lakierowane na czarno a nie oksydowane. Sam opinacz we wszystkich znanych mi egzemplarzach z tamtego okresu był podszyty brązową tkaniną, a paski spinające od wewnątrz podszyte dla wzmocnienia drugą warstwą skóry. Wersja oficerska, przeznaczona dla kadry zawodowej i różniąca się od żołnierskiej podszyciem opinacza delikatniejszą skórą, najprawdopodobniej jeszcze wówczas nie istniała, a przynajmniej ja nigdy takich butów nie spotkałem.

W roku 1968 wprowadzono nowy wzór kamuflażu typu „moro" (wz.68). Po raz pierwszy mundury polowe lotnictwa i marynarki wojennej zyskały czarny odcień (wojska lądowe zachowały zielony). Wówczas pojawiły się także trzewiki ze zintegrowanymi opinaczami w kolorze czarnym przeznaczone dla marynarki, lotnictwa i Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Co ciekawe na szerszą skalę mundury typu „moro" wprowadzono do wojska w początkach lat 70., a czarne buty wydawano obsłudze naziemnej lotnisk jeszcze do starych sortów mundurowych w kamo wz.58 już w roku 1969. W latach 60. nie stosowano jeszcze charakterystycznych plastikowych wkładek przeciwpotnych. Wszystkie buty, które widziałem, w tym także opisane wyżej niestandardowe z 1965 roku, były wewnątrz sygnowane logo producenta z Lublina. Moim zdaniem buty z tego okresu były wykonane najstaranniej.

Lata 70. i 80.

W latach 70. i 80. konstrukcja trzewików ze zintegrowanymi opinaczami, osiągnąwszy wcześniej swój stan docelowy, praktycznie się nie zmieniała. W butach dla szeregowych zrezygnowano z podszywania opinacza tkaniną i podwójnych pasków zapięcia, od wewnątrz była naturalna mizdra skórzana. Pojawiła się ażurowa wkładka przeciwpotna. Jak wcześniej wspomniałem podszyte białą skórą były tylko opinacze w wersji „oficerskiej", czyli przeznaczonej dla kadry zawodowej. Przez cały okres produkcji, począwszy od lat 70., buty wytwarzano z podeszwami olejoodpornymi z przeznaczeniem dla jednostek mających w trakcie służby kontakt ze smarami i materiałami pędnymi oraz pozbawionymi tej odporności ze zwykłej gumy dla ogółu. Informacje o rodzaju podeszwy umieszczano na niej obok roku produkcji i rozmiaru buta, w latach 60. jeszcze tego nie praktykowano.

Podeszwy butów z 1969 (od góry) i 1986 roku od dołu, na nowszej widoczne oznaczenie świadczące o braku odporności na substancje oleiste. Brązowy romb na starszej podeszwie pozwalał na szybkie stwierdzenie, że mamy do czynienia z obuwiem dla wojsk lądowych. Było to przydatne, gdy buty układano na półkach magazynowych tak, że widoczne były jedynie zelówki. W latach 70. i 80. już tego nie praktykowano.

Wersje specjalne

W ciągu prawie 30 lat używania trzewików z opinaczami w LWP powstało kilka wersji specjalnych. Pierwszą z nich są buty przeznaczone dla jednostek powietrzno-desantowych. Ten wariant powstał bardzo wcześnie, najprawdopodobniej jeszcze pod sam koniec lat 50. lub na początku 60., >>>

REKLAMA

Po lewej rzadko spotykany eksperymentalny but z 1965 roku z trzema haczykami zamiast dziurek na sznurowadła, po prawej zwyczajny z 1986.

>>> kiedy wytwarzano buty ze skóry w kolorze naturalnym z odmienną podeszwą i zewnętrznym wzmocnieniem czuba. Największą i natychmiast rzucającą się w oczy różnicą w przypadku tej odmiany są inne klamry spinające opinacz, zamiast blaszanych prostokątnych wybrano zwykłe, stosowane na przykład w skórzanych trokach. Takie rozwiązanie miało zapobiegać czepianiu się o klamry linek spadochronowych w trakcie skoku, co mogło stanowić dla skoczka śmiertelne zagrożenie. Oprócz tego buty desantowe były wyżej sznurowane (zazwyczaj 9 dziurek) i nieco inaczej szyte, miały bowiem lepiej stabilizować stopę w trakcie przyziemienia. Widać to szczególnie na zasznurowanych butach, w których krawędzie z dziurkami na sznurowadła nie stykają się, inaczej niż to ma miejsce w zwykłej wersji. Na różnych internetowych forach o profilu kolekcjonersko-militarnym można przeczytać o tym, że buty te miały miękkie wkładki i były lepiej wykonane. Po dokonaniu oględzin kilkunastu egzemplarzy nie mogę tego potwierdzić. Żadnej miękkiej wkładki nie stwierdziłem, podeszwa też nie jest miększa a standard wykonania był taki sam jak w przypadku zwykłych butów.
Buty desantowe występowały w wersji dla szeregowych i „luksusowej" dla kadry z podszytym opinaczem. Istniał także wariant w kolorze czarnym przeznaczony najprawdopodobniej dla jednostek specjalnych Milicji Obywatelskiej, gdzie w programie szkolenia były skoki spadochronowe.

Kolejną odmianą niestandardową były buty do nart, przystosowane do zakładania wiązań starego typu. Trzewiki te miały zupełnie inną podeszwę i odmienny kształt czuba przywodzący na myśl dosyć już archaiczne buty do biegówek. Sznurowane były nie za pomocą dziurek a drucianych przelotek. Występowały tylko w kolorze brązowym.

Ostatnim niestandardowym wariantem, co ciekawe używanym do dzisiaj, są buty przeznaczone do celów defiladowych dla wojskowych jednostek reprezentacyjnych. Zewnętrznie są identyczne jak standardowe, inna jest tylko podeszwa – zazwyczaj skórzana pozbawiona protektora i przystosowana do okucia stalowymi ćwiekami i podkówkami obcasów. Chodzi o to, że wojsko defilując, ma donośnie tupać w trakcie marszu, co przy gumowej podeszwie jest trudno osiągalne.

Dawniej buty wytwarzano w kolorze brązowym i czarnym. Dziś są oznaczone jako MON wz.925 i produkowane jedynie w kolorze czarnym. Wybór opinaczy do takich celów jest w pełni zrozumiały, są po prostu dużo ładniejsze od butów, które je zastąpiły w latach 90. ubiegłego wieku.

W subkulturach

Trzewiki z opinaczami to chyba jedyny element munduru LWP, który postawił swój ślad w popkulturze. Świadczy o tym nie tylko przywołana na początku tekstu piosenka Kazika Staszewskiego, ale także ikoniczna dla mnie okładka płyty punk-rockowego zespołu KSU „Pod prąd" z roku 1988, na której widać właśnie ten typ obuwia [prezentowana na 1. stronie artykułu – przyp. redakcji]. Co ciekawe na późniejszych reedycjach albumu zastąpiony już klasycznymi „glanami". To interesująca prawidłowość ukazująca szersze zjawisko. W latach 80. i 90. największym prawdopodobnie po wojsku i naturalnie rolnikach użytkownikiem tych butów były subkultury młodzieżowe, dla których stały się ważnym elementem wizerunku. Wojskowe trzewiki były dostępne (mimo prawnego zakazu ich używania jako oficjalnego elementu munduru wojskowego) w przeciwieństwie do nieosiągalnych sznurowanych „glanów", czy „ojek". Zaczęło się to zmieniać dopiero blisko połowy lat 90., co nie ominęło także kolejnych edycji wspomnianej płyty.

W ostatniej dekadzie ubiegłego stulecia trzewiki z opinaczami zostały zastąpione przez czarne sznurowane „skoczki" vel „Józefy". Niewątpliwie wygodniejsze, ale też pozbawione specyficznego uroku tych pierwszych. Tak skończyła się w WP epoka brązowych butów. Ciekawe, że poczciwe „opinacze" na rynek cywilny ciągle są produkowane i przeżywają drugą młodość w coraz popularniejszych grupach rekonstruujących jednostki dawnego LWP.

Dziękuję Panu Antoniemu Zębalskiemu za istotne informacje, które wykorzystałem w trakcie tworzenia powyższego tekstu. <

Piotr Orman
Przewodnik jurajski, współautor książki „Wielka Wojna na Jurze". Miłośnik broni białej i klasycznych aut terenowych.

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

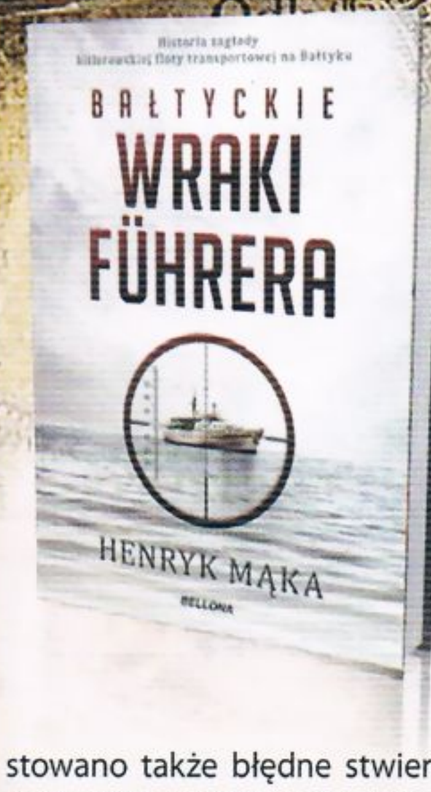

Henryk Mąka „Bałtyckie wraki Führera", opr. miękka, str. 192, wyd. Bellona. Cena: 28,60 zł.

W książce przypomniano zagładę hitlerowskiej floty transportowej na Bałtyku na przełomie 1944 i 1945 roku. Pod względem liczby ofiar były to największe tragedie morskie w dziejach świata. Wyjaśniono też prawdziwe przyczyny i okoliczności tych zdarzeń. Przypomniano także najstraszniejszą tragedię morską II wojny, jaką było zatopienie na wodach Zatoki Lubeckiej statków i barek wypełnionych więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Sprostowano także błędne stwierdzenia niemieckich mass mediów, jakoby głównym celem operacji „Hannibal" było ratowanie kobiet i dzieci.

Samuel E. Morison „Bitwa o Atlantyk", tom II, opr. twarda, str. 432, wyd. Finna, Seria z kotwiczką. Cena: 46,90 zł.

Fascynująca opowieść o drugiej części Bitwy o Atlantyk, czyli Samuel Eliot Morison o stopniowej klęsce U-bootów od maja 1943 do maja 1945 roku. To opowieść o wyścigu technologicznym, który stwarzał przewagę to jednej, to drugiej strony w różnych fazach bitwy, ale także o zmiennej taktyce stosowanej przez obie strony. A wszystko to przewija się w opisach bitew U-bootów z konwojami i polowaniach na U-booty przez specjalnie stworzone do tego grupy okrętów. Autor przedstawia szczegółowo najciekawsze wydarzenia tej najdłuższej w historii drugiej wojny światowej bitwy, która toczyła się ze zmiennym szczęściem od początku wojny do jej końca.

Włodzimierz Kwaśniewicz „Encyklopedia dawnej broni i uzbrojenia ochronnego", opr. twarda, str. 630, wyd. Bellona. Cena: 68,50 zł.

Prezentowana publikacja to pierwsza polska encyklopedia z dziedziny bronioznawstwa. Ujmuje ona w 1170 hasłach wiedzę mieszczącą się w następujących dziedzinach: broń biała (sieczna, drzewcowa, obuchowa), broń miotająca (ręczna i strzelecka), broń „artyleryjska": 1. barobalistyczna (starożytne i średniowieczne machiny miotające działające zgodnie z zasadą wykorzystania siły odśrodkowej), 2. neurobalistyczna (starożytne i średniowieczne machiny miotające działające zgodnie z zasadą wykorzystania sprężystości materiału stosowanego do budowy urządzeń miotających i energii nagromadzonej w cięciwach), broń artyleryjska prochowa, broń strzelecka prochowa (długa i krótka), uzbrojenie ochronne (ludzkie i zwierzęce), broń i uzbrojenie kombinowane, bastardowe, pamiątkowe, dekoracyjne i symboliczne.

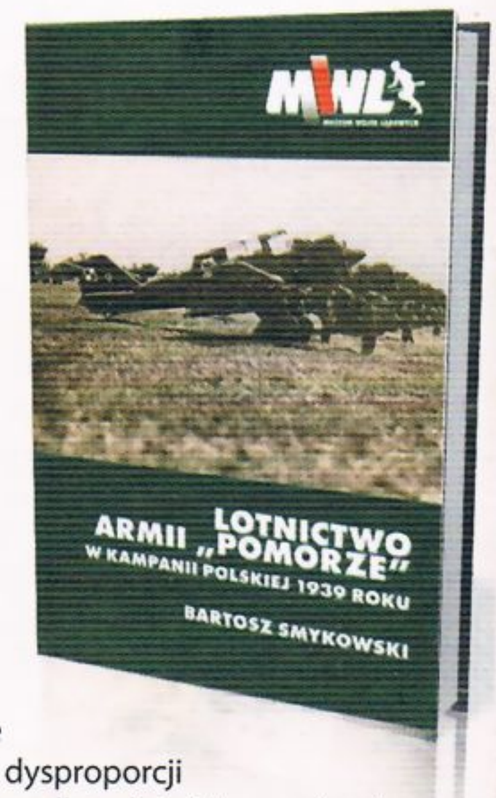

Bartosz Smykowski „Lotnictwo Armii Pomorze w kampanii polskiej 1939 roku", opr. miękka, str. 142, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł.

Niniejsza publikacja, oparta na zachowanych polskich dokumentach archiwalnych i bogatej literaturze przedmiotu, w tym opracowaniach niemieckich autorów, pozwala analitycznie spojrzeć na działania lotnictwa Armii „Pomorze" w kampanii polskiej 1939 roku. Autor nie stroni od opisywania kontrowersyjnych i bolesnych faktów, pokazując jednocześnie odwagę polskich pilotów. Lektura tej publikacji pozwoli Czytelnikowi zrozumieć, w jakim położeniu byli polscy lotnicy, kiedy we wrześniu 1939 roku – mimo ogromnej dysproporcji w sprzęcie i jego ilości – podjęli nierówną walkę z lotnictwem niemieckim. Książka ta znacząco uzupełnia naszą wiedzę na temat dziejów polskiego lotnictwa wojskowego.

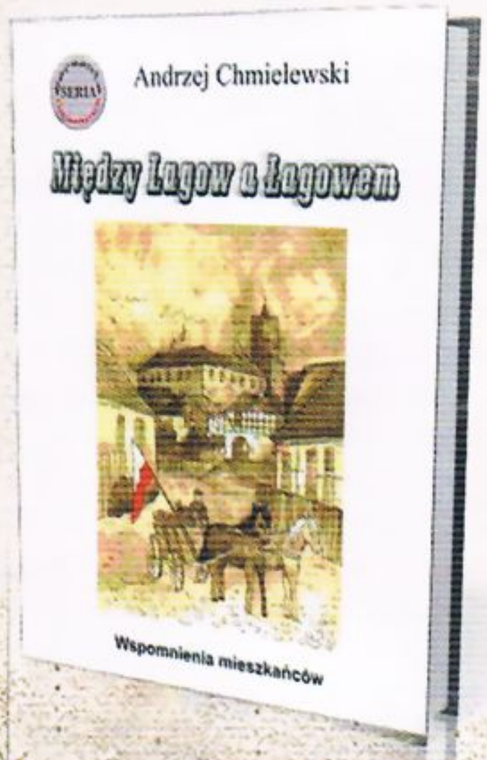

Andrzej Chmielewski „Między Lagow a Łagowem", opr. miękka, str. 48, wyd. Literat. Cena: 22,40 zł.

Publikacja z serii „Germania". Książka Andrzeja Chmielewskiego zbiera wspomnienia mieszkańców Łagowa dotyczące II wojny światowej. Relacje mieszkańców przepełnione są bólem i cierpieniem, ale cechuje je również szczerość i autentyczność. Szczególnie wartościową częścią książki jest wybór archiwalnych fotografii z rodzinnych zbiorów mieszkańców. Spis treści: Kawa, ciasto i ciepłe bułki; Hotel Dom Niemiecki; O historii mojego domu rodzinnego w Lagow; Na robotach i u Niemców; Czołgi na Mostowej; W Łagowie dobrze się mieszka; Znaleźliśmy dla siebie dom w Łagówku; Moja kronika Jemiołowa; Ze stepów Kazachstanu do Łagowa.

Mariusz Wójtowicz-Podhorski „Obrona Westerplatte 1939", opr. miękka, str. 60, wyd. historyczna.com.pl. Cena: 16,40 zł.

Podczas obrony Westerplatte garstka polskich żołnierzy i zmobilizowanych pracowników cywilnych stawiła czoła Niemcom, którym zdawało się, że zdobycie Wojskowej Składnicy Tranzytowej będzie tylko formalnością. Publikacja ukazuje siedem dni bohaterskiej obrony m.in. przez pryzmat wspomnień i relacji żołnierzy obydwu walczących stron. Dopełnieniem całości jest bogaty zestaw map oraz ilustracji, które pomagają czytelnikowi pojąć, czym była obrona Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte i dlaczego obrońcy przeszli do annałów historii Polski.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

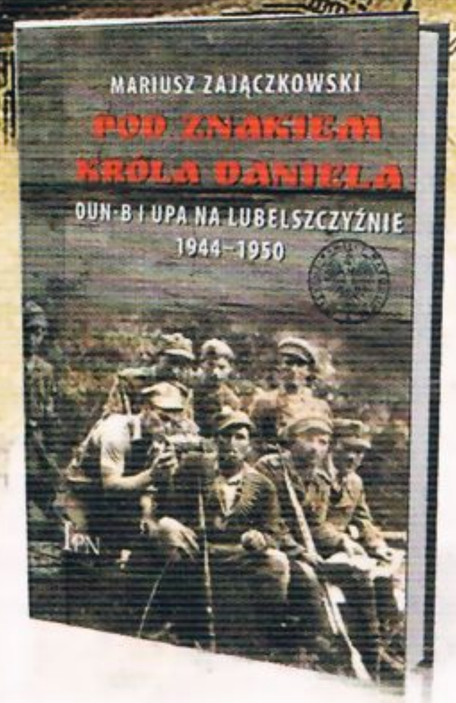

Mariusz Zajączkowski „Pod znakiem króla Daniela", opr. twarda, str. 680, wyd. IPN. Cena: 53 zł.

Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B) i jej zbrojnego ramienia (UPA), w latach 40. ubiegłego stulecia była i jest tematem sporów historycznych. Niniejsza publikacja podejmuje temat działalności OUN-B i UPA na Lubelszczyźnie w latach 1944-1950. W dużym uproszczeniu polskiemu odbiorcy OUN-B i UPA kojarzą się przede wszystkim z masowymi zbrodniami dokonanymi w latach 1943-1945 na polskiej ludności Wołynia i Galicji Wschodniej, a w dużo mniejszym stopniu z akcją depolonizacyjną na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie. Biorąc natomiast pod uwagę ziemie obecnej Polski i okres po lipcu 1944 r. – z antypolską działalnością, głównie w Bieszczadach.

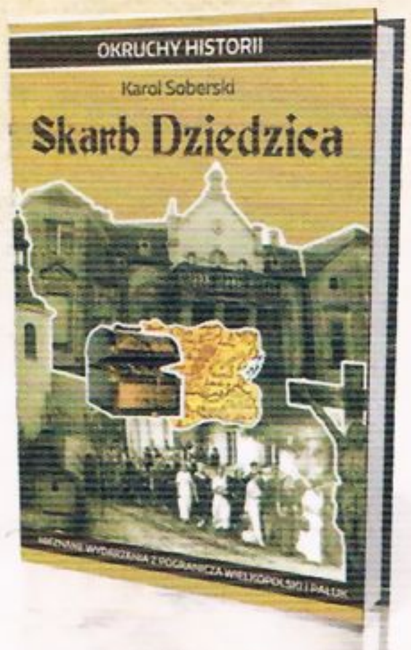

Karol Soberski „Skarb Dziedzica", opr. miękka, str. 256, wyd. Media Lokalne Karol Soberski. Cena: 56 zł.

Wiosną 1807 roku wojska napoleońskie ukrywają na pograniczu Wielkopolski i Pałuk łupy wojenne o ogromnej wartości! Ponad 100 lat później dziedzic Popowa Ignacewa dokonuje niezwykłego odkrycia... Wybuch II wojny światowej sprawia, że skarby znikają. W 2012 roku Karol Soberski trafia na pewien ślad... „Skarb Dziedzica" to pierwsza książka o powiecie gnieźnieńskim opowiadająca historię odnalezienia (i ponownego ukrycia) niezwykłych skarbów. Publikacja odsłania kulisy życia człowieka wielkiego formatu – Franciszka Saskowskirgo, człowieka dzisiaj niemal zupełnie zapomnianego. W prezentowanej książce sekrety przeplatają się z wydarzeniami II wojny światowej, skarby z ludzkimi dramatami, zbrodnie z dziełami sztuki, sensacje ze „strażnikami skarbów". A w tle tego wszystkiego kościół i pałac w Popowie Ignacewie.

Helmut Langerbein „Szwadrony śmierci Hitlera", opr. miękka, str. 400, wyd. Replika. Cena: 42 zł.

Co sprawiło, że Einsatzgruppenn – szwadrony śmierci Hitlera – wymordowały setki tysięcy niewinnych ludzi? Helmut Langerbein postawił sobie za zadanie ustalenie motywów, które sprawiły, że kadry Einsatzgruppenn w latach 1941-1942 przyniosły śmierć setkom tysięcy ludzi na okupowanych terenach Związku Sowieckiego. Dlaczego Niemcy tak skrupulatnie wykonywali rozkazy, często budzące w nich samych odrazę? Którym wewnętrznie się sprzeciwiali? Dlaczego z własnej inicjatywy wykraczali poza już i tak zbrodnicze instrukcje? Dlaczego bezbronne ofiary doświadczały od nich przed śmiercią okrutnego, bestialskiego traktowania?

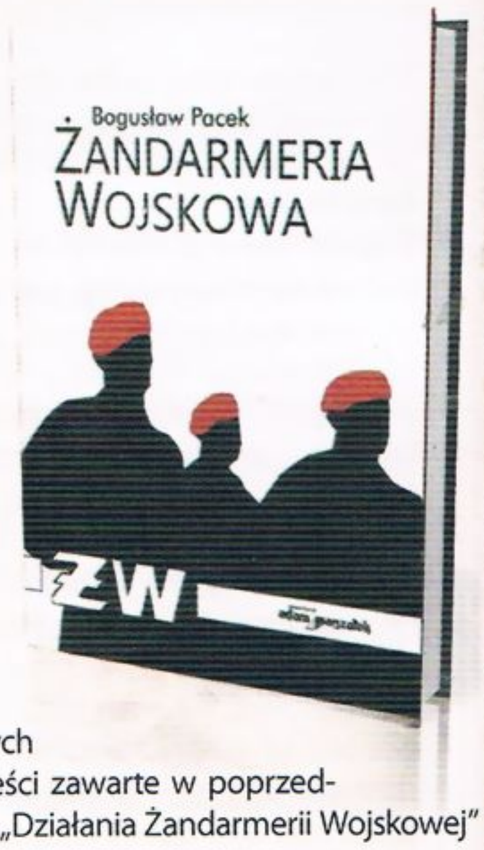

Bogusław Pacek „Żandarmeria Wojskowa", opr. miękka, str. 197, wyd. Adam Marszałek. Cena: 41,20 zł.

Książka jest podsumowaniem prac na temat formacji podejmowanych w ciągu wielu lat przez jej byłego komendanta głównego i oficera, który przeszedł wszystkie możliwe stanowiska w polskiej policji wojskowej: od dowódcy patrolu i plutonu, przez oficera dochodzeniowego, operacyjnego i komendanta trzech jednostek terenowych, aż po szefa całej formacji. Publikacja uaktualnia stan wiedzy o uprawnieniach żandarmerii, zakresie jej działania, wprowadzonych zmianach prawnych oraz rozszerza treści zawarte w poprzedniej książce generała Bogusława Packa „Działania Żandarmerii Wojskowej" o historię formacji.

Przemysław Słowiński „Żołnierze Wyklęci. Sześciu z tysięcy", opr. twarda, str. 296, wyd. Videograf. Cena: 34,60 zł.

Żołnierze Wyklęci, zwani też Żołnierzami Niezłomnymi bądź Żołnierzami II Konspiracji, przez wiele lat skazani byli na zapomnienie. W ostatnich latach temat walki podziemia niepodległościowego z władzą komunistyczną stał się niezwykle popularny, a najbardziej znani Żołnierze Wyklęci stali się przedmiotem wielu publikacji naukowych i popularnonaukowych. Niniejsza publikacja przedstawia sylwetki sześciu spośród tysięcy żołnierzy, którzy stawili opór zbrojny bądź podjęli inne działania dywersyjne przeciwko władzy komunistycznej: Zdzisława Brońskiego „Uskoka", Hieronima Dekutowskiego „Zapory", Augusta Emila Fieldorfa „Nila", Witolda Pileckiego, Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" i Józefa Kurasia „Ognia".

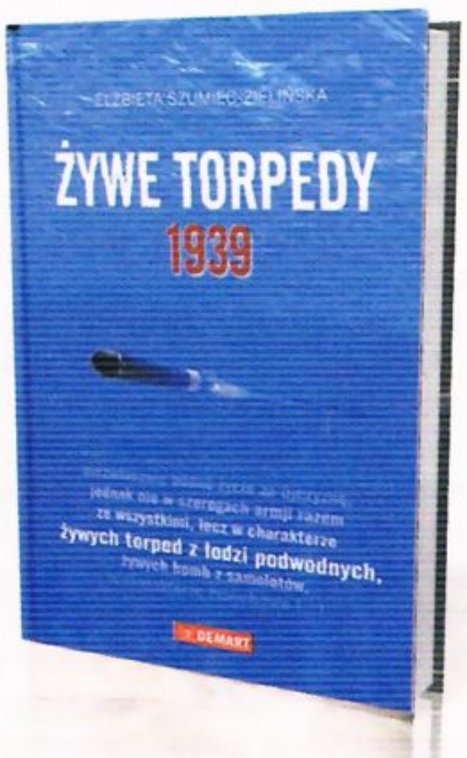

Elżbieta Szumiec-Zielińska „Żywe torpedy 1939", opr. twarda, str. 256, wyd. Demart. Cena: 35 zł.

Jest to opowieść o wyjątkowych ludziach, którzy żyli w trudnych czasach. Od innych odróżniało ich to, że byli gotowi złożyć swoje życie za niepodległość Ojczyzny. Zdecydowali się na zaciągnięcie do formacji „żywych torped", by w tak drastyczny sposób walczyć z Niemcami, które w 1939 roku coraz chciwiej spoglądały w stronę suwerennej Polski. Spis treści: Dwa wystąpienia; Ochotnicy i ich deklaracje; Motywacje ochotników; Ci, którzy się zgłosili; Sylwetki niektórych ochotników do żywych torped; Krytyka akcji; Nie tylko żywe torpedy; Mapa Zgłoszenia do żywych torped wg powiatów.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Płynne przestrajanie częstotliwości (4,4 - 18,4 kHz)
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

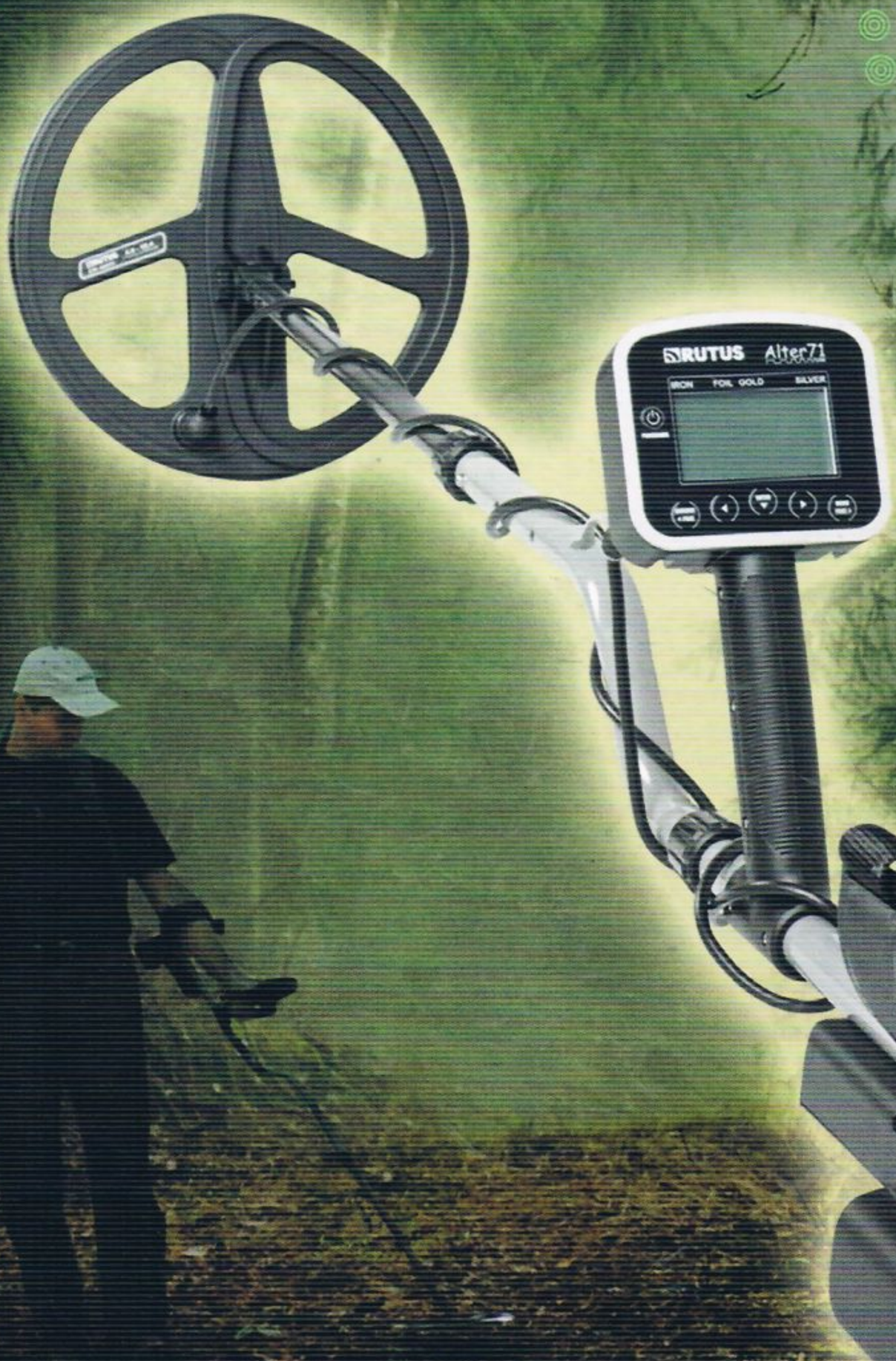

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Odkryj nowe możliwości

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

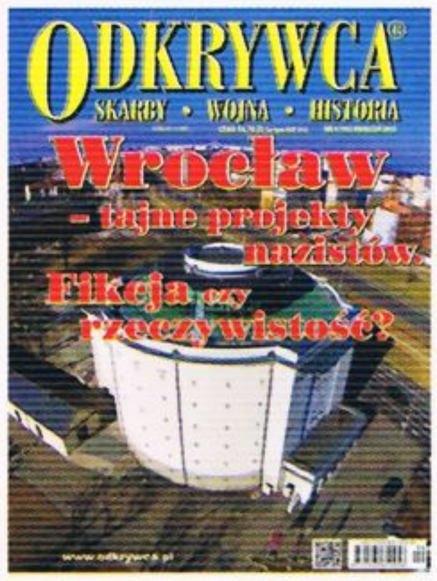

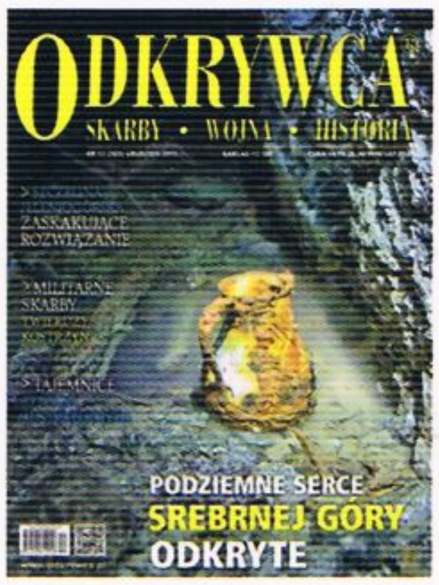

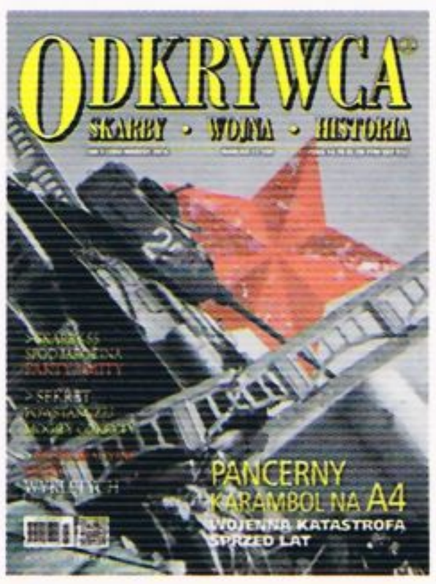

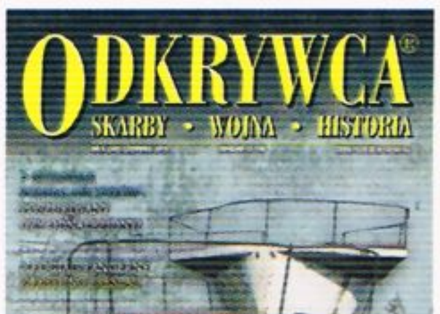

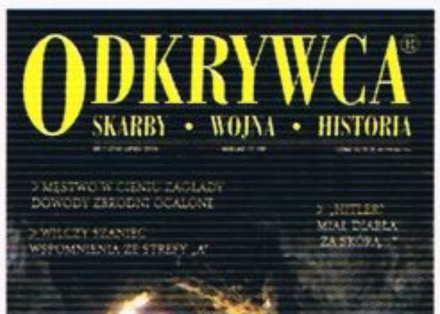

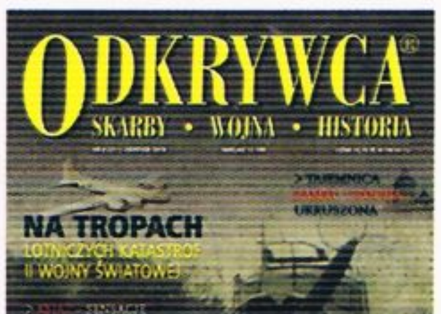

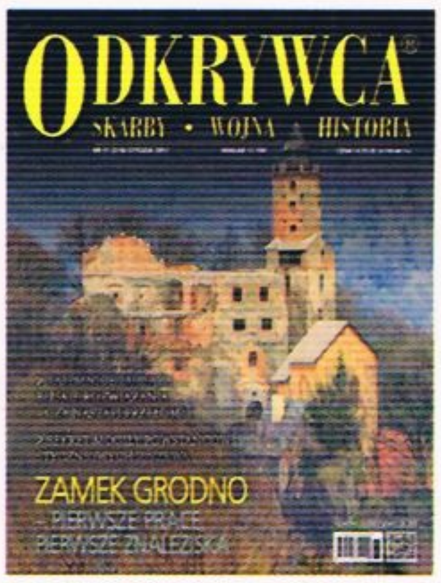

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.